

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr II/482**

**1987**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. ROMASZEWSKI : **JAK POLAK Z POLAKIEM**

K. WOLICKI : **W ZATRZAŚNIĘTEJ PUŁAPCE**

M. ZIELIŃSKI : **INNY KRAJ**

R. GORCZYŃSKA : **ARCHIPELAG NEW YORK**

M. CZYMBURA : **EASTERN EUROPE**

## SPIS RZECZY

Zbigniew Romaszewski:	<i>Jak Polak z Polakiem</i> .....	3
Krzysztof Wolicki:	<i>W zatrzaśniętej pułapce</i> .....	29
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (14)</i> .....	45

### K R A J

Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i> .....	50
Tomasz Jerz:	<i>Twierdza nienawiści</i> .....	56
Feliks Jankowski:	<i>Jeszcze jeden Katyń?</i> .....	65

### SPRAWY I TROSKI

Maria Czymbura:	<i>Eastern Europe</i> .....	70
-----------------	-----------------------------	----

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	83
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	89
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i> .....	92
Józef Darski:	<i>Kronika białoruska</i> .....	95

### KRONIKA KULTURALNA

Renata Gorczyńska:	<i>Archipelag New York</i> .....	97
Marek Abramowicz:	<i>Medal Eddingtona dla Bohdana Pa- czyńskiego</i> .....	104
—	<i>Nagrody niezależnych dziennikarzy</i> ..	106

### WOLNA TRYBUNA

Marek Zieliński:	<i>Inny kraj</i> .....	108
------------------	------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Renata Gorczyńska:	<i>Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu</i> ..	120
Leszek Kołakowski:	<i>Ile zabobonów</i> .....	131
M. Broński:	<i>Memorandum zdrowego rozsądku</i> ....	135
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	139

### Z OSTATNIEJ CHWILI

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i> .....	141
Andrzej Słowik i in.:	<i>Wniosek o zwołanie posiedzenia Kom- sji Krajowej</i> .....	144

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kronika australijska i nowozelandzka</i> .....	146
---	--	-----

A. Achmatowicz, K. Bieniecki, J. Boniecki, St. Ludkiewicz, S. Lozoraitis, jr., M. Michal- ski, A. Polonsky, Z. S. Sie- maszko, Z. Stankiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	151
Ks. E. Plater Zyberk, J. Ra- domyski, Al. Smolar:	<i>Listy dotyczące dotacji NED wraz z wy- jaśnieniem Redakcji</i> .....	157

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1987

INSTYTUT  LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Henryk Krzeszowski, Queens Village, NY (USA) — na cele walki o niepodległość i niezawisłość Polski — \$ 100,00 .....	F. 600,00
Ilse Maybach, Heilbronn (RFN), po raz 24-ty .....	F. 516,33
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Zona .....	F. 100,00
Prause François, Thaïlande, po raz 28-my .....	F. 100,00
Stanisław Radwański, Paryż, po raz 11-ty .....	F. 500,00
Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada), po raz 14-ty — \$ e. 40,00 .....	F. 180,00
Salamonski Edward L., Philadelphia, PA (USA), po raz 4-ty — \$ 20,00 .....	F. 120,00
Swiderski A. A., Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 6-ty — \$ c. 16,00 .....	F. 72,00
M. W. Topperman, Toronto, ON (Kanada) — w rocznicę śmierci Andrzeja Semkowa, dla uczczenia Jego pamięci — \$ c. 50,00 .....	F. 245,00
Zapis testamentowy śp. inż. Stanisława Piotrowskiego z Krakowa — \$ 8.752,16 oraz Sch.A. 47.666,75 tj. F. 52.513,00 oraz F. 22.920,00, ogółem .....	F. 75.433,00
W pierwszą bolesną rocznicę śmierci dr. Maksymiliana Pszenickiego, zmarłego w Londynie 20 października 1986 — Zona, dzieci i wnuki — £ 50,00 .....	F. 455,00
W rocznicę śmierci — dla uczczenia pamięci Jarka Odyńskiego i Janusza Prauznera, zastrzelonych w czasie ucieczki z Wroclawy — koledzy z Kanady — \$ can. 25,00 .....	F. 112,00
(Najmocniej przepraszamy ofiarodawców za tak duże opóźnienie w ogłoszeniu ich daru, który miał być odnotowany w numerze wrześniowym. Nasza wina. — Redakcja).	
Anonimowo ze Szwecji — zamiast kwiatów na grób Norberta Pietrzaka — Krs. 100,00 .....	F. 95,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym przeciwko przemocy komunistycznej w Kraju — DM 10,00 .....	F. 33,00
Dla uczczenia pamięci Edwarda Borowskiego, zmarłego 30 maja br., z którym miałem przywilej pracować w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego — Tadeusz z Nowego Jorku .....	F. 200,00
Marian Orłowski, Ridgewood, NY (USA) — na ruch oporu w Polsce — \$ 10,00 .....	F. 60,00
I. Sala, Chicago, IL (USA) — na działalność wydawniczą — prasę podziemną i kolportaż w rejonie Żywca — \$ 50,00 ..	F. 300,00
Prause François, Thaïlande, po raz 28-my .....	F. 100,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — zebrane podczas własnego odczytu w dn. 5 kwietnia 1987 — Krs 110,00 ..	F. 104,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

## Jak Polak z Polakiem

### ROZDROŻY CIĄG DALSZY

*Dzisiaj główną potrzebą społeczeństwa jest potrzeba nadziei. Trzeba przełamywać kryzys, który moim zdaniem jest w większym stopniu kryzysem społecznym niż ekonomicznym. Zdecydowanie nie zgadzam się z twierdzeniem, jakoby przyczyną istniejącej sytuacji był przede wszystkim kryzys gospodarczy oraz, że już z tego kryzysu wychodzimy. Tak nie jest. Tkwiemy wciąż bardzo głęboko w kryzysie społecznym i politycznym. Społeczne aspiracje rozbudzone niesłychanie silnie w roku 1980-tym nie zostały zaspokojone. Uważam, że jest to zasadniczy czynnik konfliktogenny.*

(Prof. Andrzej Stelmachowski — przew. KIK, Przegląd Katolicki).

We wrześniu ubiegłego roku władze wypuściły na wolność prawie wszystkich więźniów politycznych, czyniąc w ten sposób istotny krok w kierunku normalizacji stosunków w kraju. W tym roku „Solidarność” praktycznie odmówiła przyjęcia milionowej dotacji Kongresu Stanów Zjednoczonych, wykonując w ten sposób kolejny krok w kierunku niezadrażniania stosunków z władzami i wykazywania dobrej woli na drodze porozumienia narodowego<sup>1</sup>. Tak więc dialog bez słów trwa, trudno tylko zorientować się, kto go prowadzi, jakie są jego przesłanki i cele i czego można po nim oczekiwać. Jak dotychczas wszelkie komentarze, jakie na ten temat słyszałem, miały charakter głównie etyczno-moralny, a więc, jak głoszą koledzy z *Res publiki*, wtórny w stosunku do podstawowych zadań polityki. Choć się z tym poglądem nie

1. Reakcja rzecznika rządu p. Urbana wskazywałaby na to, że krok ten został przyjęty raczej sceptycznie i szyderczo jako wyraz słabości, ale p. Urban dla szyderstwa i „wicu” gotów ojca i matkę sprzedać, nie mówiąc już o innych drobiazgach, tak, że może nie ma się czym przejmować.

zgadzam, gdyż uważam, że polityka realizując „interesy” zawsze musi się kierować pewną hierarchią wartości podlegającą ocenie moralnej, to tym razem postaram się przeanalizować decyzję z punktu widzenia interesów „Solidarności” i społeczeństwa polskiego, pozostawiając sprawę „honoru Polaków” osobom bardziej wrażliwym na tę kwestię.

Chcąc ocenić jakąś decyzję, należy w pełni, jeśli to możliwe, poznać i zanalizować sytuację, w jakiej została podjęta. Spróbujmy to zrobić, koncentrując się na kilku spośród ogromnej liczby istotnych czynników, a mianowicie na takich elementach jak polityka władz, stan społeczeństwa i opozycji w szczególności, czy wreszcie rozwój sytuacji międzynarodowej i jego skutki dla Polski.

### *Izolacja władzy*

Zasadniczym elementem sytuacji jest, moim zdaniem, bierność i apatia społeczeństwa. Jak już pisałem w poprzednim artykule<sup>2</sup>, władza, która narzuciła społeczeństwu stan wojenny, znalazła się w próżni. Przemoc pozwoliła jej zdemontować niezależne struktury organizacyjne społeczeństwa i pohamować niepożądane dla władz społeczne aspiracje, nie zdołała jednak przedstawić społeczeństwu powszechnie akceptowanego programu odbudowy kraju.

Spółceństwo, potraktowane z pełną arogancją w grudniu 1981 roku, w rezultacie odmówiło władzy współpracy, odmówiło współodpowiedzialności, odnosząc się z całkowitą nonszalancją do jej poczynań czy zarządzeń. O ile w początkowym okresie po wprowadzeniu stanu wojennego wiązano poważne nadzieje z odrodzeniem „Solidarności” i stworzeniem własnego programu odnowy, to po kolejnych porażkach związku nastąpiło zniechęcenie i ucieczka w sferę prywatności oraz walki z ciągle narastającymi trudnościami dnia codziennego. Władza, która wygrała konfrontację z „Solidarnością”, poniosła druzgocącą klęskę w sferze oddziaływania społecznego. Dziś wszelkie inicjatywy władzy spotykają się tylko ze wzruszeniem ramion, na wszelkie jej działania społeczeństwo pozostanie obojętne. Nie chciałbym, aby to, co piszę było poczytane za całkowitą afirmację tego stanu rzeczy, jako stanowisko „im gorzej tym lepiej”. Daleki jestem od takiego programu, ale chciałbym, żeby ta konstatacja, jedna z podstawowych dla sytuacji w Polsce, stała się całkowicie jasna dla wszystkich zwolenników porozumienia (w Kraju i za granicą). Porozumienie elit nie musi być jednoznaczne z porozumieniem powszechnym.

2. „Rozdroża 'Solidarności'”, *Kultura* nr 1-2/1987.

Izolacja, w jakiej znalazły się władze PRL, zmusiła je do prowadzenia polityki mającej poszerzyć ich bazę społeczną. Ma temu służyć polityka demokratyzacji władzy i liberalizacji gospodarki, a także kokietowania środowisk opiniotwórczych czy nieantagonizowania elit<sup>3</sup> „Solidarności”.

Polityka taka, niewątpliwie na dalszą metę racjonalna, utknęła jednak w sferze sprzeczności pomiędzy interesami społeczeństwa domagającego się autonomii a interesami aparatu władzy, dążącego za wszelką cenę do utrzymania swej niczym nie usprawiedliwionej i społecznie nie akceptowanej pozycji. Ten konflikt towarzyszył „Solidarności” od chwili powstania, a jego grudniowe rozwiązanie na niekorzyść społeczeństwa musi budzić uzasadniony pesymizm.

Tym niemniej władza właśnie taką politykę podjęła, przedkładając społeczeństwu, ale również zachodniej opinii publicznej cały pakiet demokratyzujących i liberalizujących propozycji.

### *Pozorna demokratyzacja*

Jedną z takich czołowych propozycji jest tzw. II etap reformy. Opinia publiczna pokpiwa sobie, że i tak po kilkunastu etapach rozstrzygnięcie nastąpi podczas kryterium ulicznego i nie sposób się dziwić jej brakowi entuzjazmu, bo jeśli I etap praktycznie nie zaznaczył się w gospodarce, a II ogranicza się do powtarzania w kółko tez oczywistych dla każdego rozsądnie myślącego człowieka, to rzeczywiście trudno dać się porwać entuzjazmowi.

Zresztą same tezy do II etapu reformy to osobna kwestia. Trudno mi tu analizować wszystkie zawarte w nich sprzeczności i niekonsekwencje, zrobił to zresztą doskonale Ernest Skalski w *Tygodniku Powszechnym*. Dla potrzeb niniejszego opracowania wystarczy stwierdzić, że z zaproponowanego programu można dość swobodnie wykroić dwie całkowicie sprzeczne koncepcje na-prawy gospodarki. Jedna widzi ją w liberalizacji, w rozwoju niezależnych inicjatyw gospodarczych, w autonomii przedsiębiorstwa, w mechanizmach rynkowo-pięniężnych, w ograniczeniu roli interwencyjnej państwa, generalnie w tym, czego by oczekiwało społeczeństwo. Jednakże równoległe do tej funkcjonuje stara, skom-

3. Słowa „elita” używam nie w znaczeniu wartościującym, lecz w powszechnie używanym sensie opisującym grupy kierownicze i opiniotwórcze. Teza moja znajduje oparcie w polityce represyjnej władz, które ograniczając zakres represji w stosunku do zaklasyfikowanych przez nich uczestników elity, nie szczędzą ich w stosunku do zwykłych aktywistów związku, dążąc w ten sposób do izolowania grup kierowniczych od ich bazy — ruchu masowego.

promitowana wielokrotnie koncepcja dyscyplinowania społeczeństwa i gospodarki poprzez centralne i system nakazowo-rozdzielczy. Ba, tylko ta druga koncepcja znajduje jak dotychczas odbicie w proponowanych przez władze aktach ustawodawczych. Odrzucony w ubiegłym roku przez Sejm pakiet ustaw, dotyczących przedsiębiorstwa i samorządu, czy przedstawiony społeczeństwu projekt nowelizacji kodeksu pracy są tego najlepszym dowodem.

Wyjątkowo represyjny i ograniczający uprawnienia pracownicze projekt nowelizacji kodeksu pracy ma również w preambule II etap reformy i naprawę gospodarki narodowej. W imię reformy wprowadza się dodatkowe kary, w imię reformy przywiązuje się ludzi do zakładu pracy, w imię reformy ingeruje się w uprawnienia kierownictwa do polubownego rozwiązywania konfliktów pracowniczych, w imię naprawy gospodarki przedsiębiorstwa pozbawia się pracowników przysługujących im praw. Podobne pomysły lansował Józef Stalin, ale nikt nie uważał, że usiłował on naprawić gospodarkę na drodze liberalizacji.

Z powyższego wynika, iż autentyczny kształt reformy nie jest właściwie dotychczas nikomu znany i będzie on wypadkową siły poszczególnych grup zainteresowanych w premiowaniu takiego, a nie innego jej przebiegu. Jakie są faktyczne intencje władzy, trudno odczytać. Z jednej strony władza zdaje sobie sprawę z tego, jakie idee są w społeczeństwie popularne, jakie idee społeczeństwo jest w stanie zaakceptować i chciałaby się do tych idei odwołać. Zdaje sobie również sprawę, że wszelkie inne usiłowania skazane są z góry na porażkę. Z drugiej strony idee te są nie do pogodzenia z dotychczasowym stylem zarządzania i z interesami aparatu polityczno-gospodarczego, stanowiącego, poza policją i wojskiem, jedyne zaplecze rządzących. Jak w tym stanie rzeczy prowadzić reformę, która za naczelną kryterium polityki kadrowej przyjmuje kompetencje, a nie polityczną lojalność? Jak rozwiązać nabrzmiały problem nomenklatury? Jak uwolnić spółdzielczość od wszelkich obowiązkowych centralnych zarządów i zjednoczeń? Jak zrezygnować z monopolu skupu czy handlu zagranicznego, jak się obyć bez dziesiątków instytucji kontrolnych? Instytucje te zatrudniają setki tysięcy ludzi, którym w wyniku gospodarczej anarchii i poszerzającej się korupcji udało się uzyskać małą stabilizację. I właśnie ci ludzie mieliby ową stabilizację burzyć w imię abstrakcyjnej reformy, która rzekomo naprawi gospodarkę, ale za to na pewno spowoduje ich deklasację? Nie, w tej sytuacji prawdziwe intencje władzy są naprawdę niezbyt istotne, a perspektywy reformy dość pesymistyczne. Siłą, która mogłaby wymusić rzeczywistą realizację reformy jest oczywiście społeczeństwo. Jest potencjalnie, aby jednak te możliwości faktycznie istniały, musiałyby być zorganizowane. A przecież władza

już ponad pięć lat trzusi się w pocie czoła, by doprowadzić do jego atomizacji.

To prawda, że istniały systemy autorytarne prowadzące zdrową politykę gospodarczą, ale nigdzie ingerencja władzy w tę dziedzinę nie szła tak daleko, że wręcz stała się podstawą jej bytu, a zaangażowany w to aparat tak liczny. Dlatego też pomysł naprawy gospodarki bez naruszania systemu władzy wydaje mi się nierealny, gdyż każda reforma, która miałaby przynieść efekty wiąże się właśnie z ograniczeniem interwencji władzy na tym obszarze. Sądzę więc, że słuszność ma prof. Stelmachowski, kiedy źródeł obecnego kryzysu upatruje w sytuacji społeczno-politycznej, a nie w procesach gospodarczych<sup>4</sup>. Zasadniczą różnicą dzielącą nas od normalnego społeczeństwa, posiadającego własne państwo i przyjmującego za nie odpowiedzialność jest ubezwłasnowolnienie. Bez uzyskania prawa głosu nie bardzo sobie wyobrażam mobilizacji społecznego wysiłku w imię dość abstrakcyjnych i w żaden sposób nie kontrolowanych celów.

Problem ten zdaje się dostrzegać również władza, zalewając nas w ostatnim czasie potokiem fasadowych instytucji demokratycznych. Rzecz jednak w tym, że powołując nowe instytucje nie uruchamia się żadnych mechanizmów, mogących pozwolić społeczeństwu wpływać na władzę. I cóż z tego, że powoła się kolejne rady gospodarcze, społeczno-gospodarcze, konsultacyjne nawet do szczebla gminnego, gdy po pierwsze zasiądą w nich nominaci władzy, a po drugie ich opinie i tak nie będą dla nikogo wiążące. Może to i tak jakiś postęp, że władza w ogóle jest zainteresowana tym, co myśli społeczeństwo, ale do realnego wpływu społeczeństwa na decyzje władzy droga daleka.

Takie posunięcia, jak powołanie Trybunału Konstytucyjnego, Trybunału Stanu czy Rzecznika Praw Obywatelskich zgodne są z tendencjami demokratycznego prawodawstwa, żywcem wyjęte z programu NSZZ „Solidarność” uchwalonego na I Krajowym Zjeździe Delegatów. Wydawałoby się, że to jest właśnie to, czego oczekuje społeczeństwo, a jednak nie, gdyż każda z powołanych instytucji jest w gruncie rzeczy karykaturą oczekiwań. Trybunał Stanu nie był w stanie rozwiązać problemu odpowiedzialności ekipy Gierka, Trybunał Konstytucyjny uchyla się przed problemem zgodności ustawy o związkach zawodowych z Konstytucją i międzynarodowymi zobowiązaniami PRL, wreszcie Rzecznik Praw Obywatelskich pozbawiony swego społecznego wybieralnego charakteru staje się jeszcze jedną instytucją zdobiącą fasadę praworządności PRL.

4. Warto przypomnieć, że prof. Stelmachowski wyniósł spore doświadczenia z rokowań w sprawie Fundacji Rolnej, której los może być probierzem otwartości władz na niezależne, społeczne inicjatywy gospodarcze.

Trzeba zresztą przyznać, że w dziedzinie praworządności rzeczywiście obrodziło: Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny, Prokurator Generalny pełniący z mocy Konstytucji nadzór nad przestrzeganiem prawa, a jeszcze Rada Państwa, Komisja Sejmowa, Minister Sprawiedliwości czy wreszcie kiszczakowski Komitet d/s Przestrzegania Praworządności i Porządku Publicznego. Wydawałoby się, że starczy. A jak jest, każdy widzi. Problem nie polega na tworzeniu nowych instytucji, lecz na ich odpowiedzialności przed społeczeństwem. Każda instytucja znajduje się pod presją tego, kto ją powołał i właśnie jego interesy realizuje w pierwszym rzędzie. Dyrektor powołany przez organ założycielski, poseł, radny, członek kolejnej rady, mianowani przez system, który określam umownym terminem władzy, muszą jej podlegać i muszą się z nią liczyć, a ich znaczenie jako przedstawicieli opinii publicznej wobec władzy jest niewielkie. Przecież nie społeczeństwo ich wybrało i nie społeczeństwo będzie ich odwoływało.

Demokracja polega właśnie na tym, że społeczeństwo działa poprzez wybieranych przez siebie przedstawicieli i jeśli ten mechanizm nie funkcjonuje, to nie ma demokracji. W świetle tej prostej, banalnej prawdy widać, że powoływanie kolejnych instytucji ani na jotę nie przybliży nas do udziału społeczeństwa we władzy, a sądzę, że jest to warunek konieczny, by społeczeństwo odpowiedziało jakimkolwiek zainteresowaniem na proponowane reformy.

Wśród rozmaitych posunięć władzy, dążącej do zmniejszenia swej społecznej izolacji, zostały też podjęte wysiłki na rzecz przybliżenia do współpracy ludzi obdarzonych osobistym autorytetem społecznym. Tak więc do kolejnych rad wkładano jak rodzynki do ciasta ludzi, których dotychczasowa działalność spotykała się ze społeczną akceptacją i uznaniem. Jakie były motywy uczestnictwa tych ludzi w inicjatywach władz? Trudno przesądzać, ale myślę, że bardzo często pozytywne. Zablokowanie wszelkiego rodzaju aktywności społecznej poza strukturami władzy, katastrofalna sytuacja kraju, faktyczny brak centrum mogącego inicjować proces odnowy, to elementy, które mogły ich skłaniać do współpracy z władzą taką, jaka jest, jeśli jako alternatywę widziano wyłącznie marazm i apatię. Mimo, iż powoływane przez władzę instytucje na ogół nie wносиły niczego nowego do sytuacji społeczno-politycznej kraju, a uczestnictwo w nich powodowało degradację zaangażowanych w to autorytetów, to jednak tego rodzaju polityka otwarcia zastosowana przez władzę przyniosła pewne sukcesy w przełamywaniu barier oddzielających ją od elit opiniotwórczych kraju. Kokietowaniu owych elit służy też cały wachlarz innych środków, jak liberalizacja cenzury, zezwolenia, a właściwie jedno zezwolenie na wychodzenie niezależnego czaso-

pisma, czy też zezwolenia na istnienie niezależnych — jak dotychczas dwóch — towarzystw gospodarczych.

Wszystkie te działania stanowią niewątpliwie o jakimś otwarciu władz na opinię społeczeństwa i daleki byłbym od niedocenia ich znaczenia czy kwestionowania dobrej woli uczestniczących w nich ludzi. Obawiam się natomiast, czy rezonans społeczny tych inicjatyw oraz skutecznie ograniczany przez władzę zasięg ich oddziaływania na społeczną aktywność jest w stanie wynagrodzić uczestnikom użytkowanie ich w charakterze listka figowego. Władza podejmując pozytywne decyzje w tych sprawach ma naprawdę niewiele do stracenia, bo społeczeństwo i tak z większą lub mniejszą aktywnością będzie kontynuować działania niezależne, gdyż wydawnictwa drugiego obiegu stworzyły sytuację, w której — jak powiedział Jacek Kuroń — „można uprawiać starą propagandę dla nikogo, bądź też mówić prawdę lub choćby częściową prawdę”. W takiej sytuacji legalizacja pewnych inicjatyw, szczególnie o ograniczonym zasięgu, w praktyce niewiele władzę kosztuje, natomiast daje jej korzyści w postaci uznania i jakiegoś jednak liczenia się z nią, a oprócz tego stanowi sposób zjednywania sobie elit opiniotwórczych i odbudowywania w oparciu o nie swojego autorytetu.

Nie podzielałam poglądu, iż władza jest uodporniona na presję społeczną. Jak starałem się wykazać, wszystkie elementy otwarcia są wynikiem stałej, choć słabnącej presji społeczeństwa, wynikiem istnienia alternatywy w postaci nielegalnej działalności niezależnej. Ponieważ nigdy nie wierzyłem i nie wierzę w znaczenie dobrej lub złej woli w polityce, pozwałam sobie wątpić, czy władza będzie kontynuować tę politykę z chwilą ostatecznego załamania struktur całkowicie od niej niezależnych. Proces ten przypomina trochę to, co działo się z polską inteligencją w latach 1945-1948, kiedy nacisk położenia gospodarczego kraju z jednej strony i otwarta polityka władz z drugiej doprowadziły do sytuacji, która na lata pozbawiła społeczeństwo aktywności elit kulturalnych. Nie mówię tu o terrorze stalinowskim, który stał się możliwy dopiero po wstępnej pacyfikacji kręgów opiniotwórczych. Oczywiście na tym początkowym etapie trochę terroru też się przydało, żeby zachęcić opornych. Mówię o okresie poprzedzającym, który już wcześniej doprowadził do wyalienowania inteligencji, albo poprzez nakłonienie jej do współpracy z władzą „taką, jaka jest”, albo do emigracji, także wewnętrznej. Warto tu zresztą zauważyć, że role tzw. „lewicy” i „prawicy” mogą być tym razem łatwo odwrócone. Historia nie musi się powtarzać, ale może.

Podsumowując chciałbym powiedzieć, że niewątpliwie cieszą mnie wszelkie przejawy oficjalnej, legalnej działalności niezależnej i skłonny jestem traktować je jako jedną z możliwości ewo-

luowania systemu, ale jednocześnie uważam, że wszystkie one są bardziej wynikiem konsekwentnej presji społecznej i niezależnej działalności podziemnej, niż dyplomatycznych zabiegów. Działalność dyplomatyczna tylko wtedy ma sens, gdy jest oparta na silnej bazie społecznej. Dający się ostatnio zaobserwować gwałtowny pęd do budowania struktur akceptowanych przez władzę jest o tyle korzystny, o ile otwiera nowe drogi aktywności i o tyle szkodliwy, o ile godzi w podstawy oporu społecznego. Zatomizowane środowiska nie są partnerem dla władzy, natomiast jest nim milczące i nieufne społeczeństwo.

### *Kościół a „Solidarność”*

Omawiając sytuację społeczną w kraju nie sposób nie wspomnieć o roli Kościoła katolickiego, jego stosunków z państwem i jego stosunku do opozycji demokratycznej i „Solidarność” w szczególności. Sprawa ta jest dość dyskretna i niechętnie poruszana, gdyż polityka hierarchii kościelnej rozmija się w znacznej mierze z oczekiwaniami poważnych grup społecznych. Otóż nazywając rzecz po imieniu, Kościół przestał popierać „Solidarność”. To, co piszę, nie dotyczy oczywiście wcale niemałej grupy księży, którzy poszukując ze swoimi parafianami nowych dróg realizowania aktywności społecznej, nie rezygnują z sympatii i przywiązania do „Solidarność”. Ale są oni przedmiotem stałej presji ze strony hierarchii, a w poszczególnych przypadkach nawet różnego rodzaju restrykcji (przeniesienia).

Nie nastąpiło to z dnia na dzień, zaczęło się od krytyki rozczapierzonych palców, skończyło na eliminacji wszelkich symboli związku podczas uroczystości kościelnych. Kulminacją była wizyta Jana Pawła II, podczas której Kościół dołożył chyba nie mniej starań niż państwo, ażeby „niepotrzebne napisy i symbole” nie zakłóciły powagi i skupienia, jakie powinno towarzyszyć Kongresowi Eucharystycznemu i pielgrzymce Ojca Świętego. Zresztą proces eliminowania „Solidarność” z Kościoła trwa i nie ominął nawet uroczystości związanych z rocznicą Porozumień Sierpniowych. Trudno nie zauważyć, że nie zawsze tak bywało i na przykład sztandary „Solidarność” podczas uroczystej mszy inauguracyjnej I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” nie godziły w uczucia religijne celebrans kardynała Józefa Glempa, natomiast godzi w nie splachetek płótna z napisem „Solidarność”, przyniesiony za pazuchą z narażeniem wolności na uroczystość na przykład pielgrzymki świata pracy. Ten prosty przykład ilustruje chyba dość dobitnie, że to nie liturgia i transcendentne obowiązki Kościoła uległy tak daleko idącym zmianom, ale właśnie polityka

ziemska, doczesna, odcisnęła swe wyraźne piętno na stosunku hierarchii kościelnej do „Solidarność”.

Zresztą jeśli tak się stało, to nie jest to wina wyłącznie Kościoła, ale również przywódców związkowych, którzy starając się uniknąć odpowiedzialności za ruch społeczny, uznali tożsamość trójczłonu „Solidarność — Naród — Kościół” i nie chcąc psuć harmonii, mniej lub bardziej entuzjastycznie przyklaskiwali działaniom Kościoła, wyrzekając się inicjatywy politycznej.

Stan ten trwa do dnia dzisiejszego i interesy związku podporządkowane są domniemanym intencjom Kościoła. W adresie wystosowanym z okazji przyjazdu Ojca Świętego przez grono sześćdziesięciu paru osób zaproszonych przez Lecha Wałęsę, w tym przywódców związkowych, doradców i w przygniatającej mierze ludzi identyfikujących się z „Solidarnością”, ani razu nie pada to słowo. Przepraszam — raz, kiedy mówi się, że wyrzeczenie się przemocy stanowi „sens doświadczenia ‘Solidarność’”. Co do mnie, to uważam, że sens doświadczenia „Solidarność” był znacznie, ale to znacznie szerszy niż jej stosunek do przemocy, a po drugie zwrot „sens doświadczenia ‘Solidarność’” sugeruje, że „Solidarność” już nie ma, rozpoczynamy nowy rozdział, z poprzedniego pozostało nam tylko doświadczenie. Tego rodzaju stanowisko wyrażają ludzie, których autorytet budowany jest poprzez dodatek „przywódca związkowy”, bądź „doradca NSZZ ‘Solidarność’”. Wyobrażam sobie, że ogromna większość ludzi podpisujących ten dokument nie zauważyła tego mankamentu wśród niewątpliwie słusznych i powszechnie uznawanych stwierdzeń. Ktoś jednak ten dokument redagował. Dlaczego nie stwierdził przedtem jednoznacznie, że „Solidarność” to czas przeszły i że należy poszukiwać realizacji podstawowych praw społeczeństwa na innej drodze? Dlaczego się po prostu nie wypisał? Bo za wcześniej. Bo jeszcze ciągle w oczach szerokiego społeczeństwa związek z „Solidarnością” buduje wiarygodność i prestiż społeczny. Może to rzeczywiście praktyczne i słuszne politycznie, ale czy na pewno moralne?

Po tym co powiedziałem odpowiedzialność hierarchii kościelnej za zaistniały stan maluje się w trochę innym świetle. Bo Kościół to nie „Solidarność”, a od partnera ma się chyba prawo wymagać charakteru i tożsamości politycznej. Kościół ma swe własne interesy, a jego działalność społeczna jest przedmiotem ciągłych przetargów z władzami. „Solidarność” nie jest jedyną możliwością realizacji autonomicznych praw społeczeństwa, łatwo sobie wyobrazić dziesiątki innych dróg. Którą z nich wybiera Kościół, trudno powiedzieć, ale odrodzenie „Solidarność” na pewno zostało odrzucone. Czy słusznie? Czy można budować samodzielne społeczeństwo negując symbole i tradycje skupiające społeczną sympatię i nadzieję?

Można przypuszczać, że Jan Paweł II, który jest ogromną indywidualnością i ma niewiarygodny wprost dar kontaktu z masami, zauważył szczylinę rysującą się pomiędzy społeczeństwem a hierarchią kościelną. W przemówieniu do Konferencji Episkopatu powiedział: „Z racji swej misji ewangelicznej i pasterskiej Kościół nie może przestać być służą takich zadań, jak podmiotowość społeczeństwa, związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Z tym łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o prawach własnego społeczeństwa również w zakresie politycznym z wykluczeniem wszelkich dyskryminacji. Suwerenność państwowa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku, gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie, gdy społeczeństwo jest w nim autentycznie gospodarzem i twórcą wspólnego dobra. Wszystkie te sprawy nie mogą schodzić z pola uwagi Kościoła, a w szczególności Jego pasterzy. Tak jest w różnych krajach świata, tak jest na przykład w wielu krajach Ameryki Łacińskiej — w Polsce nie może być inaczej. Mamy zresztą co do tego rodzime dobre tradycje i własne doświadczenia, również na ostatnim etapie dziejów”. Jeśli dodamy, że zostało to wypowiedziane w kontekście sceptycznego stosunku Papieża do propozycji nawiązania przez Watykan stosunków dyplomatycznych z PRL, propozycji akceptowanej przez Episkopat Polski, to wypowiedź tę możemy traktować prawie jako wytknięcie, jako wyraz obaw, że Kościół polski wyalienuje się ze społeczeństwa.

### Co daje nam pieriestrojka

Na zakończenie uwag o sytuacji w jakiej przychodzi nam działać, parę słów o polityce międzynarodowej. Ponieważ jest już prawie nietaktem towarzyskim o tym nie mówić, a więc Gorbaczow, *glasnost* i *pieriestrojka*. Czy reforma Gorbaczowa ma charakter autentyczny? To oczywiście zależy od tego, co kto rozumie przez „autentyczność” i co Gorbaczow uważa za cel. Osobiście skłonny jestem sądzić, że Gorbaczow w ogóle nie wyobraża sobie stanu, do którego chce dojść, a jeśli nawet, to poza sferą gospodarczą mało odbiega on od stanu wyjściowego. Tym niemniej uważam, że reforma jest autentyczna, ponieważ stanowi ona o być albo nie być Związku Sowieckiego i musiałaby zostać w tej czy innej formie podjęta przez każdego nie całkiem zesklerotyniałego przywódcę sowieckiego. Oczywiście jej głównym celem jest podniesienie wydajności i unowocześnienie gospodarki sowieckiej, ale ponieważ podobnie jak w Polsce jest to ściśle związane z polityką społeczną, więc *nolens volens* wymaga reform i w tej sferze. Ponieważ reforma nie jest sprawą dobrej czy złej

woli Gorbaczowa, ale w pierwszym rządzie sprawą oporu materii ludzkiej (interesy aparatu, przygotowanie i rozbudzenie społeczeństwa), to życzyłbym społeczeństwu sowieckiemu, aby u schyłku panowania Gorbaczowa osiągnęło ten poziom swobód obywatelskich, jakim dysponujemy obecnie w Polsce.

Reforma to nie akt, lecz proces, w tak wielkim kraju na pewno długotrwały, ulegający przyśpieszeniom i zahamowaniom w miarę rozwoju sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej. Czynniki oddziaływujące w tak długim okresie czasu na kształt reformy są różnorodne, tak, że efekt końcowy jest prawie nieznany. W świetle powyższego zachodnia fascynacja *pieriestrojką* wydaje mi się dość powierzchowna. Tym niemniej jest ona faktem niezmiernie istotnym dla kształtowania polityki międzynarodowej. Powoduje ona, że rodzi się przed nami nowy etap odprężenia, a jaki będzie jego charakter, jakie miejsce zajmie w nim problem praw i wolności ludzkich, praw społeczeństw i narodów trudno w tej chwili przesądzać. Byłbym zresztą w tej sprawie raczej optymistą.

Co reformy Gorbaczowa mogą przynieść państwom satelitarным, takim jak Polska? Myślę, że w pierwszym rządzie ożywie nie społeczeństw, a rządów większą swobodę manewru w sprawach wewnętrznych. To, co w tej chwili piszę, opiera się na faktach, choć za dalszy rozwój tych procesów nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności. Demonstracje w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD, ba, nawet pewne ożywienie w Bułgarii — to fakty. Aktywizacja Karty 77, aktywizacja kół demokratycznych w ZSSR, powstawanie tu i ówdzie na terenie demokracji ludowych nowych grup opozycyjnych, rozwój ruchu pacyfistycznego i kontestującego, pojawianie się nowych nazwisk, to wszystko zjawiska słabe jeszcze, bardziej lub mniej ostro tępiące przez władzę, ale wyznaczające w jakiejś mierze przyszłość. Dlatego też działania podejmowane w celu nawiązania kontaktów, wymiany doświadczeń i współpracy uważam za jedno z bardziej pozytywnych, jakie w roku bieżącym podejmowano (symposium WiP-u, kontakty z Kartą 77).

Jeśli chodzi o rozszerzenie marginesu swobody, jakim dysponują rządy krajów satelitarnych, to i tu trudno przesądzać o perspektywach. *Pieriestrojka* nie ma się przecież zakończyć rozpadem imperium sowieckiego. W każdym bądź razie jest ono na obecnym etapie również faktem. Sądzę, że bez Gorbaczowa niemożliwe byłoby uwolnienie w zeszłym roku wszystkich więźniów politycznych w Polsce. Zbyt silna była oparta o Moskwę opozycja konserwatywna w partii. Zresztą i wielomiesięczne niezwykle burzliwe dzieje amnestii są tego dowodem.

Drugim elementem politycznego manewru jest sprawa „białych płam”.



General Jaruzelski mówiący o deportacji ludności z terenów kresowych na wschód, nazywający wkroczenie wojsk sowieckich w 1939 roku naruszeniem suwerenności państwowej Polski, otrzymuje nowy atut do ręki, przestaje negować to, o czym wie cały naród, zbliża się do społeczeństwa. W zakłętym kręgu przedgorbaczowowskiego tabu musiałby, niezależnie od swych osobistych doświadczeń, pozostać na zewnątrz. Tak więc nie ulega dla mnie wątpliwości, że sfera suwerenności w polityce wewnętrznej państw demokracji ludowej wzrosła. Na ile, trudno powiedzieć. Jak zostanie wykorzystana, to sprawa nie tylko rządów, ale również presji społeczeństwa i oporu spetryfikowanego aparatu władzy.

### *Nowa polityka amerykańska*

Pisząc o umiarkowanym optymizmie co do wagi praw i swobód ludzkich w polityce nowego etapu odprężenia, miałem na myśli postawę krajów zachodnich. W końcu nie sam Gorbaczow określa warunki porozumienia. Wylansowana przez prof. Brzezińskiego koncepcja, iż poszanowanie praw człowieka powinno być ideową przesłanką polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych znalazła dość konsekwentną i chyba owocną realizację podczas obu kadencji prezydenta Reagana. Co więcej, rozszerzyła się na kraje Europy Zachodniej i musiała z większym lub mniejszym entuzjazmem zostać zaakceptowana przez różnej barwy odłamy opozycyjne (mało chlubny wyjątek stanowi tu SPD). W chwili obecnej nic nie wskazuje na to, aby koncepcja ta miała zostać nagle odrzucona. Natomiast popularny podczas poprzedniej *détente* pomysł okupowania się Związku Sowieckiego poprzez finansowanie gospodarki krajów komunistycznych ma obecnie coraz mniej zwolenników. Dlatego też nie wierzę, ażeby uprawiane zarówno przez nasze władze, jak i przez niektórych doradców „Solidarności” nagabywania Amerykanów o dofinansowanie gospodarki PRL poprzez udzielanie rządowi kredytów mogło przynieść rezultaty na miarę oczekiwań. Sądzę natomiast, że z takim poparciem mogłyby się spotkać niezależne inicjatywy gospodarcze kontrolowane przez społeczeństwo. Przykładem może być zainteresowanie Amerykanów sprawą fundacji rolnej. Warto zauważyć, że presja amerykańska była bardzo wyraźna i bardzo konsekwentna, a wraz z zerwaniem rozmów w tej sprawie wygasło również zainteresowanie Fundacji Rockefellera problemami polskiego rolnictwa, mimo perspektyw, jakie rysowano podczas szesznastomiesięcznego pobytu generała Jaruzelskiego w Nowym Jorku<sup>5</sup>.

5. Piszę o Amerykanach, których polityka jako wielkiego mocarstwa jest oczywiście najbardziej aktywna i dostrzegana, ale należy zauważyć, że akurat w tej sprawie panuje duża zgodność wśród krajów zachodnich i zasady polityki polskiej USA są w dużej mierze akceptowane przez inne kraje.

Niezależnie od normalizacji stosunków z rządem PRL, kraje zachodnie nie odeszły od pewnego kanonu politycznego wypracowanego w latach 1981-1987, co więcej zaczynają go rozszerzać na stosunki z innymi państwami bloku. Mianowicie po fenomenie „Solidarności” zrozumiano, że partie komunistyczne nie są jedynym reprezentantem społeczeństw krajów obozu wschodniego. Myślę, że politycy krajów zachodnich rozumieli to już dawniej, ale ulegali komunistycznej presji. Teraz przestali ulegać. Postanowiono traktować kraje komunistyczne tak jak wszystkie inne — może się Jaruzelski spotykać z Voglem, może Whitehead spotykać się z Wałęsą. Co innego stosunki dyplomatyczne rządów, a co innego kontakty towarzyskie i wymiana poglądów, *nota bene* gwarantowana porozumieniami helsińskimi. Nie wyobrażam sobie, aby na przykład obecność przedstawicieli partii komunistycznej na bankietach w ambasadzie polskiej czy sowieckiej mogła zaważyć na przyjęciu bądź odrzuceniu zaproszenia przez kogoś z polityków zachodnich. I dlatego stanowisko polskiego rządu bojkotującego przyjęcia w ambasadach zachodnich, na których obecni są przedstawiciele opozycji zaczyna być coraz bardziej śmieszne i anachroniczne. Jest to na pozór sprawa drobna, ale bardzo znamienne dla ostatnio prowadzonej polityki państw zachodnich i kiedy minister spraw zagranicznych Austrii (tak, Austrii) przyjął na śniadaniu Vaclava Havela, odebrałem to prawie jako osobisty sukces.

### *Znamienne losy miliona dolarów*

Generalnie rzecz biorąc, kraje zachodnie przestały dostrzegać w swej polityce wyłącznie rządy bloku wschodniego, a zaczęły dostrzegać również społeczeństwa. Wyrazem tej tendencji może być przyznanie przez Kongres amerykański dotacji jednego miliona dolarów dla NSZZ „Solidarność”. Myślę, że obok sympatii dla niezależnego ruchu w Polsce w geście tym mieści się również stwierdzenie, że współcześni Amerykanie nie uważają Jałty za ostateczne przyłączenie krajów Europy Wschodniej do sowieckiego imperium i że są zainteresowani budową demokratycznych społeczeństw również na wschód od Łaby. Być może było w tym trochę entuzjazmu dla postawy i etosu „Solidarności” (uchwałą przyjęto jednomyślnie), być może trochę reaganowskiej polityki „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”, ale fakt ten jest przynajmniej dla mnie osobiście bardzo przyjemny i optymistyczny.

Na zakończenie chciałem zauważyć, że Kongres Stanów Zjednoczonych nie czuje się ani zakłopotany, ani speszony mówiąc na głos NSZZ „Solidarność”, a u nas już prawie nie wypada być aż tak naiwnym. Strasznie głupi są ci Amerykanie.

Tak oto doszliśmy do miliona dolarów, która to sprawa stanowi bardzo dobrą podstawę do analizy sytuacji polskiej opozycji. Dla jasności sytuacji muszę powiedzieć, że mimo iż jestem szefem Komisji Interwencyjnej, jednej z bardziej finansochłonnych placówek związku, nic mi nie wiadomo jak do podjętych decyzji doszło, kto je podejmował i jakimi się kierował przesłankami. Tak więc to co piszę jest oparte na informacjach pani Lasoty z *Kultury* paryskiej, przypadkowych przeciekach oraz tym, co powiedział nieoceniony Jerzy Urban. Jeśli ktoś kompetentny zabierze w tej sprawie głos — to czas już najwyższy. Generalnie sprawa wygląda tak: Kongres amerykański przegłosował dotację w wysokości jednego miliona dolarów dla NSZZ „Solidarność”. Dlaczego tak się stało, dlaczego zrezygnowano z dotychczasowej drogi finansowania „Solidarności” za pośrednictwem rządowej fundacji NED (Fundacja na rzecz Demokracji) i centrali związkowej AFL-CIO, trudno powiedzieć, może chodziło o silniejsze zaakcentowanie w stosunku do władz polskich, że Amerykanie wcale nie uważają sprawy „Solidarności” za przesadzoną, może o wykazanie, że polityka USA będzie się orientowała nie tylko na rządy państw Europy Wschodniej, ale również na ich społeczeństwa. Możliwe też, że chodziło o wewnątrzamerykańskie problemy wyborcze. Cemu splendor (tam „na antypodach” to może nieduży, ale jednak splendor) popierania „Solidarności” ma spadać na AFL-CIO stanowiącą bazę partii demokratycznej, kiedy pieniądze na ten cel pochodzą od wszystkich podatników amerykańskich? Niewykluczone, że decydowało coś zupełnie innego, w każdym bądź razie uchwałę podjęto. Jerzy Urban zareagował alergicznie, głosząc, że działacze przechodzą na żołąd rządu USA<sup>6</sup>, że to srebrniki, że przyjęcie tych pieniędzy jest harakiri „Solidarności”. Ponieważ przedstawiony przez pana Urbana repertuar był już znany od lat, a nowe wystąpienie nie zawierało żadnych elementów twórczych, nie sądziłem, aby mogło zrobić na kimś wrażenie. A jednak widać zrobiło, bo „Solidarność” w liście podpisanym przez Lecha Wałęsę pieniądze przyjęła i nie przyjęła<sup>7</sup>.

Tak więc „Solidarność” dialektycznie podziękowała Kongresowi za przyznaną dotację i jednocześnie powiedziała, że jest na tyle zamożna, że swą działalność sfinansuje z innych źródeł (na

6. Widocznie opierając się na doświadczeniach polskich nie może sobie wyobrazić, że parlament może przyznać pieniądze bez zgody rządu i że wystarczy do tego wniosek kongresmenów. Ale USA to nie PRL i tożsamość tych dwóch instytucji nie jest tam aż tak daleko idąca jak w Polsce (patrz sprawa Iranu i *contras*).

7. Pogląd Arystotelesa wyrażony w „*Metafizyce*” — „niepodobna, ażeby coś było i nie było zarazem” — jest w świetle subtelnej polityki po prostu prostacki. Polityką rządzi dialektyka, ciekawe tylko, czy ta od Hegla, czy ta od Marksa.

pewno CIA bez wiedzy Kongresu), a otrzymane pieniądze przeznaczy na podupadającą w PRL służbę zdrowia i fundusz socjalny. O funduszu takim słyszę po raz pierwszy i nie wiem ani czemu on służy, ani kto nim dysponuje. Ale może po prostu takiego funduszu nie ma, a powiedziano to aby otrzeć łyżę zawiedzionym związkowcom. Rozwiązanie takie zadowolilo Jerzego Urbana, który oznajmił, że boi się posądzenia o bycie doradcą „Solidarności”. Dla prawdziwych doradców Wałęsy to mały komplement. Przeciaki mówią, że cel jest szlachetny, że w ramach tego celu zostaną zakupione dla szpitalnictwa sztuczne nerki i że nie wypada budować ruchu za pieniądze obcego mocarstwa.

Trudno negować, że stan polskiej służby zdrowia jest katastrofalny, ale wątpię, by milion dolarów mógł go w istotny sposób poprawić. Dlaczego nerki? A co z jednorazowymi strzykawkami, a co z indykatorami AIDS (krew do transfuzji), a co z lekarskami? Itd., itd.

Tyle o służbie zdrowia, ale powróćmy do drugiego argumentu, „nie wypada budować ruchu za pieniądze obcego mocarstwa”. Można by sądzić, że znajduje tu realizację znane twierdzenie Goebbelsa, że każde głupstwo powtórzone ileś razy staje się prawdą. No bo cóż, przez całe lata podziemnej działalności „Solidarności” płynęły pieniądze amerykańskiej fundacji rządowej NED na związek, na OKN-o, Polski Fundusz Wydawniczy, Polski Fundusz Praworządności, Komitet Helsiński, na działalność charytatywną i nikt się jakoś tym nie przejmował, a dziś „nie wypada”. Gdyby podobna decyzja Kongresu zapadła w roku 1982, to na drugi dzień pod ambasadą amerykańską zebrałyby się tłum wiwatujących warszawiaków. Więc jednak chyba nie o „wypada i nie wypada” chodzi, bo etos nie ulega tak szybkim zmianom i nie jest to sukces perswazji Urbana. Po prostu argument jest miarki i fałszywy, mający pokryć swą szlachetnością rzeczywiste, czyste polityczne motywy podjętej decyzji.

Jeszcze *à propos* „wypada”. O ile pamiętam, dotacja Kongresu przewidywała również wsparcie dla innych, pozasolidarnościowych ruchów niezależnych. Nie wiem, czy „Solidarność Walcząca”, KPN, WiP, NZS, nie mówiąc już o mniejszych grupach, są równie zamożne? Czy ktoś z nimi konsultował w ogóle decyzję? I czy to wypada lekceważyć wolę donatora i rozporządzać nie swoimi pieniędzmi?

Niemależ miary polityk i na ogół nie posądzany o zdradę interesów narodowych, Józef Piłsudski, mawiał, że przyjąłby pieniądze nawet od diabła, gdyby ten nie stawiał mu warunków. Ale Józef Piłsudski był również działaczem i potrzebował pieniędzy na działalność, a ponadto jeszcze i to chyba najważniejsze, wierzył w to co robił.

Sądzę, że właśnie tutaj, w wierze w realizowane cele i potrze-

bie tworzenia, bądź rezygnacji z tworzenia ruchu należy doszukiwać się genezy podjętej decyzji.

Osobiście widzę tylko dwa powody mogące w sposób racjonalny wyjaśnić odmowę przyjęcia pieniędzy. Pierwszy, to toczące się lub zamierzone rokowania z władzami, kiedy należy unikać pogarszania zaognionej sytuacji, drugi to brak wiary ludzi podejmujących decyzję w możliwość celowego i społecznie akceptowanego rozdysponowania tej sumy. Skłonny jestem przypuszczać, że prawdziwe są oba motywy. Przy okazji przekazania funduszy nie zrobiono niczego, co mogłoby podnieść i umocnić prestiż „Solidarności”<sup>8</sup>. Można sądzić, że wynika to z niewiary w jej społeczną nośność oraz z obawy zantagonizowania władz.

### *Negocjacje, rokowania, porozumienie*

Myszę, że amerykańskie pieniądze nie stanowią jedynej przeszkody w porozumieniu z władzami. Istnieje przynajmniej jeszcze jedna poważna trudność. Jest nią Biuro Zagraniczne NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Nigdy nie należałem do osób szczególnie zaprzyjaźnionych z Brukselą i Bruksela nigdy nie przejawiała szczególnej (powiedzmy ściśle — żadnej) troski o losy Komisji Interwencyjnej, ale pomysł likwidowania przedstawicielstwa „Solidarności” za granicą, jedynej instytucjonalnej formy działania związku, uznałbym po prostu za głupstwo. Chyba... chyba, że miałbym inne plany polityczne, plany w których „Solidarność” nie odgrywałaby już żadnej roli poza tradycją i „doświadczeniem”. Tylko że wtedy postarałbym się to publicznie zakomunikować.

Jak już powiedziałem, wcale nie jestem zdania, że „Solidarność” stanowi jedyną możliwość budowania podmiotowości społecznej, co jest chyba naczelnym i przez nikogo nie kwestionowanym celem działań opozycji. Spróbujmy więc spokojnie i bez uprzedzeń rozważyć obydwie opcje, jakie zarysowały się obecnie przed ruchem, opcję porozumienia i kompromisu z władzami i opcję działalności niezależnej. Spróbujmy zastanowić się, która z nich i w jakiej mierze działa na korzyść polskiego społeczeństwa, a jeśli obie, to w jakich proporcjach najlepiej temu społeczeństwu służą.

Z góry muszę uprzedzić, że ani opcji negocjacyjnej nie uważam

8. Kongres amerykański w ramach programu pomocy Polsce przyznał obok dotacji dla „Solidarności” wielokrotnie wyższą kwotę na poprawę stanu służby zdrowia oraz zakup leków i odżywek przez instytucje charytatywne. W jaki sposób obywatele PRL będą mogli odróżnić sprzęt medyczny i lekarstwa zakupione z tych środków od sprzętu medycznego i lekarstw sfinansowanych z pieniędzy przeznaczonych dla „Solidarności” i ruchu opozycyjnego w Polsce?

za tak atrakcyjną, ani opcji działalności niezależnej za tak bezna dziejną, jak to się przyjęło ostatnio sądzić.

Zacznijmy od „rokowań”. Nasuwa się tu od razu szereg pytań. Kto z kim? W jakim celu i jakim kosztem? Czy w ogóle jest sens o tym mówić?

Otóż wydaje mi się, że na pewno jest, chociażby dlatego, że się o tym nie mówi. Porozumiewanie się i kompromis to jednak stare jak świat narzędzia polityki i jeśli nie zamierza się działać przemocą i organizować rewolucji, natomiast ma się zamiar oddziaływać na kształt i charakter państwa, to w pewnym momencie należy oczywiście wynegocjować z władzami podstawy prawne działalności ruchu. Oczywiście każda ze stron stara się prowadzić takie negocjacje w najdogodniejszym dla siebie momencie i uzyskać najkorzystniejsze dla siebie warunki. Czy obecny moment jest dla „Solidarności” właściwy? Uważam, że nie, ponieważ związek jest bardzo rozbity, apatyczny, bierny i pozbawiony wiary w możliwość skutecznego działania. W tych warunkach jest bardzo słabym partnerem i właściwie w tego rodzaju negocjacjach nie można by liczyć na nic innego niż na dobrą wolę przeciwnika i dyktat. Aktualnie nie ma praktycznie żadnych czynników, które zmuszałyby władzę do ustępstw.

Czy więc dla władzy ma w ogóle jakikolwiek sens podejmowanie rozmów z „Solidarnością”? Wbrew temu o czym władza codziennie zapewnia i w co społeczeństwo uwierzyło — ma. Oczywiście nie jest to cel pierwszorzędny, ale cel taki dla władzy mógłby istnieć. Nie jest to ta sama władza, która w grudniu 1981, przekonana o swej wszechmocy, wprowadzała stan wojenny. Prawie sześć lat władztwa postawiło ją przed nierozwiązalnymi problemami kryzysu społeczno-gospodarczego. Władza nie mająca żadnego kontaktu ze społeczeństwem, żadnego autorytetu i żadnej egzekutywy jest również słaba i musi czynić starania, ażeby stan ten uległ zmianie. Dlatego też problem „Solidarności” nie jest jej zupełnie obojętny i może być rozpatrywany w dwóch kategoriach. Po pierwsze, w formie jakiejś reaktywacji związku, po drugie, w formie pozyskania sobie poparcia poszczególnych uczestników elit „Solidarności”.

W pierwszym przypadku racjonalny argument przemawiający za takim rozwiązaniem jest następujący: ruch jest słaby, uczestnicy są zniechęceni, istnieją wewnętrzne antagonizmy, a więc nawet po reaktywowaniu „Solidarności” nie byłaby w stanie, przynajmniej w krótkim czasie, odzyskać swej prężności z lat 1980-1981; zresztą tę ewentualną prężność można by z góry ograniczyć w warunkach negocjacji. Jakie korzyści mogłoby przynieść władzy takie rozwiązanie? Moim zdaniem niemałe. Po prostu podnieść jej prestiż międzynarodowy i wewnętrzny. Stworzyć kanał do komunikowania się ze społeczeństwem. Uzyskać jakąś siłę spo-

łeczną, która mogłaby się stać promotorem reformy gospodarczej i stanowiła legitymację podczas starań o kredyty międzynarodowe. Milion uchwalony przez Kongres odczytywałbym na miejscu władzy właśnie w ten sposób. Dodajmy, że gorbaczowowska *piestrojka* wydaje się stwarzać władzy takie możliwości. Tak, że korzyści nie są dla władzy wcale takie małe, a zagrożenie jakie mogłaby stanowić „Solidarność” bardzo nieduże.

Dlaczego więc władza jest mało skłonna do takiego rozwiązania? Dlaczego tak uparcie walczy z „Solidarnością”, ściga wszelkie jej przejawy i symbole? Dlatego, że podejmując tego rodzaju dialog podważyłaby swój prestiż wobec tych grup społeczeństwa, które stanowią jej dotychczasową bazę — aparat, policji, wojska — a to jest jak na razie jedyne jej wsparcie. Oczywiście w trudnej sytuacji władza i na to by się zapewne zgodziła, ale do tego celu „Solidarność” musiałaby być partnerem, który może stanowić oparcie i zrekompensować straty wewnątrz własnego obozu.

Drugi argument przemawiający przeciw takiemu rozwiązaniu to fakt, że władza ma lub raczej sądzi, że ma inne możliwości odbudowania swego prestiżu, a więc Kościół, poszczególne elity opiniotwórcze, korektura niektórych nieistotnych z punktu widzenia władzy, a bardzo drażniących społeczeństwo ograniczeń, na przykład „białych plam”.

Ten stan rzeczy będzie trwał i zależał od sytuacji i siły partnerów ewentualnego dialogu. Władza zresztą zdaje sobie z tego sprawę i jak już powiedziałem, w swej polityce represji stara się nie atakować zbyt mocno i nie antagonizować elit „Solidarność”. W wypadku buntu społeczeństwa, strajku, nim ponownie wyprowadzi czołgi na ulicę, wolałaby móc skorzystać z poparcia jakiegoś autorytetu, a do tego stanowczo bardziej nadają się Wałęsa, Bujak czy Frasiński, niż na przykład któryś z kościelnych hierarchów czy zasłużonych profesorów. Tylko, że w momencie krytycznym cena przywódców może okazać się za wysoka i dlatego korzystniejsze dla władzy byłoby pozyskanie ich teraz kiedy cały ruch ogarnięty jest apatią i niewiarą. Tak więc o ile wizja negocjacji wydaje się w tych warunkach nie do przyjęcia dla władzy, to równocześnie nie jest możliwe pełne zerwanie kontaktów i niedostrzeżenie ciągle jeszcze znacznego potencjału tkwiącego w „Solidarność” jako związku i jako idei.

Można więc próbować przenieść te kontakty ze sfery negocjacji pełnomocnych przedstawicieli stron w sferę kontaktów nieoficjalnych, tzw. tajnej dyplomacji. W takim wypadku władza ma zawsze zapewniony sukces. Bo po pierwsze wykazuje swą otwartość i wiarygodność nawet dla przedstawicieli opozycji, po drugie podważa w oczach społeczeństwa ich autorytet. Zyskuje pośredni

wpływ na rozwój i strategię ruchu, osłabia jego spójność, zasiewa nieufność.

Rozwiązaniem moim zdaniem optymalnym dla władzy byłoby na koniec skonstruowanie z działaczy opozycyjnych tworu współpracującego z władzą. Koncepcja taka nie jest naszym władzom historycznie obca.

I taka oto może być, ale nie musi, wizja dialogu z „Solidarnością” ze strony władzy.

A jaka jest nasza wizja? Co moglibyśmy w nim zyskać, a co stracić? Zyskać moglibyśmy wiele, możliwość jawnej, legalnej działalności, co trudno przecenić. Społeczeństwo może działać na dłuższą metę tylko przez instytucje jawne. Dowiódł tego stan wojenny, który masy członkowskie NSZZ „Solidarność” zaprowadził nie do konspiracji, lecz do Kościoła. Nie jest możliwy masowy ruch podziemny, a bez masowego ruchu nie jest możliwe zorganizowanie społeczeństwa, umożliwiające mu wpływanie na losy kraju, niemożliwa jest autonomia społeczna. Tak więc doprowadzenie do takiego kompromisu byłoby korzystne i dla „Solidarność”, i dla społeczeństwa.

Jednakże skoro już mówimy o kompromisie, to warto się zapytać o jego granice. Na pewno reaktywowanie „Solidarność” tak, reaktywowanie „Solidarność” na szczeblu zakładowym również, ale jak dalece dopuszczalne są ingerencje władz w niezależność związku, w jego statut, władze? Myślę, że na tyle, na ile nie godzą w jego tożsamość. Gdyby na przykład mogła zebrać się Komisja Krajowa i uchwalić, że się rozwiązuje, a na to miejsce powołuje komitet założycielski Niezależnego Związku Zawodowego CSÖNRADIOS i organizuje zjazd delegatów nowego związku, to sprawa byłaby dla wszystkich oczywista i niekontrowersyjna, tożsamość byłaby zachowana. Jednakże obawiam się, że właśnie ta tożsamość i jednoznaczność ideowa jest podstawową przeszkodą na drodze do zaakceptowania istnienia związku.

Istnieje jeszcze możliwość, że „Solidarność” się zlikwiduje, a na jej miejsce zostanie przywrócony pluralizm związkowy. Myślę, że praktycznie dziś tylko ta opcja może być brana pod uwagę. Spróbujmy się więc nad nią zastanowić.

Niewątpliwie prowadzi ona do rozszerzenia społecznej aktywności i otworzenia przed nią nowych dróg rozwoju. Ale cena za to jest bardzo wysoka. Po pierwsze, moralna dwuznaczność. Kto niby miałby moralne prawo o tym decydować? Lech Wałęsa, Bujak, Frasiński? A dlaczego nie Jurczyk, Gwiazda, Seweryn Jaworski czy jeszcze parę tysięcy osób, które przesiedziały się w więzieniu za „Solidarność”?

Nie neguję niczyjego prawa do wybierania własnych dróg aktywności społecznej, dróg samorealizacji. Uważam, że mam prawo w pewnym momencie powiedzieć: „Ja, Zbigniew Romaszew-

ski, dość już mam tego marazmu, rezygnuję z działalności w 'Solidarności' i podejmuję starania u władz na rzecz utworzenia nowego związku, bądź ruchu na rzecz...". Takie prawo na pewno mam. Takie prawo ma chyba Wałęsa, choć poza tym że jest zwykłym człowiekiem (co wytyka mu rzecznik) pełni również funkcję pewnego symbolu. Ale chyba nikt nie ma prawa powiedzieć, że związek to ja, rozwiązuję go i zaczynam coś nowego. Zresztą podjęcie takiego kroku mimo szkód jakie wyrządziłoby „Solidarności” nie byłoby skuteczne, gdyż aktywna część uczestników ruchu nie pogodziłaby się z tym i szczerkująca, zdziesiątkowana „Solidarności” trwałaby nadal. Tak więc od dwuznaczności moralnej przeszliśmy do problemu społecznego pożytku. Otóż społeczna korzyść z takiego rozwiązania byłaby bardzo mizerna, nowy związek czy ruch pozbawiony autorytetu „Solidarności” utraciłby równocześnie atrakcyjność dla społeczeństwa i tym samym dla władzy. Społeczeństwo może przyciągać sukces, a omówione wyżej rozwiązanie stanowiłoby dla wszystkich widomy dowód klęski „Solidarności”. Na dodatek moralna dwuznaczność takiego rozwiązania, odebrana słusznie jako próba manipulacji, spowodowałaby niechętną nieufność społeczeństwa i przekreśliła wszelkie pozytywne dla niego skutki, postawiłaby nowy twór w jednym szeregu z PRON-em i OPZZ-em.

Sytuacja taka byłaby gorsza od sytuacji np. Towarzystw Gospodarczych czy grupy *Res publica*. O tych inicjatywach społeczeństwo wie mało, jest nieufne, ale przygląda się im ciekawie. Problem związków zawodowych, których członkowie są pozbawieni wpływu na decyzje władz zna już od ponad 40-tu lat i ma na tym punkcie pewne uczulenie.

W ogóle sprawy nowych inicjatyw mają to do siebie, że muszą dojrzewać latami. Naprawdę szczerze życzę i autorom i sobie, żeby Towarzystwa Gospodarcze uzyskały rangę *Opus Dei* we frankistowskiej Hiszpanii, a *Res publica* stała się nowym *Prostu*, ale nie oczekuję tego w ciągu najbliższych lat.

W najbliższym czasie „Solidarność” pozostanie jeszcze ciągle ośrodkiem (szkoda, że słabnącym) najsilniej przemawiającym do społeczeństwa, najlepiej wyrażającym jego aspiracje. Być może nie widać tego z perspektywy Nowego Świata, ale może właśnie dlatego, aby to stwierdzić warto czasem wyjechać i zobaczyć, jaka jest Polska.

Jakie proponuję rozwiązanie? Oczywiście porozumienie się z władzami, ale w takiej sytuacji, w której „Solidarność” będzie rzeczywistym ruchem, w której będzie mogła stanowić bazę dla reform społeczno-gospodarczych, w której będzie miała do zaoferowania władzy coś więcej niż nową porcję autorytetów do zdevaluowania w ciągu najbliższych lat.

### Trzeba budować ruch

Aby móc sensownie negocjować, trzeba budować ruch.

Czy jest to możliwe? Twierdzę, że tak i dlatego tak bardzo przeraziła mnie decyzja w sprawie miliona dolarów, wyraźnie preferująca techniczne interesy *lobby* negocjatorów w stosunku do potrzeb ruchu.

Czy w ruchu jest dobrze, czy źle? Myślę, że raczej źle, ale przede wszystkim trudno i to jest to, co powoduje zniechęcenie i skutkuje właśnie tym „raczej źle”.

Aktywność społeczna spada. Formy działania są ciągle te same. Msza, demonstracja, gazetka, rzadziej ulotka, napis. Wszystko tak samo skazane na niepowodzenie. Powoduje to odpływ zainteresowania ruchem, odpływ zainteresowania dla bezpośrednich działań na rzecz społeczeństwa, na rzecz członków związku. Ożywienie ruchu zaczyna przerastać ludzkie możliwości, talenty, charakter. Rodzi się potrzeba ucieczki w stronę abstrakcji, uogólnień, politykowania. Ile to artykułów poświęconych problemom ruchu wydrukowała prasa podziemna? Prawie wcale. A przecież jest o czym mówić. Nawet kiedy ruch przeżywa swój kryzys, można w dyskusji poszukać sposobów jego przełamania, a problemów są przecież dziesiątki. Na przykład drożące w zastraszający sposób wydawnictwa. Już dziś młodego inteligenta nie stać na zakup książek i miesięczników podziemnych. Najlepszym dowodem, że stan jest alarmujący może być chyba to, że władza przestała się tym problemem interesować w takim stopniu jak dawniej. Jedni mówią, że stan ten jest po prostu nieuchronny, inni, że wynika on z nadmiernych zysków wydawnictw. Można ruch wydawniczy subsydiować, ale jest on już i teraz subsydiowany. Więc albo zwiększyć subsydia (patrz milion), albo zmienić ich system. Przenieść je na przykład do kolportażu i subsydiować na bywęc. No tak, taka wersja, że wydawnictwa drukują kalkulując godziwy zysk, natomiast klient przy kupnie korzysta z rabatu jest do pomyslenia. O tym jakie powinny być subsydia i na jakie wydawnictwa można bardzo dużo dyskutować, ale takiej dyskusji nie ma. Stan obecny, grożący w konsekwencji zadławianiem ruchu wydawniczego, trwa i jest traktowany jako zło konieczne.

Weźmy na przykład problem reformy. Owszem, został podjęty przez związek, ale w jak ogólnikowej formie! Dokument „Stanowisko NSZZ 'Solidarność' w sprawie sytuacji i kierunków przebudowy gospodarki polskiej” jest bardzo, rzeczywiście bardzo dobry i sądzę, że celowy. Ale jakie jest jego znaczenie dla społeczeństwa, dla ruchu? W związku z tym, że nakład jego jest odpowiednio mniejszy, to dotrze on do mniejszej ilości czytelników niż na przykład artykuły Surdykowskiego czy Skalskiego

w *Tygodniku Powszechnym* lub dyskusja w *Polityce*. Myślę, że naprawdę mało jest robotników, którzy się z tym dokumentem zapoznali. Przez to inicjatywa jest chybiona, niedokonana. Nie została poparta akcją artykułów bądź ulotek popularyzujących w jasnej, krótkiej formie postulat „Solidarności”. Nie podjęto trudu przełożenia zawartych w dokumencie tez na proste, zrozumiałe dla wszystkich postulaty. Robotnik może podjąć nawet strajk w sprawie 21 gdańskich postulatów, ale jest bezbronny wobec szesnastostronicowego dokumentu petitem.

A czy reforma rzeczywiście jest na tyle abstrakcyjna, że nie ingeruje w bezpośrednie interesy związkowca? Nie, wręcz przeciwnie, niesie ze sobą cały szereg niebezpieczeństw, na przykład potwierdzone przez projekt nowelizacji kodeksu pracy ograniczenie ochrony pracowniczej i zapowiedź redukcji. Czy związek ma wypracowane w tej sprawie stanowisko? A może po prostu rzucić hasło „każdy zredukowany w wyniku reformy pracownik ma prawo bądź do przekwalifikowania się na koszt zakładu pracy, otrzymując przez cały czas pobory, bądź do uzyskania odszkodowania pozwalającego mu na otwarcie własnego przedsiębiorstwa usługowego”? A może niezależnie od postulatów można by założyć bank udzielający zwalnianym robotnikom kredytów? Tego rodzaju postawa przyciągnęłaby do „Solidarności” na pewno więcej ludzi niż deklaracje. Oczywiście, że do tego potrzeba znacznie więcej niż miliona dolarów, ale żeby potrzebować więcej, trzeba najpierw mieć pomysł jak działać i wiarę w słuszność podejmowanych działań. To bardzo rozszerza wyobraźnię.

A może podyskutować o strukturze ruchu, może jest ona anachroniczna i nie odpowiada naszym możliwościom? Może, skoro jest nas tak mało, odejźmy od akcentowania autonomii regionalnej i spróbujmy podzielać w skali całego kraju nad rozwiązaniem pewnych konkretnych, ale to konkretnych problemów? Komisja Interwencyjna nie ma w tej dziedzinie oszałamiających rezultatów, ale w każdym razie są one obiecujące. A jeśli chodzi o problemy, to proszę bardzo. Na przykład BHP. Ale nie to od szczeroteczki do zębów i pasty, tylko to, które może naprawdę zbulwersować i przyciągnąć ludzi. Nie ma tygodnia, by w kopalniach nie ginęli górnicy. To co słyszałem w Jastrzębiu stawia włosy na głowie. I co w tej sprawie związek? Kondolencje (czy aby zawsze?) i krytyka władz. To naprawdę za mało. Rozumiem, że nie poradzi sobie z tym problemem sam Tadek Jedynak na Śląsku, ale jeśli włączyłby się do tego Władek Frasyniuk z Wałbrzychem i Lubinem, jeśli dołączy Kraków ze swoją AGH, jeśli poprze to Warszawa ze swoim dostępem do środków masowego przekazu, to może dałoby się coś zrobić, by nie ginęli ludzie. Może powołać komitet do walki z wypadkami w górnictwie i rozpocząć działania? Jakże? Po pierwsze zebrać informacje o stanie

poszczególnych kopalń i nie ograniczyć się do raportu, że jest źle, tylko walczyć. Rozrzucić ulotki informacyjne po kopalniach i po domach, uruchomić radio, malować napisy. Ale znowuż nie ogólnikowe, że „Solidarność zwycięży”, ale np. „Ostrzegamy! Na pokładzie takim a takim poziom metanu przekracza dopuszczalne normy — Solidarność”; „Tu i tu źle podstemplowane stropy — Solidarność”. Itp., itd. Na pewno na początku będzie nam takich ścisłych informacji brakowało, ale gdy zaczniemy działać, dotrą i informacje, i nowi ludzie. Zyskamy społeczną sympatię i aktywność. Tylko działania, a nie bezpłodne politykowanie i stagnacja przyciągają ludzi.

Albo z innej beczki. Skoro przy milionie padły słowa „fundusz socjalny”, to dlaczego by w zakładach pracy nie zorganizować wakacji dla dzieci? Wraz z obniżającą się stopą życiową ogromna liczba ludzi musiała zrezygnować z wysłania dzieci na wakacje, wynika to nawet z oficjalnych statystyk. Owszem, częściowo zajmuje się tym Kościół, ale to po pierwsze i tak nie wypełnia luki, a po drugie Kościół to jednak nie to co „Solidarność” w zakładach pracy. Jasne, że tam gdzie się Kościół nas nie wstydzi, moglibyśmy współpracować i partycypować w wydatkach. Ale moglibyśmy też po prostu w zakładach pracy bądź wśród znajomych zebrać trochę dzieci i wyjechać na wieś. Dlaczego rezygnujemy z oddziaływania na młodzież? Dlaczego nie chcemy sobie zaskarbić wdzięczności rodziców poprzez to, że coś dla niej robimy? Dlaczego rezygnujemy z rozwijania tą drogą współpracy między regionami i współpracy z Solidarnością Rolników Indywidualnych? Dlaczego nie podejmujemy takich działań? Bo są trudne? Ale tak się zawsze w życiu składa, że wszystko co łatwe zrobili już inni przed nami, a nam pozostają tylko rzeczy trudne.

Dla miłośników abstrakcji też mam propozycję: może by tak spróbowali zacząć opracowywać nową konstytucję. Pewno jednej się nie uda, bo dzięki Bogu zachowały się jeszcze w tym kraju różnice poglądów, ale można sformułować kilka projektów, warianty — potem można się spotykać, dyskutować, zmieniać, wprowadzać poprawki, a na koniec przeprowadzić choćby minireferendum. Udało się 3×5, mogłoby się i to udać. Tylko ile by to wymagało pracy, ile aktywności z naszej strony, ażeby z takim problemem dotrzeć faktycznie do społeczeństwa! Ale za to jak wzrosłaby świadomość, jak wzrosłby prestiż „Solidarności”!

Działanie ma to do siebie, że wymaga ciągle nowych dróg, ciągle nowych propozycji. Siedząc nad tą kartką papieru rzuciłem ich już kilka, zdaję sobie sprawę, że to tylko niektóre z możliwości, a przecież poza mną jest jeszcze w ruchu paru ludzi. Zaczniemy się zajmować ruchem, a nie samą „polityką”, podyskujemy na ten temat w prasie.

*Pułapki konspiracji*

Ponaraziłem się już tyłu wybitnym osobom, że podejmę jeszcze jeden niepopularny temat, a mianowicie konspirację. Oczywiście, zaznaczam od początku, żeby uniknąć nieporozumień, że to co poniżej nie dotyczy wydawnictw, kolportażu, radia czy grup ulotkowych, ale dotyczy wszystkich pozostałych. Na obecnym etapie konspiracja stanowi hamulec ruchu, hamulec, który powinniśmy odrzucić. Na pewno powinniśmy starać się zapewnić coraz większy margines bezpieczeństwa naszym członkom i nad tym należy się zastanowić, natomiast nie powinniśmy hołdować złudnemu bezpieczeństwu „tajności”. Prawie wszyscy tajni dla społeczeństwa, którzy mogliby być dla niego wzorem postawy, których działalność sumowałaby się na wspólny wysiłek i obraz „Solidarności”, są dla policji *de facto* jawni. Gdyby na przykład doszło do aresztowań, jak w grudniu 1981, w celach obok siebie bez żadnego rozgraniczenia siedziliby i tajni i jawni działacze. Konspiracja nam się po prostu nie opłaca. Tylko przykład i jawne zajmowanie się problemami społeczeństwa może przyciągnąć ludzi. Zresztą jeśli organizuję kolonie dla dzieci, jeśli zajmuję się BHP, praworządnością bądź ekologią, działam dla pożytku społeczeństwa — dlaczego miałbym być tajny? Bo tak jest wygodnie władzy?

A ile stąd problemów przy budowaniu demokracji wewnątrz-związkowej! Okazały się one już w zeszłym roku i nie zostały dotychczas rozwiązane. Ot, chociażby sprawa TKK i miliona. Czy naprawdę TKK, rzekoma władza związku w podziemiu, wyzwała się pieniędzy? Już kto jak kto, ale TKK odpowiedzialna właśnie za ruch, powinna najlepiej wiedzieć, jakie to niesie za sobą niebezpieczeństwa. I nie zareagowała? Kto może wiedzieć, czy zareagowała, czy nie? A jeśli nawet, to co by miało z tego wynikać? Regiony zapewne są bogate i nie było powodu do protestu, ale gdyby był, jaka byłaby skuteczność tego protestu wobec stanowiska Wałęsy i jego środowiska, lub stanowiska TRS i środowiska warszawskiego? Odpowiedzmy sobie szczerze — żadna. I TKK zdaje sobie z tego sprawę. A władza, która nie jest w stanie skutecznie przeprowadzić swego stanowiska, nie jest władzą, a jedynie fasadą firmującą czyjeś decyzje. Uważam, że stan taki jest niezdrowy i uniemożliwia podejmowanie już nie tylko demokratycznych, lecz chociażby sensownych decyzji leżących w interesie ruchu.

*Niedobre skutki „opcji politycznej”*

Przewaga, jaką uzyskała „opcja polityczna” jest po prostu prze-

rażająca. Jestem święcie przekonany, że żadna z osób uczestniczących w podejmowaniu tej decyzji nie zadała sobie pytania, jakie są rzeczywiste potrzeby finansowe ruchu, w jakim procencie są zaspokojone, które inicjatywy można by za nie podjąć. Zresztą zapewne nie potrafiłaby na te pytania odpowiedzieć. A i jeszcze jedna sprawa: czy to tylko w tym roku, czy już na zawsze rezygnujemy z pieniędzy? Bo ten rok to jakoś przetrzymamy, ale jeśli na zawsze, to oznacza to po prostu likwidację ruchu. Takich pytań nikt sobie chyba nie stawiał, fascynacja aspektem politycznym była tak wielka, że problem ruchu w ogóle nie był brany pod uwagę. Jest to bardzo niepokojące jako symptom polityki, która w ogóle nie potrzebuje ruchu, ba, polityki, dla której ruch stanowi swoistą zawadę. Aby nie zbyt aktywny, aby nie zbyt liczny, aby odcięty od możliwości decyzyjnych.

Z przykrością muszę powiedzieć, że obserwowałem te tendencje już od pewnego czasu na przykładzie stosunku do Komisji do Spraw Interwencji i Praworządności, ale składałem je na karb osobistych nieporozumień i animozji. Dziś wydaje mi się to być również wyrazem generalnej strategii.

Komisja do Spraw Interwencji i Praworządności przyjęła sobie za cel możliwą do zapewnienia ochronę działaczy i sympatyków związku przed represjami. Jak dotąd nie zrealizowaliśmy wielu możliwych celów, ale udało nam się zrefundować wszystkie skonfiskowane samochody i zrekompensować straty wynikłe z grzywn w jakichś 85-90 % przypadków<sup>9</sup> (resztę stanowią środki zakładowe, regionalne bądź charytatywne). Przyczyniło się to niewątpliwie do przełamania paniki, jaka powstała po nowelizacji Kodeksu Wykroczeń, dało członkom i sympatykom związku przekonanie, że w biedzie nie pozostaną sami. Dziś każdy wie, że gdy spotka go grzywna za działalność, to zostanie mu ona zwrócona i z mniejszym ryzykiem podejmuje działanie.

Tak więc można by myśleć, że jak na początek to dużo i pewnym zaskoczeniem było dla mnie, że przy dużym entuzjazmie z jakim inicjatywa została przyjęta przez działaczy, towarzyszyły jej stały sceptycyzm ze strony szeroko rozumianego kierownictwa ruchu. Nigdy nie interesowano się na przykład, czy nam starczy pieniędzy, na jak długo i co dalej. Pieniądze na działalność Komisji dawał Polski Fundusz Praworządności. W końcu PFP to dość niewielka inicjatywa i wcale nie tożsama z „Solidarnością” jako związkiem. Te problemy jakoś nikogo nie interesowały i nie bardzo było z kim o tym mówić.

Istnieje jeszcze niezwykle ważki i nierozwiązany problem zwolnień z pracy. Jest to czynnik, który chyba nawet silniej

9. Dotyczy to oczywiście tych przypadków, w których działacze musieli grzywny opłacić, bo są i tacy, którzy tego po prostu z przyczyn zasadniczych nie robią.

niż kolegia blokuje działalność związku, w szczególności na terenie zakładów pracy. Co ma się stać z działaczem, który z awanturą lub bez, w ramach „reorganizacji”, zostanie wyrzucony z pracy, kto przyjdzie z pomocą jemu i jego rodzinie? Jak ma działać związek na terenie zakładu, jeśli swoim działaniem nie daje w tej sprawie żadnej ręki? Jak ma się na terenie zakładu pracy zakorzenić, jak rozwijać? To przecież nie kwestia ideologiczna, lecz praktyczna.

Podobnie jak w sprawie kolegów, powinno tu istnieć jednoznaczne uregulowanie: „Każdy, kto ze względu na swą postawę polityczną, działalność związkową lub samorządową, przeciwstawianie się krzywdzącym załogę decyzjom dyrekcji został wyrzucony z pracy, może liczyć na rekompensatę ze strony związku w postaci pełnych poborów wraz z nadgodzinami, premiami itp. przez okres pół roku. Po tym czasie w wypadku złośliwego odmawiania zatrudnienia rekompensata może być rozciągnięta na dalszy okres”. Czy ktoś z Państwa ma wątpliwości, jak taki krok zwiększyłby zainteresowanie „Solidarnością” w zakładach pracy? Ale wymaga to nie tylko dobrych chęci, ale właśnie pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Trzeba wiedzieć, czy się temu zobowiązaniu podoła.

Co do mnie, chwilowo nie będę rozważał szans i warunków porozumienia z władzami, tylko zajmę się tym, żeby potrzebne pieniądze zdobyć, może od bogatego kierownictwa związku, może skądinąd. W każdym bądź razie mam nadzieję, że jeszcze w tym roku będę mógł Państwa poinformować o pozytywnym załatwieniu tej sprawy i podjęciu przez Komisję Interwencyjną nowych zadań i nowych zobowiązań.

Tym optymistycznym akcentem kończę ten nieco gorzki artykuł z przesłaniem, że można działać i trzeba działać.

Po co go napisałem, narażając się różnym osobom i instytucjom? Napisałem go między innymi dlatego, ponieważ uważam, iż ogromna ilość kolegów, których może tutaj dotknąłem, a z którymi prowadziłem wspólną walkę o wspólne cele i z którymi siedziałem w więzieniu, może w powodzi frazesów nie dostrzegać nawisłych nad związkiem niebezpieczeństw.

Zbigniew ROMASZEWSKI

Warszawa, wrzesień 1987 r.

## W zatrzaśniętej pułapce

1. Gdyby ktoś chciał dzisiaj sfilmować Polskę, to znaczy nakręcić film nie będący tylko reportażem z rzeczywistości, lecz także jej symbolem, poradziłbym mu chyba, żeby przedstawił puste wieczorne ulice i place, sale zebrań i domy kultury, krótko mówiąc, opustoszałe miejsca publiczne. Bowiem Polska roku 1987 jest przede wszystkim krajem zamierającego życia publicznego. Pustoszeją nawet knajpy — i nie dlatego jedynie, że ludzie nie mają pieniędzy. Ci, którzy je mają, też wolą prywatki. W teatrach komplety prawie się już nie zdarzają, podobnie w kinach, jeśli nie liczyć programów wyłącznie rozrywkowych. Panele dyskusyjne, również te najbardziej kontrowersyjne, tracą frekwencję.

Owszem, pełne bywają jeszcze kościoły. Ale i tam także — to, oczywiście, impresją kogoś najzupełniej niekompetentnego — każdy się coraz częściej modli w samotności. Trzeba było aż pielgrzymki papieskiej, aby powstrzymać — na jak długo? — tę tendencję.

Pustoszenie przestrzeni publicznych nie jest, oczywiście, jedynym przejawem zamierania życia publicznego w kraju, choć zapewne najbardziej rzuca się w oczy i w ten sposób decydująco przyczynia do tylekroć konstатовanej smętności polskich miast, co tak uderza turystów, poszukujących nadaremnie śladów owych tętniących życiem, legendarnych szesnastu miesięcy „Solidarności”. Wszystkie badania i sondaże stwierdzają zgodnie, że Polacy chronią się w prywatność, wyróżniają wartości prywatnego życia, a zwłaszcza „premiują” rodzinność. Dorobiliśmy się nawet całej szkoły myślenia, która się tym zwrotem raduje, a przynajmniej uważa go za uprawnioną i choć trochę skuteczną samoobronę społeczną. Nie będę tu podejmował dyskusji, nie wykluczam



zresztą, że wyznawcy formuły o „rodzinie polskiej — bastionie polskości”, katolicycy i świeccy, mają wiele racji. Nie sądzą natomiast, by rodzina lub, szerzej, prywatność w ogóle, nawet uzdrowiona moralnie i wyzwolona z nadmiaru familijnego egoizmu — a do tego jeszcze dalej, niż do sukcesów w walce z rozpijaczaniem! — mogła służyć za podłoże odrodzenia życia publicznego, co znaczy również i po prostu — za lekarstwo dla chorej więzi społecznej. Ucieczka do schronu pozostaje ucieczką, nawet jeśli jest uprawniona, usprawiedliwiona i nieuchronna. Otóż prywatność jest w Polsce nade wszystko miejscem ucieczki. Nie jedynym.

Polacy, zwłaszcza młodzi Polacy, ci, którzy mają zdrowe nogi i niezachwiane apetyty, uciekają dokąd tylko mogą i jak tylko potrafią. Więc najpierw za granicę, o czym najgłośniejsz, choć może nie wszyscy wiedzą, że na saksy jeździ się nie tylko na Zachód, również do Związku Sowieckiego. Znane trudności na zachodnich rynkach pracy w niczym nie osłabiły tej tendencji, przyczyniły się natomiast do podniesienia bariery kwalifikacji: najchętniej uciekają najlepiej przygotowani zawodowo, nawet jeśli będą zaczynać od łopaty. Ale zanim trafi się za granicę, marzy się o zagranicy. W Polsce się w ogóle dużo marzy. Ucieka się na zewnątrz, ale ucieka się również do wnętrza. W yogę i w narkotyki, i w historię, częściej zresztą niż w Bieszczady, do milicji lub wojska. Ucieka się po święty spokój lub po łatwy wikt i opierunek. W tym kontekście ucieczka w rodzinność, prywatność, w budowanie schronu jest już i tak najszlachetniejszą, być może, formą ucieczki. Bywa, że ucieka się również do Pana Boga — choć, oczywiście, wcale nie chcę twierdzić, iżby to była główna racja nawróceń.

W tym wywodzie, któremu, jak czytelnik już pojmuje, trudno wróżyć popularność, trzeba teraz stwierdzić wyraźnie, że trudna sytuacja gospodarza Polski, spadek poziomu życia i nawet powszechnie dostrzegany wzrost dystansu dzielącego kraj od Zachodu, nie mogą prawidłowo wyjaśnić uciekinierskich skłonności. Co więcej, nie dałbym zbyt łatwo wiary pozornej oczywistości, że ucieka się od tak zwanego braku perspektyw. Globalne prognozy ekonomiczne nie wystarczają na ogół, by odebrać ludziom wiarę w możliwość indywidualnego sukcesu. Ostatecznie miliony grają na loterii, choć wiedzą na pewno, że tylko niewielu wygra. Innymi słowy, ludzie nie są skłonni naprawdę wierzyć, że przyszłość jest przesądzona z tej tylko przyczyny, że teraźniejszość wygląda kiepsko, a jej ekstrapolacje niewesoło.

Aby przyszłość w percepcji społecznej upodobniała się do zatrzaśniętej pułapki, trzeba jeszcze krztyny teorii, ideologicznej domieszki uwierzytelnionej potocznym doświadczeniem i potwierdzonej bezradnością autorytetów.

2. W latach 1968-1981 Polska wierzyła, że świat się zmienia. Historia w oczach Polaków przyspieszyła biegu. W tym przeświadczeniu czy też w tym złudzeniu uczestniczyły wszystkie obozy polityczne i każdy po swojemu. Budowaliśmy Drugą Polskę, a potem Drugą Japonię, wychodziliśmy z Jałty lub negocjowaliśmy nową Europę, roili nam się autostrady lub przynajmniej domki z ogródkami. 13 grudnia 1981 rozpedzona historia została zatrzymana. Przypomniane zostały wszelkie jej niezmienniki, prawdziwe i urojone. Najpierw wszystko wydawało się możliwe, odtąd wszystko jest niemożliwe. Siła ciężenia w dziejach Polski jest tak ogromna, że dobrze, jeśli Polacy mogą jeszcze pełzać. O chodzeniu trudno mówić, a o bieganiu lepiej zapomnieć.

Tak rozumiane doświadczenie historyczne 13 grudnia 1981 powoduje szczególne dystorsje w świadomości polskiej, zwłaszcza historycznej, a potem i politycznej. Z tym zastrzeżeniem, że ilekroć obserwujemy wynaturzenia świadomości politycznej, są one raczej wyrazem głębszych zniekształceń w kulturze niż rezultatem świadomej gry interesów. Byłoby w szczególności daremne chcieć przypisać takiej grze różnice w skłonnościach do ugodości lub, przeciwnie, radykalizmu postulatów i żadna felietonowa formuła typu „byt określa świadomość” nie tłumaczy rozkładu postaw politycznych w Polsce. Nietrudno pojąć, jak się to przyczynia do ich nieprzejrzystości.

Doświadczenie 13 grudnia sprzyja przede wszystkim szczególnemu widzeniu polskich tradycji, zwłaszcza tradycji niepodległościowych. Znacznie wyraźniej niż w skutecznie sfalszowanej przez ingerencję propagandystów debacie o tzw. pracy organicznej i kolaboracji widać to na przykładzie dwóch wskrzeszonych mitologii, piłsudczykowskiej i endeckiej. Wbrew potocznej opinii odrodzenie obu mitów i reprezentujących je postaci Piłsudskiego i Dmowskiego nie oznacza wcale próby rzeczywistej kontynuacji ich programów czy strategii politycznych. Doświadczenie 13 grudnia, które, jak jeszcze zobaczymy, odbiera w ogóle Polakom poczucie, że uprawianie polityki ma sens i że oni sami mają prawo i obowiązek politykę uprawiać, otóż to doświadczenie sprawia, że oba mity nie mówią wcale o tym, co Polacy mieliby robić, lecz tylko o tym, czym Polacy podobno są. Oni sami, bądź może, ściślej, ich Przeznaczenie. Piłsudski i Dmowski to dwie twarze polskiego losu. Na kpinę zakrawa, że oba mity współistnieją w świadomości jednych i tych samych ludzi; to niestety nie kpina, lecz tragedia. Piłsudski, by ująć rzecz najzwyczajniej, ukazuje Polskę, która wygrywa na historycznej loterii, a Dmowski tę, która nie wygrywa. Łatwo pojąć, jaką się ojczyznę woli — dlatego nawet nasi neoendecy kochają się dziś po cichu w Piłsudskim — ale też wiadomo, w jakiej się żyje i życie obmyśla. Zwłaszcza jeśli

stale podpira się tamten mit wciąż na nowo eksponowaną antylegendą powstańczą, dziś zasilaną przez wizję „bezsensownego choć bohaterskiego” powstania warszawskiego, które zastąpiło w mitotwórstwie powstanie styczniowe. (Z ostrożności choć, mam nadzieję, zbytecznej, zastrzeżenie: nie jest to wypowiedź o sensowności lub bezsensie któregośkolwiek z powstań, lecz tylko sprzeciw wobec manieri myślowej tzw. czerpania nauk z historii. Nie jest, oczywiście, wykluczone, że od historii można się czegoś nauczyć. Wygląda jednak na to, że głównie tego tylko, jak trudna jest to sztuka. Aby bowiem historia mogła nas czegoś nauczyć, trzeba najpierw odszukać w niej podobieństwo strukturalne i sytuacyjne do współczesności i wykazać, że jest ono ważne dla poszukiwanej decyzji. Tego trudu nigdy sobie nie zadają konstruktorzy legend. Udają, że uczą się historii, jak sznurowania butów).

Wspomniane mity polityczne wskrzeszane po 13 grudnia wspólnym wysiłkiem polskiej inteligencji są, oczywiście, tylko przykładem generalnej tendencji do koncentrowania się na niezmiennikach. Intencje, zapewne, bywają najrozmaitsze i nawet sprzeczne. Uporczywie przypominane przez prorządowców banały geopolityki służą najpierw odstraszeniu zbuntowanych. Po drugiej stronie politycznej mapy niezmienniki pomyślane są raczej jako umocnienie tożsamości, utwierdzenie w trwaniu i przetrwaniu. Wszystkie te różnice nie zapobiegają wszakże wytwarzaniu się z biegiem lat zbitki myślowej swoistego polskiego neokonserwatyizmu, której głównym skutkiem jest, niezależnie od intencji piszących i przemawiających, utwierdzenie przekonań o braku wyjścia, o zatrzaśniętej pułapce, dla których też oczywiście nie brak uzasadnień w doświadczeniu potocznym. O bezradności autorytetów będzie jeszcze mowa.

Byłoby niesłuszne nie wspomnieć, że polski neokonserwatyzm zasilany jest potężnie przykładami i tekstami z zagranicy. XX-ty wiek kończy się niemal na całym świecie zwątpieniem w skuteczność szybkich zmian (zwłaszcza rewolucyjnych). W tzw. trzecim świecie tragicznym tego skutkiem jest często przybór rozpacz i beznadziejnego gwałtu; Polska, mimo niewątpliwego regresu cywilizacyjnego, jest od tego daleka. Na szczęście, gdyż zbiorowy bezruch i indywidualne uciekanie są przecież lepsze od mordowni. Ale zachodni neokonserwatyzm krajów rozwiniętych, do którego polscy współwyznawcy znacznie chętniej się odwołują, ma nad nimi podwójną a zasadniczą przewagę. Po pierwsze jest neokonserwatyzm w świecie demokratycznym, w którym daje się żyć, przynajmniej w sensie szansy indywidualnej wprawdzie, ale dość powszechnie dostępnej, w świecie, gdzie nie trzeba przetrwać totalitaryzmu lub jego konsekwencji. Po drugie, co zresztą z pierwszym względem się wiąże, w tym zachodnim świecie, nawet jeśli po neokonserwatywnemu jest i musi być „niezmienny co do

istoty” — zmiana, reforma pozostaje nie tylko możliwa, lecz jest w sposób ciągły wywodliwa ze stanu aktualnego, jest w nim niejako zawarta i jako konieczność, i jako możliwość. Inaczej mówiąc, w świecie tym sensowna pozostaje demokratyczna polityka. A polityka demokratyczna znaczy przecież tyle tylko i aż tyle: niepewność władzy i prawomocność przeciwnika.

3. Teraz więc może o reformach. Najbardziej dla mnie samego zdumiewającym aspektem sytuacji w Polsce jest halucynacyjne wręcz połączenie zmian i niezmienności. Halucynacyjne — bo nie jest tak, iżby w jednej dziedzinie, np. rolnictwie, zachodziły zmiany, a w innej, np. w policji, nic się nie ruszało. Jest tak, jak na japońskich obrazkach: patrzysz troszkę z lewa, pańienka się uśmiecha, spojrzalesz trochę z prawa, a już jest surowa, ani przystęp. Wszystko ma jakby dwa nakładające się oblicza: zmienione i niezmiennie. Spróbuję to rozszyfrować.

Najpierw wszakże chciałbym wyrazić pewne przekonanie. Nie pójde tak daleko, jak wielu moich przyjaciół, którzy sądzą, że mimo wszelkich klęsk rozbudzenie społeczeństwa cywilnego w Polsce pozostaje nieodwracalną zdobyczą „Solidarności”. Istnieją bardzo rozmaite stopnie rozbudzenia. Czy społeczeństwo cywilne, które, jak pisałem przedtem, zapada w prywatność i którego młode pokolenie wybiera ucieczkę, jest jeszcze rozbudzone? Niewątpliwie zachowuje ono w pełni poczucie swej obcości wobec systemu władzy, o tym świadczą wszelkie wyniki badań i sondaży. Czy aby jednak nie było tak stale? Z drugiej strony, w rozmaitych miejscach społecznych w Polsce wyrażany jest dziś pogląd, że rozbudzenie obywatelskie wymaga podjęcia samodzielnych działań politycznych; jest to pogląd, którego „Solidarność” nigdy właśnie nie wyrażała, wynikał on nie z jej sukcesów, ale z jej porażek... Tę nieco zbyt teoretyczną dyskusję można ciągnąć długo. Przekonanie, które chcę wyrazić, jest skromniejsze. Nie wiem, czy „Solidarność” przywróciła społeczeństwo cywilne nieodwołalnie do życia. Natomiast bezsporne wydaje mi się, że szesnaście miesięcy „Solidarności” — lecz również owe sześć lat po jej klęsce — definitywnie „zdesakralizowało” władzę komunistyczną w Polsce w oczach społeczeństwa. Stawiam cudzysłów, bo nie o świętość, rzecz jasna, lecz o szatańskość i demonizm, a zwłaszcza o systemowość i logikę chodzi. Otóż jest jeszcze wprawdzie, w Polsce i na emigracji, nieco intelektualistów, którzy w pogoni za totalną i przejrzystą teorią komunistycznego systemu władzy gotowi są go demonizować. Co więcej, intelektualiści ci — spod patronatu takich teoretyków jak, powiedzmy, Zinowiew i Besançon — chętnie obwiniają zwykłych ludzi o nieświadomą sowietyzację, gdy ci nie chcą się wcale dziwować poczynom swojej władzy. Czyż bowiem nie uległ szatanowi ten, komu piekło zdaje

się zwyczajne? Ale to właśnie zwykli ludzie mają słusność: władza, ich zdaniem, pilnuje koryta i o nic więcej nie chodzi. Nie ma żadnej innej świętości, żadnej spójności, ani nawet żadnej innej „logiki” systemu. To właśnie okazało się dowodnie dla wszystkich w toku walki stoczonej przez władzę z „Solidarnością” i ze społeczeństwem. „Ku całej tej gromadzie — zdumiewał się niedawno Kisielewski („Wszystko inaczej”, Puls, Londyn 1986, str. 145) — może i z rodzinami w setki tysięcy idącej (a z wojskiem i policją może i w miliony!) kieruje się główna narodowa nienawiść: nie przeciw systemowi, lecz przeciw jego marionetkom”. Bardzo słuszne spostrzeżenie — ale trzeba dodać, że wcale nie zawsze tak bywało, iżby zwykli ludzie mogli wyzwolić się od iluzji systemowości, owego układu, w którym byli tylko sami swoi, a przy „onych” zawsze wskazywano palcem w sufit, aż do Kremla. Bardzo to złożona historia, owa rzeczywistość i chyba powszechna na Wschodzie, ale w Polsce najdalej posunięta destabilizacja systemu, która jest właśnie niczym innym jak jego obnawieniem aż do kości. Wbrew temu co skłonni są mniemać krytycy ideologii i ideologiczności, nie jest to tylko rozpad, a potem zanik ideologii komunizmu. Ideologia rozbita w sferze dyskursu chroni się w instytucjach, rutynach, nawykach, trwa w milczeniu i przemilczeniu. — Cóż to, powie ktoś, za kierownicza rola leninowskiej partii, gdy nie ma już takiej partii, nie ma celu, nie ma ruchu i nikt do nikąd nie zdąży, a tylko płynie z prądem? Istotnie — ale jest przecież państwo, jest sejm ze swoją wielopartyjną jednopartyjnością, są wybory bez wyboru i jest nomenklatura: wiadomo, kto górą, kto dołem, kto ciągnie a kto jedzie... Nie dość więc byłoby rozpadu ideologii. W latach 1975-1980 przygotowane, a w 1980-1981 zrealizowane, nastąpiło zniekształcenie całej systemowej piramidy władzy, owej tylekroć przywoływanej konstrukcji, od sołtysa do pierwszego sekretarza, która jest zarazem główną formą przenikania władzy do społeczeństwa i mediatyzowania wszystkich stosunków społecznych. (Władza i jej emanacje w postaci sposobów reagowania, odczuwania i myślenia, do których przyuczono ludzi, są obecne przy każdym spotkaniu, wciskają się pomiędzy uczestników każdej relacji społecznej. Wszechobecność policji, tak znamienne dla totalitaryzmu, jest tylko jednym z przejawów takiego mediatyzowania). Złożyły się na to procesy powolne, jak nieuchronny awans i względne usamodzielnianie się niezwiązanych z władzą elit społecznych (intelektualnych, naukowo-technicznych, religijnych), następnie procesy kryzysowe jak pauperyzacja systemu niezdolnego opłacać odpowiednio szeroką rekrutację i rosnące apetyty zarażonej Zachodem nomenklatury, wreszcie zjawiska eksplozywne z lat 1980-1981 i zainicjowana przez nie samoorganizacja społeczna. Solidarność zaszalała swą samoograniczającą się rewolucję na przeciwstawieniu

władza — społeczeństwo i władza sama, chcąc nie chcąc, zmuszona była w zamian za samoograniczenie się przeciwnika taki podział akceptować. 13 grudnia 1981 — i to, być może, stało się w końcu najtrwalszą zdobyczą — przeciwstawność władzy i społeczeństwa nie była już postulatem, lecz w dużej mierze rzeczywistością. Dlatego zresztą tak niezbędna była dla władzy ingerencja czynnika „z boku”: najpierw aranżowanego tupotu sowieckiej armii, a potem interwencji wojska, które podparło niejako stemplem\* przełamaną i walącą się piramidę totalnego systemu.

Tak, z grubsza, przedstawiały się sprawy, kiedy ekipa Jaruzelskiego przystąpiła do ponownego stabilizowania władzy komunistycznej w Polsce. Nim oddam sprawiedliwość jej osiągnięciom, chciałbym podkreślić, że właśnie dzięki głębokości załamania władzy komunistycznej w Polsce, dzięki kryzysowi i dysfunkcjonalności wszystkich niemal instytucji, rutyn i procedur, ekipa Jaruzelskiego dysponowała taką swobodą inicjatywy, jak żadna z jej poprzedniczek. Pod warunkiem, że nie będzie chciała, korzystając z chwilowego sukcesu, przeprowadzić restauracji systemu w skrajnym, dosłownym rozumieniu. I trzeba z miejsca przyznać, że ekipa Jaruzelskiego takiego błędu nie popełniła. Odczytała ona rok 1980/1981 jako załamanie instrumentarium władzy i postanowiła wymienić narzędzia, które zawiodły, na sprawniejsze, a zwłaszcza sprawniej się nimi posługiwać. W tym sensie Jaruzelski zaklinający się, że nie ma powrotu nie tylko „przed grudzień”, lecz również „przed sierpień” — mówił prawdę.

Zmiany przeprowadzane przez ekipę Jaruzelskiego od sześciu lat polegają, najogólniej mówiąc, na bardziej reaktywnym, mniej zaś inicjatywnym działaniu władzy oraz na wyraźnej dbałości o stan społecznych kłap bezpieczeństwa. Już na pierwsze wejrzenie jest jasne, że aktualna ekipa rządząca w Warszawie zachowuje się znacznie powściągliwiej od wszystkich swych poprzedniczek, gdy chodzi o jej tzw. misje dziejowe. Misje te przybrały w istocie charakter czysto negatywny: przywrócić ład i porządek, sprostać racji stanu, być mniejszym złem, wyjść z kryzysu, uspokoić wierzących... Nie bardzo nawet wiadomo, czy poza Centrum Matki Polki w Łodzi i tragikomicznym metrem w Warszawie ta władza coś jeszcze w ogóle chce zbudować. (Od czasu do czasu stare nawyki biorą, oczywiście, górę, ale za to można u Jaruzelskiego nawet wylecieć z posady; przykładem M. F. Rakowski, który, po staremu ambitny, rwał się znowu przodem do przodu jako budowniczy historii). Ciężka sytuacja kraju tłumaczy, oczywiście,

\* Wojsko, zwłaszcza jego część zawodowa, jest oczywiście równie integralnym składnikiem systemu władzy jak partia czy policja. Niemniej podparcie grudniowe było czymś szczególnym, stemplem właśnie, ponieważ w dobrze funkcjonującym systemie wojsko ma funkcje zewnętrzne.

tę nagłą skromność władzy, ale nie powinno to osłabiać uznania dla realizmu rządzącej ekipy: totalitarna, przynajmniej z pochodzenia, władza z trudem tylko rezygnuje z misji, a *exemplum* Rumunii, tuż za miedzą, pokazuje skutki. Względnej skromności historycznych powołań odpowiada, jako się rzekło, wzmożona reaktywność. Ekipa generała raczej odpowiada i reaguje na wydarzenia i na procesy społeczne niż stara się je tłumić brutalnym gwałtem: jeśli jest coś japońskiego w Warszawie, to może właśnie ta nowa umiejętność walki, wykorzystującej błędy, ciężar, a nawet impet strony przeciwnej. Z tym wiąże się, oczywiście, znacznie ulepszony system informacji wewnętrznej, przede wszystkim zaś zasada nieprzeciążania instrumentów władzy: represyjnych, zakazowych itd. W połączeniu ze znanym systemem kłap bezpieczeństwa — względną swobodą prasy, rozluźnioną polityką paszportową, tolerancją dla inicjatywy prywatnej, ustępliwością w sprawie płac — wszystko to współtworzy wizerunek liberalnej ekipy Jaruzelskiego. Czy jednak rzeczywiście reformatorskiej? Wypada zważyć, że wspomniana wymiana instrumentarium władzy wygląda, jak dotąd, na operację pozorną. „Samodzierżawie” nie tylko nie zostało ograniczone, lecz przeciwnie, uzyskało formę prawną: plenipotencje ministrów obrony, spraw wewnętrznych, oświaty, szkolnictwa wyższego, finansów pozwalają im właściwie na wszystko. Z drugiej strony, powstają wprawdzie coraz nowe instytucje spod wezwania socjalistycznej demokracji, rady konsultacyjne siaki i owaki, referenda, rzecznicy itd., ale jak dotąd żadna z nich nie rozszerzyła rzeczywiście podstawy rządów i w tym sensie, niezależnie od intencji uczestników, nowe instrumentarium nie wnosi niczego do już istniejącego zasobu polskiej wielopartyjnej jednopartyjności, poza może dodatkową porcją gadania.

Jak to zatem jest z reformatorstwem liberalnej ekipy Jaruzelskiego?

4. Pytanie o autentyczność reformatorskich intencji władzy dotyczyć może, jeśli wierzyć jej własnym słowom, wyłącznie gospodarki: niczego innego władza nie obiecuje, a nawet wręcz przeciwnie, stale zaklina się, że na nic innego i nic więcej nie pozwoli. Czas więc byłby jej uwierzyć\*. Ale oto z reformą gospodarki jest źle, fatalnie nawet. Jeśli mierzyć ją nie ilością aktów prawnych i nieraz wątpliwą a zawsze trudno uchwytną tzw. ewolucją

\* Mam w ogóle propozycję metodologiczną, żeby władzy wierzyć, pod warunkiem, że rozumie się jej leksykon. Z tym, oczywiście, są trudności, ponieważ w przeciwieństwie do epok komunizmu bardziej pierwotnego, odmienności słownictwa urzędowego w stosunku do mowy potocznej przesunęły się w głąb języka. Minister Urban, by posłużyć się postacią przysłowiową, mija się z prawdą znacznie rzadziej, choć znacznie głębiej. Jest kłamcą subtelniejszym niż ogół jego słuchaczy umie się połapać.

mentalności działaczy gospodarczych, lecz całkiem prymitywnie, efektywnością osiąganą przez producentów, to jedyną realną odmianą jest wzrost marginesu zwanego inicjatywą prywatną (zaliczam do niego również samodzielnie pracę „na czarno”, po polsku fuchy i saksy). Dzięki niemu realny dochód narodowy, zwłaszcza mierzony z usługami, jest zapewne o 12-14 % wyższy, niż wykazywany statystycznie. W połączeniu z prywatnymi dochodami dewizowymi realizowanymi po czarnorynkowych kursach, a rejestrowanymi statystycznie po oficjalnych, tłumaczy to znany fenomen, że w Polsce wydaje się na pozór więcej niż zarabia. (Ale też w Polsce pracuje się znacznie więcej niż zdaniem reporterów z telewizji). Jeśli natomiast chodzi o efektywność całego sektora społecznego, to rezultaty są mizerne, zwłaszcza, że towarzyszy im ciągle jeszcze dekapitalizacja netto. Na dobrą sprawę rządowi rzecznicy reformy gospodarczej mają spore kłopoty, gdy przychodzi im odpowiadać wyznawcom systemu nakazowo-rozdzielczego, głoszącym że tak nikłą poprawę wskaźników efektywności, jak zrealizowana w latach 1982-1987, ich system osiągnąłby znacznie szybciej.

Tekst ten nie jest poświęcony gospodarce, lecz polityce i nie ma potrzeby dowodzić w nim stwierdzonych faktów, że jak dotąd reforma gospodarcza w Polsce zawodzi. Jak natomiast będzie z tzw. drugim etapem, czyli, w istocie, z ponowną próbą tej reformy — o tym parę uwag.

Przede wszystkim — że jeśli dotąd reforma nie wyszła, to wprawdzie było po temu wiele racji rzeczowych (dług, handel zagraniczny, stan kadr itd.), lecz zadecydowała jedna zasadnicza: tej reformy nie było z kim robić. Tam, gdzie miała ona zadziałać, w przedsiębiorstwie państwowym czy spółdzielczym, nie było dla niej żadnej sojuszniczej siły społecznej, żadnego społecznego wsparcia. Jeśli, jak wspomniano, na reformę zareagował efektywnie właśnie sektor prywatny, to dlatego, że sfera prywatna jest jedyną autentycznie żywą sferą życia w Polsce. Nie jest to wcale efektowna czy efekciarska gra słów, że niby sztucznie utożsamiam prywatność sektora gospodarczego z prywatnością indywidualną. Są one w tym wypadku rzeczywiście tożsame, ponieważ wyrażają podobne sfery wartości, takie jak swoboda, niezależność, inicjatywa, ryzyko, hazard... Zarazem — to взгляд drugi i równie istotny — sektor prywatny jest w zasadzie kreacją *ex nihilo*, dodaje się do istniejącej rzeczywistości gospodarczej, natomiast niczego w niej nie zastępuje. A kiedy tylko zarysowuje się możliwość czy podejrzenie takiej podmiany — opór okazuje się z miejsca przemożny. Nie jest to tylko opór tzw. aparatu, biurokracji czy nomenklatury. Przeciwno „podkupowaniu” siły roboczej przez „prywaciarzy” protestują niekiedy całe załogi, a groźbą rozwiązania PGR i rozsprzedaży ziemi buntuje

się fernali przeciw chłopom. Kto chce, może to uznać za egzotykę — ale zwolennicy radykalnej reformy w Polsce, w szczególności zaś wyznawcy poglądu, że wystarczy zezwolić na rozwój sektora prywatnego, by „zwyćził rynek” lub nawet „kapitalizm nienazwany”, powinni sobie uświadomić, że przedsiębiorstwo socjalistyczne musi być radykalnie przekształcone od wewnątrz, jeśli w ogóle ma się na rynek zgodzić. Dlatego właśnie jałową iluzją są wygłaszane dziś z wielu stron niby to trzeźwe opinie, że trzeba „tylko” rzucić wszystkich na głęboką wodę... I dlatego pytanie, z kim robić reformę, jest tak kluczowe. Dość modne są na naszej neopracy narzekania na solidarnościowy program Rzeczypospolitej Samorządnej i w ogóle na idee samorządności, jako rzekome ustępstwo wobec zniewolenia, sowytyzacji wewnętrznej itd. Ale „Solidarność” przyjmując w końcu ten program uważała, że właśnie samorządność może pozyskać załogi dla rzeczywistej reformy gospodarczej, która, nim da efekty, musi przynieść ze sobą ogromne koszty (dziś jeszcze większe niż w 1981, przybyło sześć lat opóźnień). Oczywiście, można też nie bez racji twierdzić, że to właśnie „Solidarność” chciała w ten sposób i za tę cenę, zapłaconą przez władzę, ratować socjalizm w Polsce. Nasza tak z pozoru radykalna antysolidarnościowa opozycja potępia, oczywiście, taki skutek i intencję — i to jej święte prawo. Tylko że nie można rozsądnie domagać się rzeczywistej reformy gospodarczej i nie pytać o politycznego sojusznika dla tego przedsięwzięcia w jego centralnym miejscu, tzn. w przedsiębiorstwie, ciągle jeszcze socjalistycznym. Chyba że się wcale nie jest takim radykałem, jak się krzyczy.

Rząd w Warszawie rozumie to wszystko znacznie lepiej od naszych neoliberalów i wie też doskonale, że choć chce reformy, to jednak nic za nią politycznie nie zamierza zapłacić i z dobra woli nie zapłaci. Ale właśnie dlatego, proklamowawszy „drugi etap”, płynie teraz, ręcznie sterując, zupełnie karkołomnym kursem.

Drugi etap reformy ma być, jak się zdaje, skrojony z obrzynków. Obrzynków materialnych i kredytowych, stąd troszkę, stamtąd troszeczkę — i z obrzynków społecznych: trochę ambitnych kadr z przedsiębiorstw, trochę uprzywilejowanych grup płacowych, trochę farmerów z farm eksportowych. Stąd również obrzynkowy charakter samej koncepcji, owych ogłoszonych przed kilku miesiącami 175 tez, dla każdego coś miłego, które są teraz formułowane ostatecznie. Mimo bardzo mocnej presji ze strony środowisk ekonomicznych nie wydaje się prawdopodobna wyraźna opcja na rzecz reformatorskiego radykalizmu. Na to brak po prostu sił.

5. Gorbaczow i jego innowacje wnoszą do polskiej sytuacji

nowy element — choć przecież żadna ze „śmiałych inicjatyw” sekretarza generalnego KPZR nie wybiega poza praktyki w PRL już znane i wdrożone. Jeśli jednak, mimo autentycznych sympatii, ekipa warszawska zareagowała na moskiewskie „przyśpieszenie” i „przebudowę” z dużą nerwowością, to chyba przede wszystkim ze względu na śmiertelną powagę, z jaką Gorbaczow traktuje i zapewne musi traktować swoje reformy. Wielkie mocarstwo i tak rozległy kraj nie może sobie pozwolić na nonszalancję. Zresztą w Rosji każdy wielki reformator był wyposażony w MISJĘ od Boga lub historii, a zaznaczyłem już uprzednio, że ekipa warszawska właśnie misyjności szczęśliwie się wyzbyła. Do tego względu natury metafizycznej dochodzi też bardziej przyziemny: Gorbaczow dla swej przyśpieszonej przebudowy potrzebuje i oczekuje od sojuszników pomocy, a nie deficytów. Wszystko to wnosi do reformatorskich działań w Warszawie dodatkową potrzebę, ba, konieczność sukcesu. Nie jest wykluczone, że spowoduje to również pewną — słowną przynajmniej — radykalizację programu i przyśpieszenie kalendarza reformy. Prawie na pewno zaś sprawi, że Warszawa wzmoże jeszcze trwające już od roku starania, by w imię powodzenia reformy przysporzyć sobie pomocy międzynarodowej i wewnętrznej. Poza kredytami zagranicznymi chodzić tutaj będzie o rodzaj ostatecznego aktu stabilizacji wewnętrznej i marginalizację opozycji. Do swoistej neutralizującej współpracy w imię nadrzędnego dobra narodowego włączony byłby zarówno Kościół, jak tak zwane środowiska opiniotwórcze (artyści, uczeni, intelektualści). Neutralizującej współpracy — broń Boże kolaboracji! Doświadczenie Rady Konsultacyjnej, czy na niższym szczeblu, niezależnego pisma *Res Publica* (cenzurowana) zdaje się wskazywać, że nikt z uczestników takich inicjatyw nie sprzedaje tam swojej duszy ani nie jest do tego nakłaniany: ludzie uczciwi i odważni pozostają uczciwi i odważni — i jako tacy właśnie są potrzebni. Dotychczas wprawdzie efekty tego rodzaju zabiegów nie wydają się godne uwagi — dyskurs jest w ogóle w Polsce bardzo zdewaluowany — ale sprawy mogą się zmienić, jeśli zwłaszcza hierarchia kościelna zdecyduje się przyjąć bardziej aktywną postawę.

Tutaj nawias. Dyskusje (coraz częstsze) na temat działań Kościoła wobec spraw polskich koncentrują się zazwyczaj w politycznym trójkącie rząd - Kościół - „Solidarność” czy też, bardziej personalnie, Jaruzelski - Glemp - Wałęsa. Lepiej zorientowani statystycy rozszerzają trójkąt do pięciokąta, włączając papieża i tajemniczą „dyplomację watykańską”, i w ten sposób mają prawdziwą uciechę... Bez żartów. Kościół w Polsce, jako społeczność wietnych lecz również jako hierarchia, przeżywa obecnie bardzo szczególny okres, którego konflikty znajdują wprawdzie wyraz w znanych dylematach politycznych, ale ani się na nich nie zasadzają,

ani się do nich nie dadzą sprowadzić. W Kościele współżyją dziś, nieraz w sporze, dwie, rzekłbym, struktury, dwie kultury, które zresztą obie są odzwierciedleniem i pewnym przetworzeniem dwoistości zwanej polskością czy też kulturą polską. Powiem nawet, że jeśli w ogólności pretensje wielu kościelnych publicystów a nawet książy do utożsamiania polskość z katolicyzmem uważam za nadużycie, to akurat dziś Kościół jest zapewne bliższy tej identyczności niż kiedykolwiek. Lecz bynajmniej nie dlatego, że „walczy z komuchami”, lecz dlatego, że rozwój ostatnich dziesięcioleci, Sobór Watykański i walka o prawa człowieka pozwalają mu wyrażać również tę komponentę polskość, która wywodzi się zarazem z Oświecenia i z rewolucyjnego romantyzmu i której uniwersalizm jest zaprzeczeniem parafiańszczyzny, polskiej parafiańszczyzny, głębokiej, małomiasteczkowej, endeckiej. Otóż obie te polskość są w Kościele i choć w niczym nie grożą jego jedności jako wspólnoty religijnej (*casus* arcybiskupa Lefebvre'a jest w Polsce niewyobrażalny), to jednak pozostają kulturowo antagonistyczne, a nacisk polityki antagonizm ten wyostrza. Wbrew potocznym opiniom nie chodzi wcale, w pierwszym rzędzie, o nacisk władz. Ekipa Jaruzelskiego toczy, oczywiście, swoją grę z Kościołem, z różną zręcznością i różnym skutkiem. Ale wyobrażać sobie, że to ona mogłaby skłonić Kościół, jego hierarchię czy choćby prymasa Glempa do kolaboracji z reżymem jest zupełnym nieporozumieniem. Natomiast jest, jak sądzę, prawdą, że pewna część opinii kościelnej, ta za której wyraziela uchodzi prymas, uważa epokę „Solidarność” za definitywnie zamkniętą — i nie jest tym żartowana. Są w tej części opinii katolickiej zarówno aktywni zwolennicy i uczestnicy władzy jak ludzie, którzy niechętnie widzą bezpośrednie społeczne, a tym bardziej polityczne angażowanie się Kościoła — ale nie oni są, prawdę powiedziawszy, interesujący. Najciekawsze (dla politycznego dziennikarza) są te kierunki i ugrupowania, które — nastawione z pewnym pesymizmem na strategię przetrwania i umacnianie identyczności narodowej, zagrożonej, jak sądzą, przez sowietyzację (tylko że sowietyzacją ma być też bezgraniczne pożądanie dóbr materialnych i ucieczka na Zachód...) — traktują owo cofnięcie się w sferę prywatną, o czym pisałem na wstępie, jako pozytywny manewr społeczny pod warunkiem, że dokona się pod kierunkiem Kościoła, umacniając zwłaszcza rodzinę i małe społeczności sąsiedzkie, i że następnym krokiem będzie tworzenie, ciągle w oparciu o Kościół, wspólnot zawodowych, lokalnych, korporacyjnych, szkolnych na tyle politycznych, by władze, ustępując stopniowo, akceptowały ich rejestrację. Równoczesny rozrost sektora prywatnego dostarczałby oparcia ekonomicznego dla tej konstrukcji — i w ten sposób ukształtowałoby się ostatecznie społeczeństwo ludu Bożego wolne od pokus „klasowości”, które zagrażały „Solidar-

ności”, a także od jej niewczesnych ambicji politycznych, ale dostatecznie zwarte i niezależne, by przetrwać.

Przytoczyłem, oczywiście, wariant skrajny tej koncepcji i, być może, nieco karykaturalny, ale to już niechcący. W każdym razie również w bardziej subtelnych odmianach koncepcja ta przewiduje „oddanie” „Solidarność” i byłaby to rezygnacja z czystym niejako sumieniem, jako że „Solidarność” już nie ma, choć nie wszyscy o tym wiedzą.

Oto więc na koniec najtrudniejsze z pytań: a czy ona, ta „Solidarność”, jeszcze jest?

Kiedyś uczono mnie, że u Hegla można odnaleźć siedemdziesiąt i siedem różnych sposobów istnienia i, co za tym idzie, tyleż znaczeń słowa „jest”. Łatwo mi więc teraz odpowiedzieć, że „Solidarność” i jest, i nie jest.

Aby jednak nie poprzestać na wykretach, zacznę od ostrzeżenia czytelnika przed dwoma, skorelowanymi zresztą, sposobami traktowania kwestii. Przed, mianowicie, odpowiedzią, że „Solidarność” stała się mitem i legendą (po czym następują zazwyczaj czołobitności o panteonie narodowej pamięci, Legionach, AK itp.) i przed poprzestawaniem na buchalteryjnej kalkulacji: jeśli było 9,5 miliona członków a zostało — no ilu? — 30 tysięcy aktywistów czy choćby 300 tysięcy płacących regularnie składki, to cóż: ze słonia została trąba?

Można by teraz poprowadzić wywód kolejnym wykretem. We Francji partia socjalistyczna ma, zdaje się, 150 tysięcy członków, a w ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych uzyskała więcej głosów, niż wynosiła największa liczebność „Solidarność”. Tutejsze związki zawodowe w rozmaitych wyborach do komisji zakładowych, organów ubezpieczeń itd. uzyskują z reguły liczbę głosów będącą wielokrotnością ich członkostwa. W demokratycznym życiu polityczno-społecznym panuje z reguły zasada reprezentacji, a nie zaś organizacji masowych i demokracji bezpośredniej.

„Solidarność” nie była jednak płodem demokratycznego życia polityczno-społecznego, lecz aktem samoorganizacji społeczeństwa: akces organizacyjny był identyczny z wyrażeniem poglądów i emocji, z opcją ideową. Czy zatem głęboki regres liczebny jest skutkiem przede wszystkim zmiany poglądów i emocji, czy też rozprężenia się — i z jakich powodów — owego zasadniczego *iunctim* pomiędzy opcjami ideowymi a przynależnością organizacyjną?

Jeśli wierzyć socjologom a także policjantom, z których raportów czasem coś przecieka, poglądy a zwłaszcza emocje ewoluują wprawdzie, ale nie w stopniu, który by w normalnych warunkach rozwoju związku mógł spowodować rezygnację z przyna-

leżności. Mamy zatem do czynienia raczej z rozerwaniem *iunctim*. Powód pierwszy: oczywiście lęk. Bo prawdą jest wprawdzie, że represyjność systemu w Polsce znacznie zmalała — ale nadzór policyjno-polityczny nad społeczeństwem bardzo się rozrósł. Wydziały i referaty kadr są w sposób zupełnie nieskryty podłączone do służb bezpieczeństwa, a w organizacjach partyjnych tzw. sprawy kadrowe, zwłaszcza zaś donosy, stanowią ostatnią formę rzeczywistości ożywionej działalności. Osłabiona represyjność może przecież w każdej chwili wzrosnąć — żadnych barier legalnych dla takiej „praworządnej samowoli”, jak wspomniano, nie ma — a nawet i bez tego liberalna władza dysponuje zupełnie dostatecznym arsenałem środków, żeby utrudnić i obrzydzić życie obywatelowi, któremu zachce się niewłaściwie zrzeszać. Zwłaszcza jeśli życie to płynie w środowiskach stosunkowo nielicznych, dla czujnych oczu najzupełniej przejrzystych i słabo rezonujących społecznie.

Sprawa lęku, szczególnie w dużych miastach, oferujących różne alternatywne sposoby dawania sobie rady, musi być jednak zrelatywizowana. Lęk bywa przewyciężany, jeśli człowiek sądzi, że warto. Tak wreszcie doszliśmy do istoty sprawy.

„Solidarność” była wprawdzie ruchem społecznym, nie zaś tylko związkiem zawodowym, ale przynależność do niej była nade wszystko przynależnością do związku. Otóż jako związek zawodowy jest dziś „Solidarność” dla bardzo wielu swoich dawnych członków a ciągle sympatyków — nie warta ryzyka formalnej przynależności. Żadne przyrównania do hiszpańskich komisji robotniczych z ostatniego dziesięciolecia frankizmu nie są właściwe, ponieważ w Hiszpanii komisje działały w rozproszonym przemyśle prywatnym, natomiast w Polsce zdelegalizowany związek zawodowy nie może jako organizacja masowa nic zdziałać dla swych członków poniżej bardzo stosunkowo wysokiej temperatury społecznej, czyli właściwie poniżej czegoś w rodzaju sierpnia 1980. Podkreślam: jako organizacja masowa. Możliwe jest natomiast, i są zresztą tego przykłady, pełnienie funkcji związkowych przez nielegalną „Solidarność”, która kontynuuje swe działania w przedsiębiorstwie jako zwarta i stosunkowo nieliczna grupa nacisku, posługująca się, bez wyrzutów sumienia, również oficjalną siecią instytucji fabrycznych. Jest w tym jednak głęboki paradoks, że właśnie po to, by móc funkcje związkowe pełnić, grupa solidarnościowa musi uciekać się do form najzupełniej niezwiązkowych. Trudno się dziwić, że raczej nieliczni działacze dają sobie z tym radę.

Pozostaje „Solidarność” jako inicjatorka tzw. niezależnego społeczeństwa. To, jak wiadomo, jest przedsięwzięciem z założenia nie kwantyfikowalnym. Nie mam też żadnego poglądu na temat, ilu ludzi owo społeczeństwo zrzesza — bo przecież nikogo właś-

nie nie zrzesza — ani też nawet, ilu się do niego zalicza, bo to się, bywa, zmienia z wtorku na środę. Kiedy np. papież wędruje po Polsce, społeczeństwa niezależnego ogromnie przybywa... Nie wiem również, w jaki sposób do niezależnego społeczeństwa zalicza się np. niezależna prywatna polska rodzina, o czym już była mowa. Mój ironiczny nieco ton tłumaczy się nadmiarem mitomanii, która niezależnemu społeczeństwu towarzyszy od zarania. Pozostańmy przy tym, co jest jego manifestacją uchwytną i co, rzecz charakterystyczna, nosi dziś nazwę polityczną demokratycznej opozycji (przedstawiciele władzy dodają: „tak zwanej” lub „samozwonnej”). Jest to formacja najzupełniej luźna, w której skład wchodzi zarówno pewne poziome porozumienia solidarnościowe i postsolidarnościowe, jak też załączki czy też resztki partii politycznych, rzeczywistych lub urojonych, rozległa panorama prasy i wydawnictw nielegalizowanych i wreszcie działająca na powierzchni kierownicza grupa „Solidarności”. Ta ostatnia, z Wałęsą, mimo że nie mająca żadnych tytułów do kierowania demokratyczną opozycją i bardzo często ostro przez nią krytykowana, pełni jednak nadal rolę głównego autorytetu opozycji i niezależnego społeczeństwa. Otóż wydaje się, że podobnie poniekąd jak „Solidarność” w zakładach pracy, grupa ta nie całkiem nadąza za ewolucją, w którą jest uwikłana.

Podkreśliłem już, że jak wynika z samego nazwania, jest to uwikłanie polityczne. Oczywiście „Solidarność”, jak zresztą każdy z konieczności ruch społeczny w kraju, gdzie wszystko jest polityką, była zawsze uwikłana politycznie. Inaczej wszakże, niż ma to miejsce obecnie. Doświadczenie z sierpnia 1980 zawierało dwa kluczowe elementy: samoorganizacji społecznej czyli ożywienia społeczeństwa cywilnego — i jego porozumienia („umowy społecznej”) z władzą. Zrodzona ze zbiegu obu tych czynników „Solidarność” była więc uwikłana politycznie, ale, mogło się здаwać, tylko w punkcie wyjścia... Polityczna była tylko zgoda władzy (oczywiście, wywalczona przez społeczeństwo, choć już parę lat potem dowiedzieliśmy się, że wszystko wymyśliła PZPR). Z chwilą uzyskania tej zgody, nowopowstała „Solidarność” mogła być na wydzielonym dla niej obszarze ponownie apolityczna. Tak wyglądała teoria i choć potem praktyka aż po stan wojenny i delegalizację związku stale teorii przeczyła, można było nie gwałcąc logiki twierdzić, że to władza, jej niższe szczeble, jej beton lub jej sojusznicy w Moskwie nie przestrzegają konstrukcji nadal w zasadzie obowiązującej. Kierownicza grupa „Solidarności” robi to, w gruncie rzeczy, po dziś dzień. Nadal mówi o porozumieniu i o powrocie do umów sierpniowych, tak jakby to porozumienie było konstytutywnym, równorzędnym z samoorganizacją społeczną, nie zaś tylko akcydentalnym momentem w powstaniu „Solidarności”.

Pragnę zaznaczyć, że pozostawiam najzupełniej na uboczu zarzut braku realizmu, jaki różne ogniwa związku wysuwają wobec tej postawy: jak długo, denerwują się młodziaki, można proklamować porozumienie z kimś, kto cierpliwie, konsekwentnie, otwarcie, tak jak generał Jaruzelski, tłumaczy, że nigdy z wami gadać nie będzie... Otóż ten zarzut wydaje się akurat bezprzedmiotowy: historia polityki wybrukowana jest proklamacjami, które powtarzane cierpliwie, konsekwentnie i otwarcie przez wiele lat, były potem spokojnie odkładane *ad acta*. Wszystko zależy od rozwoju sytuacji, od akcydensu. Nawet najświętsze zasady, w rodzaju „nie gadać z Wałęsą”, bywają tym snadniej łamane, że już raz były... Rzecz w czym innym. Jeśli sierpniowa zgoda była tylko akcydensem, nie zaś zasadą konstytucyjną, to oczekiwanie na porozumienie jest oczekiwaniem na ponowny przypadek, samo zaś porozumienie z kolei ani nie było, ani nie będzie wydzieleniem sfery apolitycznej, lecz tylko rozgraniczeniem politycznego pola. Pluralizmem — i to pluralizmem politycznym. Nie musi to, oczywiście, oznaczać ani bezpośredniej, ani gwałtownej walki o władzę, ale nie może też być akceptacją monopolu na nią.

Demokratyczna opozycja polityczna, która nie potrafi podjąć tego dylematu, nie może nie być na koniec zepchnięta na szczybel dysydencji, na margines\*. Władza zaś znajdzie wówczas dość partnerów porozumienia, którzy nie będą już mieli nic do stracenia. Pytanie, co się z kolei stanie z tak rozszerzoną podstawą władzy, należy już do następnego cyklu dziejów.

Krzysztof WOLICKI

korespondent *Le Matin de Paris*  
w Warszawie

\* Dysydencją nazywam więc tutaj postawę opozycyjną, która nie stanowi i nawet nie zawiera w sobie możliwości alternatywy politycznej, choćby nawet bardzo odległej. Nie znaczy to, oczywiście, by dysydencja nie mogła się w taki ruch polityczny rozwinąć, czy odwrotnie, jak tutaj właśnie sponuję, nie mogła okazać się jego *residuum*, „niezbywalną resztą”: socjopolityka rzadko tylko potwierdza trwałość znaczeń, które ludzie przypisują własnym postawom. Natomiast wyrażam rzeczywiście pogląd, że w obecnej fazie historycznej władza komunistyczna w Europie Wschodniej jest zdolna współżyć z bardzo nawet rozległą liczebnie dysydencją — i zresztą z wielorakim w ogóle marginesem społecznym, jeśli przez margines rozumieć ludzi rozproszonych, niezorganizowanych na przepisanej modłę, trochę na wzór owych „dysydenckich” mas ludzkich włączających się po drogach średniowiecznego świata. Totalitaryzm właśnie w taki sposób przeżywa swoją redukcję — i chciałoby się rzec: w taki właśnie sposób ją organizuje. Margines, a zatem i dysydencja, jest zarazem jego ustępstwem i jego sposobem trwania.

## List z Londynu (14)

Niedawno tutejsza telewizja przeprowadziła wywiad z dwoma przedstawicielami Iranu: ambasadorem tego państwa i dyrektorem mahometańskiego Instytutu Historycznego w Londynie.

Obydwaj byli bardzo uprzejmi i powściągliwi, obydwaj potrafili ominąć najgroźniejsze rafy trudnego i doskonale prowadzonego wywiadu, ale z ciekawej rozmowy wyłoniła się jedna zaskakująca prawda. Według ich najgłębszego przekonania każdy człowiek rodzi się mahometaninem i tylko okoliczności sprawiają, że w życiu wyznaje często inną religię. Każdy prawy mahometanin powinien zrobić co może, by wszyscy ludzie poznali wreszcie prawdę i uznali islam za swoją religię. Na wyraźne zapytanie, czy należy to rozumieć jako zapowiedź „świętych wojen”, takich jakie miały miejsce w przeszłości, obydwaj dali odpowiedź odmowną, ale ton tej odpowiedzi nie był przekonywujący.

Groźba nowej, wielkiej wojny, która może się zacząć na Bliskim Wschodzie, jak najbardziej obchodzi Wielką Brytanię, ale w tym wypadku jeszcze bardziej palącym problemem jest ilość mahometan, którzy są tutaj osiedleni. Dotychczas jakoś na to nie zwracano uwagi, tymczasem jest ich już ponad milion i liczba ich rośnie. Większość pochodzi z Pakistanu, połowa już się tutaj urodziła, posiadają 350 meczetów, każde prawie mieszane małżeństwo doprowadza do przejścia na mahometanizm chrześcijańskiej strony, a problem odrębności pogłębia fakt, że wszyscy są pod naciskiem różnych mahometańskich krajów. Największy i najgroźniejszy wpływ ma Iran z jego rewolucyjnymi fundamentalistami, którzy są przeciwni wszelkiej asymilacji, podobne poglądy głosi Południowa Arabia, która ponadto może je hojnie finansować.

Fanatyzm religijny łączy się z zupełnie odmienną i starą kulturą oraz z tradycyjnymi obyczajami, które zupełnie nie pasują do brytyjskiego stylu życia. Władze robią co mogą, by nie dopusz-



czać do konfliktów, ale ciągle do nich dochodzi i niejednokrotnie są one nawet groźniejsze niż konflikty z Murzynami.

Ostatnio wybuchnął właśnie taki konflikt w zakresie szkolnictwa i to w formie bardzo ostrej, konflikt, w którym trudno nie mieć sympatii dla rdzennych Brytyjczyków. Z miasteczka Dewsbury, w którym mieszkają sami biali, dzieci były od dawna wysyłane do podstawowej szkoły w Headfield. W ostatnich latach szkoła ta zmieniła zupełnie charakter, bo 85 % tamtejszych dzieci pochodzi z Azji. Oczywiście nauczyciele także stamtąd pochodzą, ich angielski jest słaby, poziom szkoły niski i rodzice białych, brytyjskich dzieci zaprotestowali. Wyraziło się to w bardzo ogólniej formie, po prostu komitet rodziców zdecydował, że dzieci będą posyłane do innej szkoły, w nieco dalszym miasteczku. Ta łagodna forma okazała się jednak za ostra dla lokalnych władz opartych przez lewe skrzydło *Labour Party*: — To jest rasizm, nie pozwalamy.

Sprawa oparła się o ministra, który znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Dotychczas musiał akceptować, że w wielu szkołach zlikwidowano łacinę i grekę i wprowadzono język z Bengalu, a w jednej zamiast historii Wielkiej Brytanii zaczęto uczyć historii Sikhów; teraz musiał powziąć decyzję dotyczącą podstawowego prawa rodziców: do jakiej szkoły chcą posyłać swoje dzieci. Oczywiście problem dotyczy wyłącznie bezpłatnych szkół rządowych i samorządowych, prywatne są do dyspozycji wszystkich, którzy mogą i chcą płacić.

Mimo całej sympatii do rodziców decyzja ministra musiała być im przeciwna, bo po pierwsze danie im szerszego prawa w wyborze szkoły wymaga nowej ustawy, a po drugie doprowadziłoby to do rasowej segregacji, czego rząd stara się za wszelką cenę uniknąć. Dla wszystkich świątłych ludzi jest oczywiste, że jedynym rozwiązaniem powinno być współzycie wszystkich grup etnicznych i w przyszłości jakaś integracja, ale czy jest ona w ogóle możliwa? Do różnic pochodzenia dochodzi teraz fanatyzm religijny, a ten jest jeszcze trudniejszy do przełamania niż kolor skóry.

Chwilowo rodzice z Dewsbury wynajęli w hotelu kilka pokoi i uczą tam swoje dzieci dorywczym sposobem, ale tu wyłoniła się nowa przeszkoda. Zaprotestowały związki zawodowe, bo uczyć mogą tylko zawodowi nauczyciele.

Sprawa ciągnie się od szeregu tygodni, rozsądnego jej końca nie widać i cały kraj obserwuje ją z niepokojem, bo błędna decyzja może mieć katastrofalne skutki. Rozwiązaniem będzie przypuszczalnie plan konserwatystów, by zmienić prawo i rodzicom każdego dziecka w wieku szkolnym dawać kupony na bezpłatną naukę, które będą mogły być wykorzystane w każdej szkole, nawet prywatnej. W takim wypadku rodzice będą musieli dopłacać różnicę.

Trudno jest przesądzić intencję twórców dużej, złożonej z dziewięciu filmów telewizyjnej serii *The Struggles for Poland* (Walka

o Polskę), którą nam tu pokazywano, jedno jest jednak pewne: nie mogli planować niewypału. A jednak tak się stało. Zmarnowano okazję przedstawienia Polski z obiektywnej perspektywy. Zaczęło oglądać serię prawie milion Brytyjczyków, do końca dotrwało zaledwie 400 tysięcy. Znudziła ich jednostronność i ciągle ta sama szara barwa.

Seria przyniosła jednak jeden dodatni i nieoczekiwany rezultat. Po raz pierwszy od wielu lat Polacy w Wielkiej Brytanii potrafili się zdobyć na zgodną opinię i zgodne, szybkie i skuteczne działanie. Zjednoczenie Polskie powołało Komitet Obrony Dobrego Polskiego Imienia, do którego weszło około 20 przedstawicieli naszego naukowego, politycznego i społecznego życia, i skontaktowało się z kanałem IV telewizji, który całą serię wyświetlił i w 40 % sfinansował (dalsze 40 % dwumilionowego budżetu — w funtach — dała amerykańska stacja telewizyjna w Nowym Jorku, WNET, a 20 % Norddeutscher Rundfunk w Hamburgu, Kongres Polonii w USA dał także kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Kanał ten ma własny, cotygodniowy program, „Prawo do odpowiedzi”, w którym udzielił nam całe 30 minut. Wraz z trzema młodymi historykami podjąłem się przygotowania naszego wystąpienia i znalazło się ono na ekranach zaraz po zakończeniu serialu. Oglądało nas ponad milion widzów. Występ musiał być dobry, skoro dostrzegł go i przychylnie skomentował recenzent tygodnika *The Listener*. Z 500 osobnych programów, które w ciągu tygodnia ukazały się we wszystkich kanałach, recenzent wybrał siedem, wśród nich nasz, *Right to Reply*. Sukces był tym większy, że cała seria *The Struggles for Poland* nie uzyskała w *The Listener*, w tej rubryce, nawet jednowierszowej wzmianki.

Komitet postanowił ponadto, że musimy przygotować godzinny telewizyjny film w języku angielskim, przedstawiający Polskę w prawdziwym, ale oczywiście nie propagandowym świetle. Musi on powstać szybko, w ciągu kilku miesięcy, by mógł być wyświetlany zaraz po serialu, który ukaże się w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech, w Kanadzie, w Danii i na pewno w innych krajach. Reżyseruje film Witold Zadrowski z Paryża, który ma już w dorobku kilka historycznych filmów, ja przygotowałem wstępny skrypt, prace są już daleko posunięte, trwa zbiórka pieniędzy, bo kosztą wyniosą 25 tysięcy funtów.

Po wyborach, w których liberałowie i socjaldemokraci, występujący wspólnie jako Alliance, nie spełnili nadziei, rozległy się głosy, że należy połączyć obydwie partie i stworzyć nowy organizm polityczny. Pierwsi zajęli się tym socjaldemokraci, ale ich referendum przyniosło tylko 60 % głosów za połączeniem się z liberałami. Natomiast niedawny kongres liberałów z entuzjazmem (50 głosów do 1) opowiedział się za zjednoczeniem. Na kongresie wyłoniono grupę, która ma podjąć rozmowy z socjaldemokratami, ale z ich strony wygląda to smętnie, bo są rozbici, a ich przy-

wódca, dr David Owen, przeciwny połączeniu się z liberałami, w ogóle zrezygnował z prezesury. Ma on tylko 49 lat, w rządzie *Labour Party* szereg lat temu był ministrem spraw zagranicznych, należy do najzdolniejszych i najuczciwszych brytyjskich polityków i byłoby wielką szkodą, gdyby już teraz zakończyła się jego kariera. Niektórzy twierdzą, że zamierza przystąpić do konserwatystów, on temu kategorycznie zaprzecza, ale może się tak stać. Zmiana partii politycznej nikogo nie dyskredytuje, dwukrotnie zrobił to Churchill, który zaczął jako konserwatysta, by w roku 1903 przejść do liberałów i powrócić do torysów w roku 1925, gdy liberałowie się rozspali.

Demokracja anglosaska to zawsze walka o władzę dwóch partii politycznych. Bywa ich więcej, ale poza czołową dwójką reszta się nie liczy. Może, oczywiście, nastąpić zmiana, może jedna partia z „wielkiej dwójki” odpaść i zostać zastąpiona przez inną, ale zdarza się to bardzo rzadko. Spotkało to liberałów 65 lat temu, gdy w roku 1922 zostali pobici przez *Labour Party*, która zdobyła 142 mandaty i stała się legalną opozycją rządu konserwatystów.

Ta klęska, po której liberałowie już się nie podźwignęli i przez wszystkie te lata nie mogli nie tylko wygrać wyborów, ale nawet stać się legalną opozycją, nigdy przez nich nie została zapomniana. Nagle, właśnie teraz, zaświtała iskierka nadziei. Gdyby udało im się połączyć z socjaldemokratami i stworzyć nową partię pod nazwą, powiedzmy, liberalnych demokratów (krążą takie pogłoski), kto wie, może udałoby się zepchnąć *Labour Party* na trzecie miejsce? Czasu jest sporo, zwycięstwo konserwatystów daje na te sprawy prawie pięć lat, a socjaliści są w bardzo złej sytuacji. Właśnie kończy się ich kongres, właśnie analizują przyczyny trzęsienia z kolei klęski wyborczej i rozsądniejsi z nich są zdania, że musi być zmieniona fasada partii, by mogła ona mieć szanse na wyborcze zwycięstwo. Tak, ale zmiana fasady, jeżeli nie ma być oszustwem, musi doprowadzić do odejścia od socjalistycznych zasad, a do tego nie chce dopuścić rozwrzeszczane lewe skrzydło, któremu nawet tradycyjny socjalizm już nie wystarcza. Domagają się specjalnych praw dla homoseksualistów, domagają się pełnego rozbrojenia, wszędzie węższą rasizm, tam gdzie lokalnie rządzą, wyrzucają pieniądze na głupstwa. Na taką partię nawet członkowie związków zawodowych nie będą głosować. Tak się już zresztą częściowo stało w czasie ostatnich wyborów, a przecież na związkach opiera się siła partii.

Najbliższe lata będą tutaj politycznie bardzo ciekawe. Trudno sobie wyobrazić, by konserwatyści mogli zwyciężyć po raz czwarty, byłoby to sprzeczne z wieloletnią tradycją. Wyborcy chcieliby mieć przekonywującą alternatywę, ale nie może nią być obecna *Labour Party*. Jej kongres zakończył się mową przywódcy, Neal Kinnocka, który podkreślił konieczność zmian dla zdobycia głosów i zmiany te zapowiedział. Ton jego był zupełnie nowy. W zeszłym roku, podobnie jak w latach poprzednich, jego końcowy występ był jednym wielkim atakiem na Margaret Thatcher i prezydenta Reagana. Teraz wyglądało to inaczej. Wprost

musiał przyznać, że zmienił się układ społeczny, że dawni zwolennicy socjalizmu są dziś często zamożnymi ludźmi, że miliony ludzi posiadają własne domy i akcje i że socjalistyczne hasła, słuszne 50 lat temu, dziś brzmią fałszywie i naiwnie. Byle górnik ma dziś dom, samochód, telewizję, magnetowid, spędza urlop za granicą i nie można mu powtarzać bredni o partii, która go wydobędzie z nędzy.

Jednak od zapowiedzi do wykonania droga jest długa, socjalizm stracił wiele w powszechnej opinii, przestano mu wierzyć i wyborcy, którzy chcieliby zastąpić kimś konserwatystów, będą się rozglądać za inną alternatywą. Może nią być partia stworzona przez liberałów i socjaldemokratów. Już zaczęli wstępne dyskusje i zapowiadają połączenie się na wiosnę przyszłego roku. Zobaczymy.

Najbardziej wyświechtanym i nadużywanym pojęciem jest na Zachodzie „wolność słowa”. Z jednej strony ludziom wydaje się, że każdy redaktor musi wydrukować każdy list skierowany do jego pisma i każdy artykuł, choćby był bezsensowny i oszczerczy, z drugiej ludzie dysponujący masowymi środkami przekazu coraz częściej tracą poczucie proporcji.

Najjaskrawiej przejawia się to w programach telewizyjnych. Ostatnio wyświetlono tu film o południowoafrykańskim działaczu wolnościowym, Nelsonie Mandeli, który od ponad 20 lat przebywa w więzieniu, i o jego żonie, Winnie. Film wzbudził zastrzeżenia i w programie *Right to Reply* postawiono reżyserowi zarzut, że dla celów komercyjnych zrobił brutalny i fałszywy historycznie film o ludziach żyjących, nie fatygując się nawet, by z nimi nawiązać kontakt. Trzeba było widzieć jego arogancką minę i słyszeć jego argumenty. Coś mi się przypomniało, podobne wypowiedzi słyszałem kilka lat temu w Oksfordzie, gdy pewien reżyser wyjaśniał, że musiał pominąć świadków historii, bo popsuliby mu jego „artystyczną wizję”.

Jednak w ostatnich tygodniach sytuacja zaczęła się zmieniać. Wpłynął na nią przebieg kampanii wyborczej, w czasie której różne panienki z telewizji były tak aroganckie w czasie wywiadów z wybitnymi politykami, że wywołało to powszechne oburzenie. Wzmógł je straszny wypadek w miasteczku Hungerford, gdzie szalenioczek zastrzelił z karabinu maszynowego swoją matkę i 14 innych osób. Ogólnie uznano, że miała tu wpływ telewizja, która ciągle pokazuje krwawe zbrodnie. Parlament ma uchwalić ustawę, która to ograniczy. Skoro na dobudowanie dodatkowego piętra na własnym domu trzeba mieć pozwolenie władz, prawo może także sięgnąć do masowych środków przekazu.

Józef GARLIŃSKI

dejrzana w swoim heroizmie była wersja katastrofy, która zdarzyła się przed kilkoma laty na Okęciu. Jeśli jednak załoga zachowała się bohatersko, a żal w społeczeństwie był tak głęboki i szczery, jak na to wyglądał, wtedy w zestawieniu z obrazem hien i szakali obgryzających zwłoki powstaje wizja naszego kraju, jako Chrystusa ukrzyżowanego razem z łotrami, nie osobno, ale w jednej cielesnej postaci.

Polska rozciągnięta między szlachetnością i łajdactwem. Obraz kolorowy, a życie bywa na ogół szare.

Późna noc. Zajeżdżam samochodem na stację benzynową. Mam w kieszeni ukryte fałszywe kartki na benzynę, które nabyłem za grube pieniądze. Należą, nie należą — serce wali mi jak młot, a pot zalewa oczy. Pracownik rozejrzał się, schował szybko kartkę i nalał. Potem doliczył sobie 10 %, co, jak się potem dowiedziałem, stanowi zwyczajowy dodatek do takiej transakcji. Wszystko odbyło się łatwo, lekko i przyjemnie. Wróciłem do domu zmęczony, ale z poczuciem triumfu.

A przecież jeszcze niedawno upierałem się, że nie będę dawał łapówek, kombinował, oszukiwał, niech to robią inni. Dzięki owej moralnej postawie przestałem praktycznie jeździć samochodem, gdyż urzędowy przydział benzyny starcza na kilka wycieczek (nie za miasto, ale po mieście).

Dwa dni później z podobnymi zamiarami i nieco większą pewnością siebie udałem się znowu na stację. Zbliżył się inny pracownik, co nieco mnie zaniepokoiło. Nie mrugnął nawet okiem, nalał i kazał zapłacić należność bez procentu. „Jak to — speszylem się — niech pan sobie doliczy”. „Miło mi, że mogłem panu pomóc” — odparł. Nalegałem, on uparcie odmawiał. Poczulem się okropnie. Postanowiłem, że już nigdy nie podjadę do stowiska obsługiwanego przez tego dziwnego osobnika.

Moja zmieniona osobowość zaczęła szybko przyciągać nowe okazje. Pojawił się pan Miecio, uczący żołnierzy na kursie prawa jazdy. I popłynął za odpowiednią opłatą złotawy płyn do moich kanistrów. Poczulem się rzeczywiście znakomicie. Przyjemnie, chociaż śmierdzi i grząsko, nie widać tonących, bo każdy siedzi na podobnej wysepce, jak moja. Tylko gdzieś daleko wystaje czyjaś ręka. Za daleko, by pomóc, a zresztą sam sobie winien. Jeśli fujara, niech ginie.

Poszerza się zakres wolności słowa. Ta wolność jednak nie uwalnia słów, a słowa nie rozjaśniają mroków owej wolności. Osobliwe, bo przecież o ile więcej można teraz niż w czasach złotej gierkowskiej jesieni. (Na marginesie należy dodać, że ta „swoboda” zjada nieubłaganie tereny zarezerwowane dotychczas dla obiegu niezależnego). W gadaniu o ekonomii dochodzimy po-

## Kraj

### Dziennik zewnętrzny

Katastrofa samolotowa pod Warszawą. Dzieci z pobliskiej betonowej wyspy, zwanej Ursynowem, dojechały tam szybko na rowerach. Nie był to odpowiedni widok dla dzieci. Makabryczny obraz tworzyły nie tylko ofiary, ale również przybyli na miejsce katastrofy dorośli, którzy rabowali mienie zabitych. Czy na podstawie tej sceny można mówić o stanie moralnym naszego społeczeństwa, czy przypadkowi Szwajcarzy lub Francuzi...? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Inna sprawa, że obecnie cały ten kraj przypomina zwłoki szarpane przez głodnych. We wnętrzu rozkładu powstają zamożne wille, suną ulicami najnowsze marki zachodnich samochodów. Trup, jak widać, bywa dla niektórych pożywny.

Katastrofa samolotu rozwiązała worek z pomniejszych kataklizmami. Tapnięcia w śląskich kopalniach zdarzają się mniej więcej raz na tydzień, zaś niedawno śmiercionośnym narzędziem okazały się karuzele w naszych tak nielicznych i raczej smutnych wesołych miasteczkach. Pewien inżynier tłumaczył mi, że nazywa się to zmęczeniem materiału. Polska ma okrutnie przestarzałą infrastrukturę. Zgodził się, że zmęczenie materiału odnosi się również do ludzi. Mnie także się ostatnio jakby zmęczył materiał, mam uczucie, jakby mi odpadły guziki i dołączyłem do wielomilionowej rodziny, która chodzi rozpięta między nie chce mi się, a nie mogę.

Wracając do nieszczęsnego Ha. Wiele pisano o heroizmie załogi i że pilot, widząc nieuchronność zderzenia z ziemią, skierował wehikuł na las, by nie skrzywdzić mieszkańców pobliskich zabudowań. Wysłuchałem tego życzliwie, nawet z odcieniem wrzucenia, ale szybko ogarnęły mnie wątpliwości. Propaganda przecież jednako żeruje na prawdzie i kłamstwie. Podobnie po-

mału do stwierdzenia wyższości kapitalizmu nad socjalizmem. W ekologii, że zagłada tuż, tuż. Nadal jednak nie wolno dobrze o „Solidarności” i źle o ZSSR.

Zmienił się ton naszych dzienników telewizyjnych. Króluję sensacja i kryminał z całego świata oraz kpina z rodzimych bezsensów. A owe obnażone bezsensy jak biegały, tak biegną wymachując radośnie swoją nagością.

Magiczny stosunek do słów u komunistów. Nie ma już komunistów, nie ma magii. Gadanie sobie, rzeczywistość sobie. Czas „Solidarności” odczarował słowa na dobre. A system przetrwał, chociaż nadgryziony jak ser przez myszy. Gadajcie sobie zdrowo — śmieje się dziurawy ser komunizmu, a ja sobie jeszcze pogniję i niejednego pożywię.

Utrata wagi. Na znaczeniu i na wadze straciła w Polsce rzeczywistość. Niezwykle doprawdy zjawisko. Chudsza jest prawda i kłamstwo, podłość i — przepraszam za słowo — szlachetność, pieniądze oraz ich brak, nawet śmierć jakby mniejsza.

Pytam rozlicznych znajomych, czy też to zauważyli, bo a nuż to moja prywatna melancholia. Odczuwają to z wielką mocą. „I czas zaczął u nas płynąć szybciej” — dodają niektórzy.

W mojej dzielnicy spotkanie zarządu spółdzielni ze spółdzielcami, nazwane szumnie konsultacyjnym. Od jakiegoś czasu w Polsce trwają nieustanne konsultacje. Konsultuje się ceny, podwyżki, reformy i Bóg wie co jeszcze. Swoistą cechą tych konsultacji jest ich fikcyjność. Ludzie skarżą się, a władza, ta większa i ta mniejsza, robi i tak swoje.

Wielka konsultacja, a właściwie ogólnonarodowy plebiscyt miał miejsce w latach 1980-1981. Przytłaczająca większość społeczeństwa opowiedziała się wówczas przeciwko systemowi. Wynik z tego stan wojenny. Jaki więc sens mają teraz konsultacje w drobnych sprawach?

Konsultacja w mojej dzielnicy dotyczyła kolejnej w tym roku podwyżki czynszów. Zwykle tego rodzaju imprezy zarezerwowane są dla emerytów, którzy od jakiegoś czasu przestali być poczciwi (podejrzewam, że z głodu). Nieliczne przybyłe grono rzuciło się do gardła spółdzielni i gardło zostało przegryzione. Wydawało się, że stało się niemożliwe — ściana runęła. Ale zaraz pojawiła się następna ściana, która oświadczyła, że chociaż szanowni spółdzielcy mają rację, że kolejna podwyżka jest skandalem, to będzie, gdyż stanowi konieczność. Podwyżka więc będzie, tyle że w późniejszym terminie.

Przed domem spotykam sąsiada, który mieszka na parterze i posiada ogródek. Właśnie podcina gałązki drzewek owocowych, które nie wiadomo kiedy zdołały wyrosnąć na osiedlu. Ogródek

pięknie zadbany, podobnie jak wszystkie ogródki przy naszych wielopiętrowych, brzydkich domach. Ale już nieco dalej zaczyna się teren publiczny, gdzie nieliczne posadzone przez spółdzielnię drzewka zostały zarżnięte przez kolejne wymiany rur.

— Czy nie warto by tak wspólnie posadzić kilku drzewek na tym stepie? — zapytałem nieśmiało.

Sąsiad przerwał pracę i poinformował mnie, że już w tej sprawie rozmawiał z kilkoma osobami z okolicy. Doszli wspólnie do wniosku, że nie da rady nic posadzić.

— Jak to, kilku drzewek nie da rady? — zdziwiłem się.

— Będzie pan łaził z łopatą po osiedlu na oczach wszystkich? Ludzie pomyślą, że to czyn partyjny. Ja się nie będę narażał na taki wstyd. Inni też nie chcą.

— To może by posadzić w nocy, po kryjomu? — zaproponowałem.

— Może to i pomysł. Jeśli pan jakoś zorganizuje taką akcję, to ja pójdę. Chociaż tak właściwie — sąsiad podrapał się w głowę — teren tam już nie nasz... Nasze są ogródki.

Przymierzałem się do tej nocnej akcji kilkakrotnie, ale jakoś nie mogłem. Tyle w życiu konspirowałem z książkami, że teraz na konspirowanie w nocy z drzewkami nie mam już ochoty i siły.

Nasze — ich — zauważył sąsiad. Tu właśnie zawiera się jądro bezsensu socjalistycznej rzeczywistości. Dopiero kiedy *ich* stanie się *nasze*, przestaniemy chodzić na głowach i staniemy na nogi. Jak na razie droga do tej przewrotki wydaje się daleka. W praktyce, bo w teorii, która polega na gadaniu, przyjęto już pozycję pośrednią, która w terminologii ogólnowojskowej zwie się czołganiem przez pełzanie.

Pan Stasio pielęgnuje pewien obiekt sportowy, gdzie ciekawe rozwiązania naszej powojennej architektury leżą w ruinie, którą nie zważając na kolejne kryzysy porasta trawa, zielona i uparta.

Pan Stasio nie jest już młody i upodobnił się do obiektu. Utracił zęby, a na sztuczną szczękę go nie stać lub nie ma czasu. Ilekroć mnie widzi, wznosi muskularną rękę i sepleniąc nagimi dżiąstłami wygłasza swój monolog bez przecinków i kropek:

— Wszystko upada grabi nas wschód i nasza mafia wszędzie mafia i na tym obiekcie sypie się co robić nikt nie chce robić gangsterzy koniec gówno.

Potakuję i jak zwykle podczas tego seansu, zauważam melancholijnie: — A co będzie, jak pana tu zabraknie?

— Gówno będzie — sepleni nasza bezzębna męska Kassandra — a na tym gównie trawa wyrośnie.

Tego samego dnia podobny, w dramatycznym tonie utrzymany monolog wygłosiła w moim sklepie spożywczym młoda ekspedientka. Zamiast muskularnej ręki wznosiła nóż. Sklep został

poddany reformie, co według sprzedawczynie oznacza całkowity upadek handlu.

— Nikt tu nie zostanie, nikt!

— Trawa porośnie, droga pani — oświadczyłem cytując pana Stasia.

— U nas raczej pleśń — zauważyła sprzedawczynie i ciachnęła nożem kawał podejrzanie wyglądającej pasztetowej, której zażyłem sobie z braku serów.

Narzekanie, najbardziej żywa forma wypowiedzi w Polsce. Narzekanie stało się stylem życia, rozpoczyna i kończy rozmowy, jest pretekstem do nawiązywania znajomości. Narzekanie zamiast śmiechu, jęku, modlitwy i coraz częściej myślenia. Narzekanie zawsze głodne, gotowe zjadać ludzką energię.

Kłeska „Solidarności” dopiero teraz zaczyna wpuszczać światło do swego wnętrza. Widać rozbebeszone łóżko, pod nim rozlażte kapcie. Parzy się niesmaczna „chińska” herbata. Za brudnym oknem domy z wielkiej płyty, nudne i bliźniaczo do siebie podobne.

A na pobliskim budynku ktoś uparcie maluje „Solidarność żyje”. Będąc niedawno w małym zapyziałym miasteczku, widziałem takie same napisy na murach, niechlujnie zamalowane. Żyjemy więc, ale zamalowani olejną farbą, w najróżniejszych kolorach.

Czy Polska jest krajem totalitarnym? Niewątpliwie jest krajem totalnej kłeski. Od zatrutego Bałtyku do zdeptanych Tatr, do ekonomii, ekologii i gastronomii. Od mojej dzielnicowej poczty zasupłanej w kolejki do pustych sklepów. Wszystko spsiało, może oprócz samych psów.

W sukurs zbolałej dumie narodowej śpieszą środki masowego przekazu. Oto rocznica bitwy pod Grunwaldem stała się okazją do wielodniowego gromienia Krzyżaków. Znęcano się nad nimi tak dotkliwie, że poczułem coś w rodzaju solidarności z nieszczęsnymi, którzy swoją kłeskę muszą powtarzać po stokroć na wszelkie możliwe sposoby.

Jeśli komuś nie wystarczyła chwała polskiego oręża przed stuleciami, dołożono mu gole strzelane przez współczesnych polskich wojów na stadionach w poprzednim dziesięcioleciu, kiedy nasza piłka nożna nie była jeszcze sflaczała. Człek otworzy telewizor, a tu bach! strzelają gola Gadocha, Deyna i Lubański. Krzyżakom, Anglikom i nawet Rosjanom.

— A ja nie mogę kupić ryby dla kota — żali się stojąca przede mną w kolejce niewiasta.

— Jak tak dalej pójdzie, będziemy jeść własne koty — zasepił się jakiś kolejkowy emeryt.

— Najpierw zjemy *ich!* — oburzyła się niewiasta.

— Obawiam się, drodzy państwo, że oni są niestrawni — wtrąciła się jakaś praktyczna osoba, wesoła, bo już stojąca blisko kasy.

Takie oto bujne rozmowy kwitną w naszych kolejkach. Jaki kraj na świecie funduje równie bogate życie intelektualne w ogonie?

Przyjęcie na terenie ambasady obcego mocarstwa, które propaganda namiętnie obdarza przymiotnikiem — wrogie. Gęsty tłum wybitnych postaci z życia kulturalnego i opozycyjnego świadczył o tym, że kampania przepłaszania obywateli PRL z zachodnich ambasad (patrz sprawa „szpiega” Millera) zakończyła się fiaskiem. Wrogie mocarstwo swym demokratycznym zwyczajem zaprosiło również niewielką grupkę ze strony, którą przywykliśmy nazywać „tamtą”. I otóż tamci trzymali się razem, bardzo samotni i zagubieni, zaś grupka wysokich oficerów wojska polskiego szybko czmychnęła, potykając się o nogi Bujaka, Jedynaka, Jaworskiego oraz innej licznie zgromadzonej ekstremy zajętej spiżaniem trunków wrogiego mocarstwa. Były też inne podziały, np. w postaci Adama Michnika, który próbował zachować odpowiedni dystans wobec Marcina Króla w związku ze sprawą *Res Publici*. Mniej czujny był Daniel Passent, który niebacznie skrzyżował spojrzenie z Bogdanem Borusewiczem. Stałem w pobliżu, ale manewr wykonany przez oblicze politycznego realisty z *Polityki* wydał mi się złudzeniem.

— Czy widziałeś, co on zrobił? — spytał mnie nieśmiało Borusewicz.

— Mam wrażenie, że puścił oko — odparłem niepewnie.

A więc nie przewidzieliśmy się obaj. Passent puścił do Borusewicza oko, wielkie cwaniackie oko — w imieniu wszystkich porozumiewaczy narodowych i realistycznych realistów, karierowiczów, mydlaków i cyników.

Wszy na głowie naszego dziecka, tłuste, dobrze odżywione, optymistycznie patrzące w przyszłość, o czym świadczyło liczne potomstwo. Odetchnęliśmy z ulgą. Nareszcie. Dzieci wszystkich znajomych już miały, prędzej czy później trzeba przez to przejść i z głowy.

Te wszy, które opanowały polskie szkoły i przedszkola, epidemia czerwonki, powszechne zatrucia bakterią o pięknie brzmiącej nazwie salmonella, to wszystko przypomina, gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy.

Znajomy informuje mnie konspiracyjnym szeptem: — We wrześniu ma być wprowadzony stan wojenny, szykują się dwustu-procentowe podwyżki!

Zdziwiłem się, bo ja słyszałem „pewną” wiadomość, że ma być rozpisane referendum w sprawie polskiego NEP-u. Puszczanie na żywioł gospodarki w ramach stanu wyjątkowego? W końcu nie takie sprzeczności godził przodujący ustrój. Problem w tym, że nasza władza boi się śmiałych decyzji w dobrym i złym. Przypomina owego osobnika odzianego tylko w płaszcz, co o zmroku łązi po parku. Przestraszyć ma jeszcze czym, ale ofiarować może jedynie swoją chorobę.

Zbliżyliśmy się niewątpliwie do jakiegoś prognozy. To przekonanie wisi w powietrzu i rodzi plotki. Za tym prognozą może być niemal wszystko, nawet to samo, co przed prognozą. Tylko zapach gnicia... już zupełnie nie do zniesienia.

Witold CHARŁAMP

## Twierdza nienawiści

Scena pierwsza. W dość obszernej sali, rozświetlonej blaskiem żarówek, dyskutuje grupa dwudziestokilkuletnich i młodszych chłopców. Na ścianie wisi drewniany krzyż. Równe rzędy podniszczonych krzesel i długie, zarzucone książkami stoisko. Chłopcy rozmawiają o artykule, który jeden z nich chciałby opublikować we własnej gazecie.

Do grupy przyłącza się kolejny młodzieniec. Głośno „Szczęść Boże” i ramię młodego człowieka pręży się ku górze w geście starorzymskiego pozdrowienia, które jednak w Polsce i na całym świecie przypomina znacznie bliższe, mroczne czasy. Ściszony śmiech i wyraźny szepot jednego z zebranych: „o, przyszło radykalne skrzydło”. W tej uwadze nie ma nic z nagany. Jest natomiast sympatyzujący z gestem element protekcji i wielkodusznego przyzwolenia. Radykałowie, szczególnie w tym miejscu, powinni witać się właśnie takim pozdrowieniem.

Po raz pierwszy oglądałem podobną scenę „na żywo”, nie w polskiej telewizji przepełnionej wojennymi programami. Było to w dolnej sali warszawskiego kościoła przy ulicy Zagórnej. Na chyba niezamierzoną perwersję zakrawa fakt, iż owa świątynia nosi wezwanie Matki Boskiej Częstochowskiej Patronki Armii Krajowej, zaś wystrój głównej kaplicy przesycony jest stylizowanymi emblematami i symbolami akowskich pododdziałów. Kościół na Zagórnej rości sobie miano kościoła skupiającego środowiska kom-

batanckie, lecz z drugiej strony nawet postronny obserwator zauważy, iż tym, którzy wybrali sobie tę świątynię na miejsce pozareligijnych spotkań, bardziej niż akowskie odznaczenia pasuje nazistowska swastyka.

Scena druga. Za stoiskiem z książkami stoi ubrany w schludną, oliwkową koszulę młody chłopak. Ma poprawnie zawiązany czarny krawat i gładko przylizane włosy. Podchodzą do niego dwaj koledzy, rozmawiają o pieniądzach i kwiatach dla miejscowego proboszcza.

— Bo przecież nie można zostawić księdza prałata samego, kiedy wszyscy go napadają. Parszywa propaganda.

— Kto napada? — pytam.

— Żydzi z *Le Point*, BBC, Głosu Ameryki. Ale ksiądz prałat mówi jak Polak i nie chce robić tego, co każe żydowska propaganda. Jesteśmy jak oblężona twierdza, bastion prawdziwej polskości.

Jeszcze kilka słów o sprzedawanych książkach, zakupie nowych pozycji — „kochajmy się jak bracia, liczymy się jak... tfu, sam wiesz kto” — i chłopcy odchodzą po kwiaty dla księdza, który użycza katolickiej świątyni sabatom czarownic.

Pozareligijna aktywność skupionego przy kościele na Zagórnej środowiska doczekała się już prasowych publikacji. W kraju pisały o niej pisma bezdebitowe i gazety oficjalne. Pojawił się również niewielki artykuł w *Le Point*, powielony następnie przez polskojęzyczne sekcje BBC i Głosu Ameryki. Wszystkie publikacje w krytyczny, aczkolwiek wy wpływający z różnych przesłanek sposób wypowiadały się o głoszonej w kościele skrajnym antysemityzmie. Bo faktycznie, żydożerstwo jest kluczowym — chyba ze względu na potencjalną atrakcyjność — punktem repertuaru przykościelnych spotkań, wykładów i dyskusji.

Oto główne założenia jednej z prelekcji, wygłoszonej na Zagórnej przez Bogusława Rybickiego, niegdysiejszego kandydata do władz „Solidarności” regionu Mazowsze, który omawiał polityczny kontekst Powstania Styczniowego. Tak więc insurekcję 1863 roku sfinansowali Żydzi w osobie Kronenberga, by w beznadziejnym starciu z carską Rosją wyniszczyć naród polski, a przynajmniej jego patriotyczną lecz bezrozumną młodzież. Oczywiście, forsę trzymał we własnej kieszeni także Żyd, minister finansów powstańczego rządu, Henryk Wohl, zatem wiadomo, kto na tym geszefcie zarobił. Prócz tego sytuacja sprzed Powstania jako żywo przypomina dzień dzisiejszy, zaś najgłębsze analogie dotyczą — rzecz jasna — pozycji i manipulatorskich planów żydo-masonerii. I w 1863 roku i teraz Żydzi stoją po obu stronach konfliktu, uważnie przyglądając się sytuacji i tak nią sterując, by wyrwać Polakom jak najwięcej. To oczywiście, iż w procesie organiza-

torów ursuskiego strajku z początków stanu wojennego skazano robotników — Polaków, a korowiec, Żyd i mason, Jan Józef Lipski, został na wolności.

Czy Żydem był ksiądz Jerzy Popiełuszko, tego Rybicki nie dowodził. Stwierdził natomiast, iż Jego działalność duszpasterka (warto porównać tę opinię z licznymi wypowiedziami Jana Pawła II podczas ostatniej pielgrzymki do kraju) wymierzona była przeciwko pozycji Kościoła i autorytetowi Prymasa. Kto tak postępował podczas Powstania Styczniowego? Jasne, że Żydzi.

Jednak niech nikt nie będzie pewien, że do końca pojął przewrotność i podłość, odkrył zamierzenia wybranego ponoć narodu. Gdy ksiądz Jerzy, wedle wskazówek kardynała Glempa, odciął się od KOR-u, w 1984 roku oksfordzki konwentylk najważniejszych ze światowego żydostwa skazał go na śmierć. Każdy wie, kto wyrok wykonał, lecz funkcja kata jest przecież sprawą drugorzędną. A zresztą wiadomo, że w UB służyli i służą sami Żydzi.

Z tych samych powodów sprzeciwia się pouczeniom Prymasa ksiądz Małkowski. Zna cenę swojego życia — jest nią posłuszeństwo żydowskiemu wytycznym — a uaktywnia się wtedy, kiedy dostaje rozkaz z żydowskiej centrali.

Żydzi — twierdził dalej prelegent — to firmy polonijne, kradnące ojczyźnie i narodowi polskiemu surowce, siłę roboczą i... dzieła sztuki. To rozpijanie narodu — znów analogia do czasów przedpowstaniowych. I wreszcie żydowskie banki, wyciągające łapy po polskie długi. One ponoszą winę za naszą tragiczną sytuację gospodarczą. No, może odrobinę przyczyniły się do tego czasy gierkowskie, ale ci, co wówczas nabruzdziłi, już siedzą w firmach polonijnych, czyli u siebie. Bo przecież komunizm nie dlatego jest ekonomicznym bankrutem, że jest komunizmem, ale dlatego, iż został stworzony przez Żydów i Żydów preferuje. Oczywiście, zmowa dotyczy całego świata, lecz przede wszystkim Polski i Polaków, narodu-sumienia ludzkości, przedmurza chrześcijaństwa. Żydami otaczał się Bierut, Gomułka, Gierek, do Żydów Ignął Wałęsa — swój ciągnie do swego. Żydzi prawdopodobnie manipulowali nawet przebiegiem Soboru Watykańskiego II, gdyż z „ducha Soboru” płynie demokratyzacja, zaś wiadomo, do czego demokratyzacja, zwłaszcza w Kościele, może doprowadzić. Żydzi wcisnęli się dokładnie wszędzie, bo właściwie to jedno potrafia.

A ulubiony przez Polaków znak zwycięstwa, „zajacek” pokazywany podczas mszy za Ojczyznę? Ten znak — kontynuuje Rybicki — również nie ma nic wspólnego z polskością („od tej litery nie zaczyna się żadne polskie słowo” — wyjątek z mowy generała Jaruzelskiego). To przecież masonski symbol dwóch sztyletów, powstały w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Jeden sztylet przeciwko królowi, drugi przeciwko Kościołowi.

Kolejny wykład, prowadzony przez pana Więclawka, doktora, a poświęcony tajnym ruchom w tysiącletniej historii Polski. Na sali jest kilkunastu wyznawców doktryny żydo-masonskiego spisku. Jest też grupa studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przyszli obejrzeć polityczny folklor. Na początku wystarczały szydercze uśmiechy i kpiny. Jednak nawet ich nerwy, bądź co bądź obserwatorów tragifarsy, spragnionych coraz to nowych „odkryć” i „sensacji” nie wytrzymały. Zaczęli polemizować z prelegentem i wtedy usłyszeli, że nie znają prawdziwej historii Polski. Gdy okazało się, że właśnie historia jest przedmiotem ich studiów, od kilku młodzieńców chłonących z otwartymi ustami treść wykładu dostali propozycję: „chodźmy za kościół, to pogadamy”.

Z treściami prelekcji współgrają sprzedawane na Zagórnej książki. Można kupić „Protokoły Mędrców Syjonu”, pozycję sfabrykowaną przez carską Ochranę i entuzjastycznie zrecenzowaną przez niemieckich głosicieli nazizmu i polskich rasistów spod znaku Falangi. Dostępne są wszelkie druki, zazwyczaj sygnowane pseudonimami — jeśli nie liczyć emigracyjnego fanatyka, Jędrzeja Giertycha i Romana Dmowskiego, który z całą pewnością przewraca się w brudnowskim grobowcu wskutek profanacji imienia — a dotyczące roli Żydów w manipulowaniu światem. Są też bezdebitowe — rzecz niezwykła w polskich warunkach — publikacje periodyczne, adresowane głównie do młodzieży, *Nowe Horyzonty* i *Jestem Polakiem*.

Czego można się z tych gazet dowiedzieć? Można przeczytać, że: „na to, co się współcześnie dzieje z Polską i w Polsce nie mamy już sił odpowiednio reagować. Doszło do tego, że Polskę, przy współudziale samych Polaków, obwołano 'chorym człowiekiem Europy', potem arbitralnie i wyniosłe obłożono sankcjami i długotrwałą karą dyskryminacyjną, gdyż nie udało się doprowadzić nas do politycznego samobójstwa na życzenie naszych rzekomych obrońców spod masonskiego znaku Kielni i Trójkąta. Alternatywa zaś, jaką nam w tamtym czasie przygotowano, była wcale nie lepsza, a zapewne jeszcze gorsza od tego, co miało być zmienione” (*Nowe Horyzonty* nr 11 z 28 maja 1987 — ocena okresu „Solidarności” i jego reperkusji).

Wiadomo także, że „Żydzi są w opozycji przeciwko tradycji i cywilizacji europejskiej i przeciwko duchowi Europy, który jest duchem chrześcijańskim. A mówiąc o Europie, mówię także i o takich przez Europę zrodzonych krajach, jak Stany Zjednoczone, Meksyk, Brazylia czy Argentyna. A nawet o takich nowych krajach chrześcijańskich jak Zaire czy Uganda” (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987).

Poza tym: „uzgodnienia genewskie są podobne raczej do jednostronnego dyktatu żydowskiego niż do obustronnego porozumienia. Uzgodnienia te spełniają tylko w zasadzie podniesione

przez Żydów żądania. Poza tym zarówno w apelu wydanym w lipcu 1986 roku, jak i w oświadczeniu z lutego br. (1987 — przyp. autora) podkreśla się wciąż ofiarę Żydów w czasie wojny. Wielomilionowa ofiara Polaków i przedstawicieli innych narodowości jest zawsze na drugim miejscu. [...] 'Centrum pamięci' ma powstać dzięki staraniom i na koszt Kościoła katolickiego. A jaki będzie udział Żydów? Czy będą tylko przyjmować 'okresowe sprawozdania' od strony katolickiej, aby móc nadzorować wykonywanie podjętych przez nią 'zobowiązań'?" (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987 — o budowie klasztoru karmelitanek na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu).

Antysemickie ataki nie są kierowane wyłącznie przeciwko narodowi żydowskiemu. W pismach z Zagórnej występuje wariant polskiego antysemityzmu, polegający na opluwaniu tak Żydów jak i ludzi arbitralnie posądzonych o żydostwo lub sprzyjanie Żydom. Żydzi więc lub fanatyczni filosemici grupują się w Klubach Inteligencji Katolickiej, Znaku, Więzi, w wielu redakcjach pism rządowych, Żydami lub filosemitami, co przecież na jedno wychodzi, są Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski, Jan Błóński, a także Jacek Kaczmarski, który z kosmopolitycznych pobudek — przejaw sympatii promasońskich — wybrał emigrację i mówi, że jest przywiązany do kultury światowej, kreując się jednocześnie na fałszywego wieszacza narodowego. Żydzi to cała opozycja demokratyczna w Polsce. A jeżeli nie Żydzi, to w każdym razie ich poplecznicy, świadomi sprzymierzeńcy lub baranki ulegające manipulacji, co karać również trzeba.

Żydożerstwo rodem z Zagórnej — powtórzę — było już niejednokrotnie eksponowane przez środki społecznego przekazu. Czy wynika to z niechęci do rasizmu, czy obowiązku przestrzegania przed wywoływaniem upiorów nie tak znów odległej przeszłości, czy nawet, jak w przypadku mediów zachodnich, ze swoistego kompleksu, który każdy odcień uprzedzenia do Żydów traktuje jako przegrzywkę do kolejnej Treblinki? Nie jest to istotne — ważne, iż wiele piór wykonało z reguły rzetelną, uczciwą i potrzebną robotę. *Casus* Zagórnej ma jednak szerszy wymiar, przesłonięty z lekka przez fanatyczny antysemityzm, lecz dobrze widoczny szczególnie w kontekście ataków na polskich katolików czy opozycję laicką. Jest nim nienawiść — nienawiść do wszystkiego, co inne, sprzeczne z ultraszowinistyczną doktryną polskich neonazistów. A przy okazji nienawiść wielbiącą swych głównych apostołów, nie bacząc, iż w krajowej, europejskiej i światowej opinii nazwiska tych postaci są synonimami dzierzymordów, satrapów, zwyczajnych kanalii. Znów cytuję — wyznanie wiary: „nie ma dziś na świecie prawicy. Znikła Hiszpania generała Franco, znikła Portugalia Salazara. Z biedą trzyma się tylko Pinochet w Chile” (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987).

W Dłaczego na Zagórnej nienawidzi się KOR-u, „Solidarności”, wszystkich ludzi upominających się o podstawowe prawa człowieka? Po pierwsze dlatego, iż KOR, „Solidarność”, Żydzi i masoni to jedno (nie przez przypadek w tamtejszych publikacjach mówi się o „koro-” lub „żydo-solidarności”). Po wtóre dlatego, iż prawa człowieka to wielkie bałamuctwo, wychodzące poza przykazania Boże, oglupiające ludzi i bazujące na tanich, demagogicznych chwytach.

Dłaczego nienawidzi się katolickich intelektualistów z KIK-ów, *Res Publici*, Ruchu Młodej Polski? Bo eksponują żydowskie interesy, zdradzili prawdziwą prawicę, są sprzedawczykami. Bo „czego można oczekiwać od 'elit katolickich', które myślenia uczą się od Spinozy, od Rousseau i encyklopedystów, od Darwina, od Marksa i Nietzschego, od Freuda i Trockiego, od Marcuse'a i Lévi Straussa, a nie znają rzetelnie Ewangelii, Augustyna i Akwinaty? Czego oczekiwać po tych, którzy czytają z wypiekami na policzkach (albo przynajmniej snobują się na to, że czytali) Prousta, Joyce'a, Hemingwaya, Zolę, Gide'a, — a nie tknęli nawet nowoczesnej literatury katolickiej, a więc Chestertona, Papiniego, Bernanosa, Marshalla i innych? Czy można spodziewać się czego innego od ludzi, dla których autorytetem jest rewolucyjna Deklaracja Praw Człowieka, jest 'wolność, równość, braterstwo', jest Demokracja (pisana wielką literą), jest Postęp (tak samo!) — a nie jest pismo święte i katechizm?” (*Nowe Horyzonty* nr 7 z 28 stycznia 1987).

Dłaczego nienawidzi się ruchu Wolność i Pokój? Bo o tchórzostwie Żydów każdy wie, a oprócz tego pozbawianie Polski żołnierzy — było nie było ludzi „darzonych społecznym szacunkiem i miłością” oddaje Ojczyznę w pacht obcym interesom, gdzie wrogiem nie jest totalitaryzm, lecz żydowskie banki, zachodnia kultura i demokracja. „Dla tych względów nie jesteśmy zwolennikami żadnego, nawet 'realnego' socjalizmu, dlatego też nie zachłystujemy się socjaldemokracją szwedzką, parlamentaryzmem angielskim czy rozwydrzoną demokracją *made in USA*” — pisze w nr. 10 *Nowych Horyzontów* anonimowy autor, wyrażając stanowisko redakcji.

Nienawiść dosięgła młodzieżowe subkultury, bo odciągają młodych od Kościoła i spraw narodu, głoszą satanizm, który jest religią masonów, a więc i Żydów. Rozmodleni młodzieńcy z „Oaz” i innych wspólnot neokatechumenalnych też nie mają racji, gdyż wierzą tylko pozornie, na pokaz, epatują prawdziwych katolików nastrojem i emocjami.

Na Zagórnej nienawidzi się liberałów, chadeków, konserwatystów, socjalistów. W jednym wiadrze należy utopić PZPR, KOR, KPN, RMP. Nienawidzi się narkomanów i homoseksua-



listów. Gardzi się Żydami, ale też Ukraińcami, Niemcami, Węgrami. Wykoślawione do granic człowieczej percepcji koncepcje przedwojennej narodowej demokracji zostawiają margines tolerancji dla Rosji i Rosjan, ale ze wschodnim sąsiadem też nie bardzo wiadomo.

Kogo więc się kocha? Tych, którzy nienawidzą, ludzi, którym miast poglądów starczy zlepek opinii, układających się w klejoną instynktem nienawiści postawę, gdzie brak miejsca na inne uczucia.

Wiara w nienawiść rodzi konkretne konsekwencje. Jaka zatem — w opinii tych młodych ludzi — powinna być polska kultura? Narodowa, katolicka, kościelna, nie taka jak teraz, kiedy jesteśmy zalewani żydowszczyzną, zachodnimi modami, pornografią, bezbożnictwem. Ale jaka? Nie taka, jaka jest!

Jaki powinien być Polak? Katolik i narodowiec. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

Jaki powinien być świat? Katolicki, wierny, prawdziwie pracownicowy, bez Żydów. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

To wszystko głosi się w kościelnym budynku, miejscu będącym w zarządzie instytucji darzonej powszechnym szacunkiem i zaufaniem, pod patronatem kapłanów. Jeden z nich, młody wikariusz, zapytany o treść wykładów i sprzedawanych publikacji, odrzekł, że go nie interesują, że nie wie. Wikariusz kłamał — już następną niedzielę, a zapewne i wcześniej, przewracał kartki żydożerczych książek, jak stary znajomy rozmawiał z organizatorami stoiska. Również miejscowy proboszcz nie ma nic przeciwko „Protokołom Mędrców Syjonu” czy *Nowym Horyzontom*. Gdyby była to literatura antykościelna i antykatolicka, wówczas musiałby interweniować. Teraz nie ma potrzeby. Poza tym — tak opowiadają parafianie — prałat utrzymuje, że stale nachodzą go Żydzi, strasząc zemstą to władz, to własnych, tajnych organizacji, to... Episkopatu.

Na Zagórnej widuje się ciągle te same twarze, przede wszystkim ludzi młodych, w tym kilku studentów z koła Polskiego Związku Katolicko-Społecznego z Uniwersytetu Warszawskiego. Są też przedstawiciele pokolenia Kolumbów i parę statecznych matron tej generacji. Nie dziwi niemal kompletny brak kobiet i dziewczyn. Zgodnie z doktryną nie powinny przecież mieszać się do polityki. Wszyscy razem mówią o sobie, iż Zagórna to tylko wierzchołek góry lodowej. Reszta jest dobrze ukryta.

Różna jest także frekwencja na wykładach — od kilkunastu do stu osób. Nieco więcej kupuje wyłożone w kościele książki. Ale i tutaj nie bardzo wiadomo, kto z nabywców traktuje publikacje jako źródło wiedzy i prezentację postaw zgodnych z jego zapatrywaniami, kto natomiast lubi chwalić się przed znajomymi spisanyymi na papierze bzdurami.

*Summa summarum* jest to grupa z całą pewnością marginalna, podobnie jak w innych krajach, normalniejszych niż PRL, gdzie zawsze znajdują się środowiska, będące ostoją politycznego Ciemnogrodu. Inna sprawa, że przynależność do takich grup źle świadczy o normalności ich wyznawców.

Czy więc, z racji na ewidentną peryferyjność zjawiska, warto o nim pisać?

— Nie warto — mówi dziennikarz nielicencjonowanej prasy katolickiej. — W Polsce zbyt trudno napisać dobry artykuł o antysemityzmie, prawdziwy i rzetelny, bez zadęć w jedną i drugą stronę. Chcesz wariatów, weź satanistów.

— Nie warto — tym razem opinia licencjonowanego katolika. — Po co zadzierać z Maciejem Giertychem, który gra tam pierwsze skrzypce? Wiesz, kim on jest? Siedzi i w Społecznej Radzie Prymasowskiej i w jaruzelskiej Radzie Konsultacyjnej.

— Nie warto — mówi starszy człowiek o zacięciu katolickiego neofity. — To będzie donos na cały Kościół powszechny. A przecież Kościół to nasza ostatnia ostoja, także w oczach świata.

— Trzeba — odpowiada zdeklarowany ateista. — Kościół robi czasami dobrą robotę, ale jest również odpowiedzialny za zaściankowość Polski. To nienormalne, by ludzkimi sumieniami w tym kraju rządziła instytucja rodem z zamierzcłego Średniowiecza. Zagórna to najlepszy przykład.

— Może i piszą nieprawdę — mówi ktoś z szarej, milczącej większości, pamiętający czasy, gdy w Polsce mieszkali Żydzi. — Ale z drugiej strony Żydzi byli lekarzami, prawnikami, krawcami, mieli sklepy i fabryki. Dla nas nie było miejsca.

Nikt nie wspomniał, że każde zło, każda nienawiść, nawet marginalna i jednostkowa winna być publicznie napiętnowana, że jest to wymóg ludzkiej uczciwości. Z jednej strony antysemityzm, obecny w polskim światopoglądzie, z drugiej kościelny budynek, urastający ponad wszelką krytykę, przesłonił szerszy, głębszy aspekt problemu.

Pierwsze artykuły o Zagórnej, które pojawiły się ponad dwa lata temu, były naturalną reakcją na odkrycie egzystujących w zorganizowanej formie pokładów polskiego rasizmu. W kwietniu 1985 roku o wykładach w dolnym kościele pisała *Kultura niezależna*. W początkach 1987 roku KOS, później gazety oficjalne: *Polityka*, a nawet periodyk MSW *W służbie narodu*. Ton i kontekst owych wypowiedzi był zupełnie różny, a to kolejny powód, dla którego sprawy Zagórnej nie należy odkładać do worka zapisanym i przebrzmiałym historii. Dla pierwszoobiegowych publikacji była to bowiem kolejna okazja do zaatakowania Kościoła i jego funkcji społecznych, przy czym pretekst napaści był równie dobry jak wtórny w stosunku do propagandowych zaleceń. Fakt faktem, iż antysemickie wyskoki, buchające nienawiścią zebrania

odbywają się w świątyni, a samo miejsce spotkań dodaje im mocy i wiarygodności. Prawda, że zagadnięci o sprawę Zagórnej przedstawiciele Episkopatu wykazali zadziwiającą bezradność w sprzeciwieniu się złu, a może nie docenili rangi problemu. Faktem jest również, iż wśród części kleru — podobnie jak wśród taksówkarzy, hutników i profesorów — utrzymują się antysemickie resentymenty. Niemniej to wszystko razem wzięte nie stanowi o całokształcie Kościoła.

Niestety, jest jeszcze ta czarniejsza — bo nasza — strona medalu. Gdyby podobne jak na Zagórnej publikacje sprzedawano pod szyldem żydożerczego skrzydła PZPR-u, awantura w prasie podziemnej i — chciałbym wierzyć — wśród społeczeństwa, byłaby niepomierne większa niż teraz. To, że na Zagórnej prowadzi się aktywną działalność antyalkoholową, dowodzi szkodliwości przerywania ciąży — zresztą stosunek do aborcji jest tam testem na przynależność do masonerii — jeszcze nie znaczy, iż takie działania mają jakąkolwiek wartość. „Gdybym wiedział, co tam się wyrabia, nigdy bym nie pozwolił synowi na chodzenie do tego kościoła” — powiedział mój znajomy. Bo przecież Zagórna wygląda z pozoru bardzo przyzwoicie. Zrzeszona przy kościele młodzież nie pije, nie pali, nigdy nie sięgnie po strzykawkę z polską heroiną, „kompotem”. Słucha się wykładów o historii Polski, pamięta o świętach narodowych i — co dla osób wierzących może mieć znaczenie podstawowe — młodzi są także pod opieką duchownych. W świątyni sprzedaje się książki wzbudzające na pierwszy rzut oka zaufanie szarością okładek, dziesiątki publikacji bezdebitowych, o sympatii do których nikogo nie trzeba przekonywać. Więcej, trafiają się tam druki instruktażowe, chwalcące przedsiębiorczość, wyjaśniające zawiłe przepisy prawne, które trzeba pokonać przy zakładaniu własnego interesu. Tak pozytywnie kamuflują nienawiść, która jest przecież podstawowym wymiarem Zagórnej. Nienawiść gorsza niż papieros, wódka i „kompot”, głupsza od najgłupszego sposobu regulacji urodzin — aborcji.

Zbierający się w kościele młodzieńcy wyglądają na pozór normalnie. Ubrani zwyczajnie, bez drażniącej ekstrawagancji punktów czy taniego bogactwa bywalców dyskotek. Czarny, krótki krawat i brunatna koszula militarnego kroju — to strój tak pożądany, jak nieobowiązuje. A nawet taka koszula zobaczona na ulicy, bez asysty książek z Zagórnej i atmosfery dolnego kościoła, pozostanie niezauważona. Jedynym elementem charakterystycznym dla wszystkich jest wpięty w krawat lub kłapę marynarki stylizowany miecz grunwaldzki, symbol waleczności Polaków, oporu przeciwko germańskiemu Zachodowi. Ale kto w ulicznym tłumie zwróci uwagę na mały, metalowy emblemat?

Lecz chłopcy z Zagórnej nie pozostają anonimowi, gdy tylko

opuszczą mury swojego kościoła. Od rówieśników wyróżnia ich język, co chwilę wymawiający z czcią i wiernością słowa: Bóg, Ojczyzna, Polska, Polak, naród. Język pełen patosu, sztucznego zadęcia, niejako promujący tych młodych ludzi na dorosłych, świadomych obrońców narodowej sprawy. Nawet nastolatki nie używają zdrobnień — w rozmowach padają pełne nazwy, dorosłe imiona, zawsze podaje się ręce. Mają poczucie misji, obowiązku, który każdy uczciwy Polak powinien spełnić, tyle że tych uczciwych zostało tak niewiele, więc oni stoją za miliony.

Gdy opowiadam o Zagórnej ludziom, którzy nigdy tam nie byli, z zasady nie mogą uwierzyć, że rodzima odmiana nazizmu znalazła schronienie w kościele. Nie dlatego, że panująca w środowiskach opiniotwórczych „moda na Żydów” tak sprzegła się z odczuciami przeciętnego człowieka, iż każdy jeden sądzi, że antyżydowskie ekscesy należą do niechlubnej przeszłości. Wiele jest w kraju osób, z którymi można rozmawiać na wszystkie tematy, wyłączając rozmowy o Żydach, gdyż wtedy ze zwyczajnego, mniej lub bardziej mądrego człowieka wyłazi zacietrzewiony rasista. Ludzie nie wierzą, że młody chłopak wita rówieśników nazistowskim pozdrowieniem, nie wierzą w brunatny kolor noszonych tam koszul, w bogoojczyźniane słownictwo, przepełnione zarazem nienawiścią bez granic. Nie wierzą we wchodzenie w dorosłość pod przewodnictwem księży i świeckich, starszych osób, pamiętających okropności okupacji, częstokroć odznaczonych za walkę w szeregach organizacji zbrojnych; dorosłość, której głównym wyznacznikiem będzie narastający z latami fanatyzm.

„Przypadek, poza, szczeniacka głupota. Widzisz to, co chciałeś zobaczyć” — mówią.

Być może to prawda, być może skrajny nacjonalizm wymaga militarnego kroju koszuli, jednak z fasonu i koloru przyodziewku jeszcze nic nie wynika. Niemniej warto pokusić się o odpowiedź, jak wyglądają oczy fanatyka, skoro nie są to oczy studenta lub ucznia, sprzedającego po niedzielnych mszach „Protokoły Mędrców Syjonu”?

Tomasz JERZ

## Jeszcze jeden Katyń?

Skraj Puszczu Augustowskiej. Piaszczysty gościniec łączy dwie zagubione wśród lasów wioski — Giby i odległy o kilkanaście kilometrów Rygol. W lipcu 1945 wyjechały z Gib tą drogą ciężarówki z zatrzymanymi przez żołnierzy Armii Czerwonej pod kie-

rownictwem NKWD mieszkańcami okolicznych wiosek. Do Rygola jednak nigdy nie dojechali i wszelki ślad po nich zaginął.

Czterdzieści dwa lata później jeden z mieszkańców Gib idąc drogą na Rygol, mniej więcej osiem kilometrów od swojej wioski, zboczył w las. W 1945 był to ośmioletni młodniak — w miejscu widocznym z drogi na powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych wyrwano drzewka z korzeniami, karczowisko zamaskowano murawą. Na tej polanie, w środku lasu zwanego Uroczysko Wielki Bór, w lipcu 1987 roku mieszkaniec Gib zaczął kopać i wydobył umieszczone płytko pod ziemią ludzkie kości. Pytany później, dlaczego akurat teraz i dlaczego akurat tam, odpowiedział, że miał sen. Przyśnił mu się aresztowany przez Rosjan ojciec: „Synu, jestem blisko ciebie, idź na Uroczysko Wielki Bór, a znajdziesz mój grób”. Pytany raz jeszcze przyznał, że miejsce to wskazał mu nieżyjący sąsiad, ale nie zdradził jego nazwiska. Miejscowi znali tę polanę od dawna, mówią, że nigdy nie chciały się tam paść krowy.

Więść o znalezieniu zbiorowej mogiły błyskawicznie rozniosła się po okolicy. Furmankami, rowerami, samochodami zaczęli ścigać ludzkie. Każdego dnia było ich więcej. Kopali w różnych miejscach polany, wydobywali pojedyncze kości, modlili się, mówili, że szukają grobów swoich bliskich, zabranych przez Sowietów w 1945 roku.

Władze zareagowały dopiero po jakichś dwóch tygodniach. Na miejsce zjechał m.in. prokurator, lekarz z zakładu medycyny sądowej (*nota bene* ten sam, który brał udział w sekcji zwłok ks. Popiełuszki) i przedstawiciel... komisji do badania zbrodni hitlerowskich. Przyjechano bowiem z gotową wersją wydarzeń: w grobach spoczywają albo hitlerowcy, albo ich ofiary. Nie spodziewano się, że będzie tylu świadków ekshumacji. Kazano ludziom odsunąć się, ale ci napierali. W rezultacie wszystko odbyło się na oczach licznie zgromadzonej publiczności, w większości miejscowych, ale również ludzi z „Solidarności” z Warszawy i Suwałk. To nie bez znaczenia — gdyby nie ich obecność, władzy zapewne udałoby się przeforsować oficjalną wersję wydarzeń.

Wynajęci robotnicy odsłaniają pierwszy grób. Wskazując na kilka równo ułożonych szkieletów, przedstawiciel władzy mówi z ulgą: „Patrzcie, patrzcie, przecież to nie Rosjanie...” i wszyscy rozumieją, co chce powiedzieć: że nie tak leżą zwłoki ludzi rozstrzelanych w masowej egzekucji. Ale ktoś z miejscowych zauważa zbutwiałe resztki kożucha i zaraz wśród zgromadzonych pada nazwisko człowieka, któremu matka dała kożuch — choć był to środek lata — ze słowami: „Weź, pewnie cię biorą na Sybir”. Przedstawiciel władz z wyraźną radością pokazuje znalezione w rozkopanym grobie: jedną blaszkę od wojskowego buta, kilka guzików od munduru Wehrmachtu, wreszcie pojedynczy znaczek identyfikacyjny niemieckiego żołnierza: „Patrzcie, patrzcie, tu leżą Niemcy”. A ludzie na to, że w tamtych czasach wielu nosiło wojskowe buty i kurtki. Nie wiadomo, jak długo toczyłby się ten dialog władzy ze społeczeństwem nad zbiorową mogiłą, gdyby nie fakt, że kolejny ruch łopaty odsłonił dwa szkie-

lety z rękami i nogami związanymi kablem. W tym momencie komisja przerwała pracę.

Parę dni później na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych wysypano na stół sporą garść guzików i znaczków identyfikacyjnych, by oświadczyć, że sprawa jest zamknięta: to są groby niemieckich żołnierzy. Nabierze się na to nawet tak zwykle ostrożny *Tygodnik Mazowski*. Ale pełne tupetu słowa rzecznika nie zamknęły sprawy. Przeciwnie, dopiero wtedy rozwiązały się miejscowe języki. Przede wszystkim obserwatorzy ekshumacji zgodnie stwierdzili, że to była parodia, że na jej podstawie absolutnie nie można wnioskować, czyje kości spoczywają na leśnej polanie. Dalej: że z grobu wyciągnięto tylko jeden znaczek i kilka guzików. Wreszcie, że polana kryje jeszcze sporo nie odkopanych kości. Ale — co najważniejsze — zaczęli mówić o wydarzeniach sprzed lat.

Kiedy Armia Czerwona zajęła Suwalszczyznę, Rosjanie początkowo zachowywali się spokojnie, a nawet przyjaźnie. I nagle, jednego dnia, ruszyła obława. Żołnierze szli od wsi do wsi — wedle niepełnych danych było ich 31, wszystkie w pasie otaczającym Puszcze Augustowską — zabierając głównie mężczyzn, ale również kobiety, od kilku do kilkunastu osób z każdej miejscowości. Do niektórych wsi przychodzili z listą, w innych brali wedle uznania. Jeśli nie zastali człowieka z listy, brali zakładników: całą rodzinę albo jedną osobę. Widać nie było jasnych instrukcji. Komu udało się uciec — ocalał. Nigdy nie wracali po raz drugi. Mówili, że chodzi o kontrolę dokumentów.

Żaden z rozmówców nie pamiętał dokładnej daty rozpoczęcia obławy — taka nazwa funkcjonuje wśród miejscowej ludności — ale wedle znaków orientacyjnych, narodzin, chrzcim czy odpustów udało się ustalić, że był to 12 lipca. Toczyła się właśnie konferencja w Poczdamie, zapadały ostateczne ustalenia co do granic. Klucza, wedle którego co najmniej kilkaset osób podpadło NKWD i już nigdy nie dało żadnego znaku życia — dziś nie sposób odtworzyć. Stalin — mówią ludzie — chciał te ziemie oczyścić dla siebie z niepożądanych elementów. A inni, że to był prezent NKWD dla UB — władza komunistyczna była tu słabiutka, partyzantka silna, więc Wielki Brat chciał wyręczyć polskich towarzyszy. Najbardziej fantastyczna hipoteza w ustach miejscowej ludności brzmi tak: „zabrali gąsiory, gęsi same pójda precz” i dalej: że chodziło o wyludnienie tych ziem, aby połączyć Puszcze Augustowską z trzema wielkimi kompleksami leśnymi, które kiedyś, przed wiekami, stanowiły całość. Brzmi to jak bajka, ale jeśli się pamięta Białomorkań czy pomysł zawracania biegu syberyjskich rzek...

Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że chciano po prostu zniszczyć zaplecze działającej tam partyzantki. Rzeczywiście, wśród zatrzymanych znalazł się na przykład szewc, który robił leśnym buty czy gospodarz, co podwiózł kilku AK-owców furmanką do ich oddziału. Ale zabrano też młodego mężczyznę, który dopiero co wrócił z oflagu a może z robót, dość że nie mógł mieć nic wspólnego z miejscowym ruchem oporu.

Przy niektórych nazwiskach widniały pseudonimy z lasu, czasami był tylko pseudonim. Miejscowi tłumaczą to tak: Rosjanie zrzucali na te tereny skoczków spadochronowych, którzy szli do lasu, do AK-owskiej partyzantki, bo innej nie było. Zaprzyjaźnili się tam z ludźmi, którzy podawali prawdziwe nazwiska i adresy. Jak dowódca oddziału był bardziej nieufny, albo wiedział co nieco o przyjaciołach ze Wschodu, zakazywał swoim ludziom dekonspiracji i Rosjanie znali ich tylko z pseudonimów. Ci ocaleli, bo oczywiście w czasie obławy żaden się nie przyznał do leśnego pseudonimu. Ale obława nie była wprost na AK-owców. W tym samym czasie złapano człowieka z bronią w rękę, aresztowano, skazano, po dwu latach wrócił z Workuty, a ci z obławy — kamień w wodę.

W układaniu list pomagali również Polacy, najprawdopodobniej funkcjonariusze UB. Jak zwykle w takich wypadkach zdarzały się całkiem prywatne porachunki. Jakiś ubek zakapował chłopaka, który konkurował do tej samej dziewczyny. Polacy brali też udział w samej obławie. Jeden z gospodarzy, po którego przyszli, spoił żołnierzy i ci w pijackim rozrewnieniu poradzili mu, żeby uciekał. Ale uniemożliwili mu to — jak dziś opowiada żona — dwaj Polacy po cywilnemu. Jest też relacja, jak jeden z zatrzymanych wsiadł do ciężarówki, a tam jakiś Polak wskazując na niego mówi „dobrze, to ten”.

W kilku miejscowościach zajęto stodoły i inne budynki gospodarcze — tam spędzano zatrzymanych. Po dwu dniach część osób wypuszczono — też nie wiadomo wedle jakiego kryterium. Jeden z nich, podówczas młody chłopak, opowiada tak: „Podzielono nas na dwie grupy, w jednej sami młodzi ludzie, w drugiej sami starcy i ja. Pomyślałem, że młodzi jadą na roboty, a starzy na rozwałkę i próbowałem cichcem przemknąć do tych pierwszych. Nie udało się. Już myślałem, że po mnie. A tu nas wypuścili, co zaś z tamtymi się stało — jeden Pan Bóg wie”.

W Gibach zajęto na taki przejściowy obóz stodołę i kurnik nieżyjącego od kilku lat piekarza Szarejki. Budynki otoczył podwójny pierścień żołnierzy, tak że nikomu nie udało się uciec. Piekarz też siedział w stodole, ale go puścili. Kilkuletni synek donosił mu jedzenie, reszcie domowników zakazano opuszczać chałupę. Jakaś kobieta przyniosła dla męża krzyżyk i buty. Żołnierz wziął krzyżyk, a o butach mówi: „nie będą potrzebne”. W piekarni urzędowało NKWD. Jak już puścili tych, co mieli puścić, ci co zostali wychodzili przed stodołę — ludzie widzieli to z daleka — i przy stoliku każdy coś podpisywał. Co to było: protokół zeznań? Wyrok śmierci? Zgoda na deportację? Nikt nie wie, bo z tych, co podpisali żaden nie ocalał.

Takich miejsc koncentracji było kilka — w Gibach właśnie, w Netcie koło Augustowa. Tam po raz ostatni widziano zatrzymanych. Wywożono ich ciężarówkami. Nie dowiedziono do żadnej linii kolejowej (w okolicy są tylko dwie), to pewne, bo krewni i bliscy od razu pytali kolejarzy. Próbowali też iść za śladami kół, ale zgubili trop. Kiedy potem wydreptywali ścieżki do polskich władz, te mówią, że trzeba pytać u Sowietów. Tylko że

Sowieci zaraz potem zabrali się z Suwalszczyzny i nie było kogo pytać. Jeden energiczny oficer, który w październiku wrócił spod Berlina, dopytując się o kogoś z rodziny dotarł do szefa UB w Suwałkach i ten mu powiedział: „wszystkich zabrała kontrrazwiedka 50-tej armii pod dowództwem Polikarpowa”. Inny doraził się do prokuratury w Białymstoku, gdzie tłumaczono mu, żeby nie szukał krewnych, bo raczej są w ziemi niż w Rosji. Po 1956 roku zaczęli pisać do Czerwonego Krzyża, do Warszawy, do Moskwy, do Szwajcarii. Zawszą nadchodziła ta sama odpowiedź: nic nie wiemy. Niektórzy potracili nadzieję i tylko chcieliby znaleźć groby, inni wciąż wierzą, że bliscy żyją gdzieś na Syberii. Wszyscy chcieliby wiedzieć.

Komitet Poszukiwania Zaginionej Ludności Suwalszczyzny zbiera relacje od miejscowej ludności. Zgłaszają się też ludzie z Polski, którzy w czasie obławy stracili rodziny. Władze w zasadzie nie reagują — kogoś tam przesłuchano, ostatnio członkowie Komitetu dostali wezwania w trybie administracyjnym w sprawie „niezarejestrowanego związku”. Może w dobie gorbaczowowskiej głośności, w czasie, kiedy przebąkuje się, że wreszcie czas odsłonić prawdę o Katyniu byłoby niewygodne prześladować Komitet. Faktem jest, że jak dotąd działa on bez przeszkód. Tyle że lokalna prasa wypisuje bzdury. A to że pod Gibami leżą ranni z niemieckiego lazaretu, a to że WIN-owcy, a to że rozstrzelani przez Niemców Polacy. To wszystko nie trzyma się kupy. W okolicy nie było żadnych polsko-niemieckich potyczek. Nie było też powodów, żeby transportować rannych w środek lasu. Zresztą Niemcy nigdy się w tamte strony nie zapuszczali, tam rzadzili partyzanci. Do 1945 roku — mówią miejscowi — jak się szło tą drogą, to środkiem, nie zbaczając w las. Takie były wojenne obyczaje. Czyż zresztą Niemcy mieliby jakikolwiek powód, żeby maskować groby? Swoje, a choćby i polskie?

Na polanę prowadzą drogowskazy, składa się tam kwiaty i pali znicze. Ludzie mówią, że drugi grób jest w pobliżu Netty.

Feliks JANKOWSKI

Od Redakcji: Tygodnik Powszechny nr 39 z 27 września 1987 roku donosi w rubryce „Obraz tygodnia”: „Urząd Wojewódzki w Suwałkach rozwiązał i zabronił dalszej działalności Obywatelskiemu Komitetowi Poszukiwania Mieszkańców Suwalszczyzny zaginionych w lipcu 1945 roku”.

ności. Co osiągnął? Co był w stanie przekazać studentowi? Może należało inaczej podejść do zagadnień? Co właściwie było najistotniejsze?

W okresie wykładania języka polskiego sprawa uczenia wydawała się dużo prostsza. Na początku każdego semestru wyciągałam szufladę z napisem *INTRODUCTORY POLISH*, *INTERMEDIATE* czy w końcu *ADVANCED*, w zależności od poziomu kursu. Trochę zamieszania w rutynę wykładów wniosła nagroda Nobla dla Czesława Miłosza. Trzeba było się go „naumieć”, że tak powiem, i to dokładnie, aby być w stanie go przekazać. Tego rodzaju „naumienie” należy zresztą do zawodowych przyjemności.

Uczenie języka nie było trudne. Czas, a raczej brak czasu, stanowił może największą przeszkodę. Bywały naturalnie momenty wątpliwości we własne siły czy w efektywność uczenia.

Na socjologii jest inaczej. Ten wykład odziedziczyłam po odchodzącej profesor, Polce. Pamiętam, co mi powiedziała: „... chcę, żebyś wzięła ten kurs, bo to Europa wschodnia i tym samym Polska”. Pamiętam też, jak Alicja walczyła o ten kurs. Nieobsadzony, zostaje automatycznie zdjęty z listy wykładów. Trochę się wahałam. Odziedziczyć kurs po Alicji! Kurs dla najstarszego rocznika i magistrantów. Ale Polska... obie bałyśmy się, że dadzą ten kurs komuś spoza tej tzw. Europy wschodniej.

Uczę więc już drugi rok. We wtorki i czwartki wieczorem. Bardzo byłam zdenerwowana na pierwszym wykładzie. Co chwila zmieniałam okulary. Przekładałam papierki z teczki na biurko, z biurka do teczki. Męka. Zaczęłam od części administracyjnej, to jest od listy obecności, a potem poprosiłam o indywidualne podanie mi danych, nazwiska, roku studiów, specjalizacji, telefonu, żeby można ich zawiadomić w razie odwołania wykładu. No i to wszystko. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że jakieś straszliwe *lacunae* powstają w moim umyśle. A tak wszystko miałam wspaniale opracowane. Oni na pewno to widzą.

— Kto jest pochodzenia słowiańskiego?

To był dobry manewr. Najpierw cisza. Po chwili jeden z dwudziestu pięciu studentów odezwał się:

— Nie jestem Słowianinem, jestem Żydem, ale mój dziadek...

Myszę, że prawie połowa studentów to Żydzi. Ich identyfikowanie się z Europą wschodnią jest oparte tylko na wspomnieniach rodzinnych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Geografia nie odgrywa większej roli. Dziadek, który urodził się w Płocku, wedle studenta-wnuka urodził się w Rosji, bo tak się o Płocku mówi w jego kręgu rodzinnym. Dla Jerry zaś Nowo-

## Sprawy i troski

### Eastern Europe

Semestr dobiega końca. Jeszcze parę tygodni. Studenci zmęczeni. Byle tylko przebrnąć przez egzaminy. Zdać, to najważniejsze. No i napisać te *papers*. Cały system egzaminów w Ameryce polega na pisaniu. Krótkie egzaminy w ciągu roku, przeważnie w połowie semestru i długie, końcowe egzaminy. Do tego dochodzą wspomniane *papers*, nazwijmy je raportami, poprzedzone badaniami a zawierające skrupulatną bibliografię źródeł, przypisy i odnośniki. Egzaminy ustne, poza obroną tezy, prawie nie istnieją.

Biblioteki są otwarte do drugiej nad ranem. Cały teren uniwersytetu żyje. Stołówki czynne są do późnych godzin, a przedsiębiorczy studenci uruchamiają dziesiątki budek czy innych stoisk z parówkami, lodami albo napojami. Różnica między amerykańską a polską polega na tym, że amerykańska jest zmęczona młodzieżą a polską młodzieżą. Cóż? Nieprzyczynajona do wysiłku, do żadnych trudności, do żadnych narzuconych ograniczeń. Wydaje mi się, że należy winić tutejszy system wychowawczy, w którym kładzie się nacisk na własną wygodę i tylko na Amerykę (łącznie z Kanadą) i na Europę Zachodnią. Rosja imponuje jako „mocarstwo”, a reszta świata jest gdzieś... ale to „gdzieś” jest straszliwie niepewne i dalekie. Jeszcze może Japonia ze swoją agresją zdobywania rynków świata. Chiny, jako mało dostępny obecnie kraj, są obiektem zaintrygowania, podziwu, czy może zwykłej ciekawości. Pozostałe kraje i kontynenty tak mało znaczą na arenie finansowej, że nie trzeba się nimi interesować. Może dla antropologów lub socjologów mogą one stanowić ewentualne źródło badań, ale dla przeciętnego Amerykanina? Dla przeciętnego studenta?

Pod koniec każdego semestru, bardziej niż kiedykolwiek, wykładowca zastanawia się i podsumowuje całokształt swojej działal-

gródek (Nowa Gródka w jego wymowie) nadal leży w granicach Polski.

Lody zostały przełamane. Zmienia się nastrój. Zmienia się nawet język. Wpadają w ucho słowa takie jak chała, tokaj czy Stradom, który w przekonaniu studentki jest częścią Wiednia, ale nigdy nie Krakowa.

Zawsze frapują mnie powody, dla których studenci decydują się na wzięcie kursu o Europie wschodniej. Nie jest on wykładem zleconym, chyba że student specjalizuje się w tej dziedzinie, a takich jest bardzo niewiele. Na podstawie obserwacji grupuję słuchaczy w następujące kategorie: ci, którzy „muszą” zaliczyć te wykłady, bo wymaga tego ich program ekonomii, historii, czy właśnie socjologii; ci, którymi powoduje ciekawość lub sentiment rodzinny oraz ci, którym odpowiada godzina lub dzień wykładu. Studenci specjalizujący się w języku rosyjskim czy tzw. „studiach sowietologicznych” nie interesują się z reguły niczym poza Związkiem Sowieckim, zakładając, że Europa wschodnia jest częścią Rosji, więc studiując zagadnienia dotyczące ZSSR zdobywa się dostateczną wiedzę o Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji itd.

Na początku nigdy nie wiem, jak będą przyjmowali to, co powiem. Do jakich wniosków będą sami dochodzili. Co napiszą. Trudność uczenia nie polega na ujęciu zagadnień społeczno-naukowych a na tym, żeby ustalić pewien rodzaj więzi między wykładowcą i studentami, a używając metaforycznego zwrotu, „aby wyprostować ścieżki”. Studenci przeważnie posługują się w odniesieniu do profesora stereotypami etnicznymi. „Przecież ona pochodzi z Polski i tym samym jest *Polac*”, co jest określeniem wielce pejoratywnym. Udaje się czasami ujemną opinię zanulować — w pojęciu amerykańskim — posiadaniem wysokiego konta bankowego czy nieruchomości (*conditio sine qua non*: kominiek, ogrzewany garaż na minimum dwa samochody oraz basen, ale wybudowany, nie typu „balia”). Zostałam zaakceptowana przez słuchaczy nie na zasadzie stopnia naukowego, a raczej na zasadzie ukończenia ekskluzywnego *college*'u.

Tak jak od lat, na wszystkich wykładach w Ameryce powiedziałam, że jedno z najpiękniejszych słów w moim języku to... napisałam na tablicy drukowanymi literami POLAK. Klasa ryknęła śmiechem. Z zupełnie nic nie znaczącą miną przeczekałam ten spontaniczny wybuch i dopiero wtedy dodałam: „my Polacy nigdy nie obrażamy się, gdy ktoś nas tak nazywa — mówiłam nie zmieniając wyrazu twarzy — tylko czujemy się niezmiernie zaambarasowani ignorancją takiej osoby, która nie zna prawdziwego znaczenia słowa, a używa go w ujemnym sensie”. Bardzo długo żaden ze studentów nie odezwał się. Wykład potoczył się dalej i byłabym już całkowicie zapomniała o tym, gdyby po

skończonym wykładzie Margie nie przyszła do mnie i nie powiedziała: *I'm sorry*.

Mimo prowadzenia tego samego kursu rok po roku, każdy semestr jest inny i przynosi inne przeżycia, inne naświetlenia, inne problemy. Ilość słuchaczy zależy od wypadków zachodzących na arenie polityczno-społecznej. Wybór polskiego papieża spowodował wzrost liczby studentów na wykładach języka polskiego z czterestu do trzydziestu dwóch, a na seminarium o ekonomii Europy wschodniej z siedmiu do szesnastu. „Solidarność” zdecydowanie przyczyniła się do frekwencji studentów na wydziałach, gdzie omawiane były kraje komunistyczne. W środowisku akademickim takie zjawisko jest całkiem zrozumiałe. Docieklivość wymaga zaspokojenia. Nawarstwiają się pytania. Student szuka odpowiedzi nie tylko w prasie czy w innych środkach masowego przekazu, nie tylko w naukowych monografiach, ale chce s a m usłyszeć interpretacje ludzi „stamtąd”. Studenci nie są bezkrytyczni czy gotowi do zrezygnowania z własnych opinii. Przychodzą, aby przedyskutować, a często argumentować lub bronić stanowiska, które wedle nich jest słuszne. Zwłaszcza ci pochodzenia słowiańskiego mają „ugruntowane” acz indywidualne poglądy, zaczerpnięte z własnego, etnicznego środowiska. Ukraińcy, Żydzi, Serbowie i Krowi, Rumuni i Węgrzy z Transylwanii „coś tam wiedzą” o stosunkach między grupami narodowościowymi, ale brak podstawowych chociażby danych historycznych hamuje ich wypowiedzi w dyskusjach. Odzwierciedla się to w dążeniu do zgłębienia problemu i dlatego decydują się na opracowanie tematów, które ich dotyczą, wiedząc, że właśnie taki *paper* da im możliwość wglądu w źródła i opinie. Na uwagę zasługuje fakt, że owa intelektualna docieklivość, w większości przypadków pozbawiona jest silnych animozji, bo studenci tutaj urodzeni, a zwłaszcza trzecie czy dalsze pokolenie, rekrutują się ze środowisk narodowościowych stanowiących za ledwie jakiś procent wielkiej amerykańskiej nacji; nie pochodzą bezpośrednio z kraju wchodzącego w dany region studiów. Ci studenci są mniej zaangażowani w działalność związaną ze swoimi grupami etnicznymi niż starsze od nich pokolenia. Dążność do całkowitego zasymilowania się z ogółem amerykańskim przejawia się silnie już w pierwszym pokoleniu, tak że trudno winić następne za odsuwanie się od własnej grupy. To proces automatyczny w tak silnie zróżnicowanym kraju; jest on tylko sztucznie hamowany przez pierwsze pokolenie imigrantów.

Najczęściej wiąże ludzi ze środowiskiem etnicznym język. Kulturowanie języka wśród pokoleń tu urodzonych (i urodzonych za granicą) jest osiągnięciem wymagającym niezmiernego wysiłku

ze strony rodziców i stosunkowo rzadko przejawianej chęci ze strony dzieci. Zwłaszcza wśród środowisk nieinteligentnych, słowiańskich czy niesłowiańskich, daje się zauważyć dążność do wymazania wszystkiego co było. Liczy się tylko „jest”. Używanie języka ojczystego w obcym kraju powoduje wyobcowanie dzieci z otaczającego środowiska, w którym przyszły na świat. Wiemy, że dzieci chcą być takie same, a nie językowo różne. Chęć poznania języka rodziców, zwłaszcza języka gramatycznie poprawnego, przychodzi dużo później i z reguły wśród inteligencji. Poznawanie języka wiąże się, *eo ipso*, ze zgłębianiem kultury danego kraju.

Wiedząc, że studenci są kandydatami do dyplomów uniwersyteckich, nie przywiązywałam wagi do podstawowych wiadomości. Zakładałam, że geografia oraz jakiś zarys historii został im już przekazany. Myliłam się. Należało to dopiero zrobić. Chociażby sama rozbieżność alfabetów w strefie słowiańskiej musi być naświetlona dokładnie, ponieważ wiąże się z orientacją kulturową poszczególnych krajów. Niewytłumaczenie przyczynia się do powstawania mylnych pojęć.

Zaczęłam wykład. Wyjaśniłam termin „Europa wschodnia” w perspektywie historyczno-politycznej, dodając: „... kraje tzw. Europy wschodniej obejmują, w alfabetycznym porządku, Albanie, Bułgarię... Są to kraje, które pozostają w układzie, nazwijmy to 'poziomym' w stosunku do siebie, a w układzie 'pionowym' do Rosji Sowieckiej, o której nie dyskutujemy jako o kraju, będziemy natomiast rozważać stopień uzależnienia poszczególnych krajów od Rosji”.

Naturalnie to co mówiłam było *tabula rasa* dla większości studentów. Niemniej jednak każdy wykład przynosił niespodziewane wypowiedzi, a co za tym idzie, i niespodziewane reakcje. W sposób nieunikniony nawiązują się jakieś nici aprobaty czy dezaprobaty, porozumienia czy niezgody poglądów, przekonań, wierzeń. Wykładowca nie pozostaje na uboczu. Rozwój omawianych wypadków powoduje, że pewne sprawy nurtują, dają znać o sobie, wymagają udziału nie tylko umysłu, ale i serca.

Ci słuchacze to nie grupa studiująca jeszcze jeden aspekt martwego języka. To indywidualni ludzie, których motywacje są często osobiste i związane z przeżywaniem aktualnych wydarzeń. To też musi być brane pod uwagę. A język? Brak znajomości terminologii tych krajów czy choćby paralelnych nazw geograficznych przyczynia się również do nieporozumień.

Sprawę Elliota można było załatwić szybko, w kilku zdaniach lub odesłać go do jakiegokolwiek źródła referencji, do jakiejkol-

wiek encyklopedii. Ja sama jednakowoż chciałam wyjaśnić i położyć i wypadki. Opisuję to tak, jak zachował się student, z całym balastem uczuć i przeżyć.

Elliot czekał długo, aż wszyscy studenci wyjdą. Odnosiłam wrażenie, że to on mi robi przysługę, przychodząc na ten wykład socjologii. Zaczął dość niezdarne:

— ... bo... no, bo ja to chciałem coś wiedzieć o takim... jednym kraju, ale go nie mogę znaleźć w *Eastern Europe*... może mama źle wymawia... szukałem na mapie, ale nie ma „lyffa” nigdzie...

Wyglądał na zrezygnowanego, może zatroskanego. Myślał pewno „... nawet takiego kraju nie ma. To pewno nie kraj... matka jakieś bajki opowiada... wszystko musiało się jej pomylić... ledwie chodziła, gdy wywieźli... długo mieszkała w 'zonie'... po latach wyszła za Amerykanina...”

— Mój ojciec jest z Arizony — dodał z dumą.

Czas jakiś jeszcze mówił. Słuchałam nie dając żadnych wskazówek, żadnych wyjaśnień. Nie odesłałam go do Encyklopaedia Britannica.

Był to dla mnie nadal okres początkowy, okres sondowania wiedzy studentów. W następny wtorek sypał gęsty śnieg. Elliot siedział pochylony nad pulpitem, często obracał głowę i patrzył ku gałęziom uginającymi się pod śniegiem. Nie zwracał uwagi na wykładowcę, który nie umiał mu opowiedzieć o kraju jego matki. Mówiłam właśnie o krajach bałtyckich. Studenta śnieg bardziej frapował. W południowej Arizonie śnieg jest rzadkością. Zanim Elliot pobiegł do domu i znalazł aparat, żeby sfotografować ten fenomen, śnieg zawsze topniał. „... A tutaj w Albany tyle czasu wszystko leży pod tą białością — myślał — ... co za Albania, o czym ona mówi, to pewno nazwa wzięta od Albany, siedziby naszego uniwersytetu w stanie Nowy Jork... co ja właściwie robię na tym wykładzie... nie mam z tym nic wspólnego... ogłosili tę *Eastern Europe*, no to się zapisałem... socjologia... moja specjalnością jest historia, którą można studiować i znać i być jej ekspertem bez znajomości Europy wschodniej... komu ta *Eastern Europe* potrzebna... mnie na pewno nie... ja się urodziłem w Arizonie... I tak będę się doktoryzował z dziewiętnastego wieku, kiedy tej Europy wschodniej jeszcze nie było... a matka i jej pochodzenie... ona tu już tyle lat żyje...”. Widocznie nurtowała go myśl o pochodzeniu, co — *nota bene* — jest sprawą wielce charakterystyczną w tym kraju, bo w jakimś momencie było się przybyszem; jeśli nie samemu, to ktoś z poprzednich generacji osiedlił się tutaj, zostawiając gdzieś w świecie swój dom i swoich bliskich.

Patrzyłam na niego uważnie, kontynuując wykład: „... są jednak na świecie cztery kraje, którym nie jest dane nazywać się

nawet Europą Wschodnią: Ukraina oraz trzy kraje zwane *the Baltic States: Estonia, Latvia and Lithuania*, a które w moim języku brzmią: Estonia, Łotwa i Litwa, akcentowałam każdą literę. Usłyszałam tylko: *That's it; That's it!* Cała klasa zwróciła się w kierunku Litwina. Trwał tak chwilę wyprostowany, o wyrazie oczu tak intensywnym, że wydawało mi się, iż byłam z nim sama w tej wielkiej sali. Potem znowu pochylił się nad pulpitem, nie patrząc już w okno. Śnieg przestał go interesować.

Na jego semestralnej pracy, tygodnie później, widniał dużymi literami tytuł „Litwa”.

Przekonanie studentów o wyższości kultury anglosaskiej nad słowiańską daje się często zauważyć w ich reakcji na użycie pewnych terminów. W związku z omawianiem krajów bałtyckich nadmieniłam, że kraje te są dzisiaj częścią składową ZSSR, są republikami, „... a przecież przez tyle wieków Polska i Litwa stanowiły to, co po angielsku nazywamy *Commonwealth*. Reakcja była natychmiastowa. Jedna ze studentek, specjalizująca się w ruchach wolnościowych Indii, zauważyła: „Nie można tego słowa używać w odniesieniu do innych krajów z wyjątkiem Wielkiej Brytanii”. I znowu należało wyjaśniać.

W wyborze tematów dałam studentom wolną rękę. Mogą pisać na każdy temat pod warunkiem, że uwydatnią aspekty socjologiczne w odniesieniu do krajów Europy wschodniej. Kilku studentów skupiło się wokół jakiejś sylwetki, by przez pryzmat danego człowieka naszkicować obraz zmian społecznych, osiągnięć i upadku jednostki, roli instytucji, itd. Najlepiej opracowano Czechosłowację, a ściślej epokę Edwarda Benesa, Węgry i epokę bohaterskiego pułkownika Pal Maletera, Polskę odwołując się do osoby Karola Wojtyły. Zrywy zbrojne, bezkompromisowa postawa i dysydenci to było *gros* tematów. Myślałam, że będą skupiać się na teorii, że będą używali utartej terminologii socjologicznej. Nie! Podążali za własną fascynacją społeczeństwem, które sobie obrali. Starali się naginać wypadki do teorii lub aplikować pewne pojęcia do wydarzeń. Dyskusje i referaty wiązały się definitywnie z „dzisiaj”, a nie z „wczoraj”, mimo że łatwiej jest pisać o tym, co było ze względu na dostępność źródeł i szerszej analizy okresu. Teraźniejszość trzeba analizować samemu, chociażby dlatego, że bieżącego materiału jest zawsze mniej.

Po okresie indyferencji w stosunku do samej dyscypliny i do wykładów przychodzi okres — powiedziałaabym — rozgrzewki intelektualnej, okres jakiegoś budzenia się ciekawości w stosunku do tych „mało ważnych” krajów (to nie Niemcy, Francja czy Rosja) i do ich mieszkańców. Studenci interesują się prasą i wylapują

odnośne wiadomości. Zadają pytania. Klasa uaktywnia się. Wybijają się ci, którzy coś wiedzą. Zauważyłam też, że interesują się wszystkim, ale ich zainteresowania dotyczą bardzo niedawnej przeszłości. Czytają o Powstaniu Warszawskim, interesują się powstaniem w getcie, słyszeli o Budapeszcie, ale to już jest dla nich historia. To, czym my żyliśmy i żyjemy, do czego powracamy myślami nieprzerwanie, dla tych młodych jest tylko zbiorem faktów pod taką a taką datą. Teraźniejszość! To co inni. Tę zauważają. Ba! Emocjonują się niektórymi wydarzeniami. Często nie są w stanie usytuować miejsca na kuli ziemskiej, ale interesuje ich meritum zagadnienia, więc śledzą je niczym serial telewizyjny. Ale wypadki sprzed czterdziestu czy trzydziestu lat należą już do poprzedniego pokolenia. Dlatego rola wykładowca jest taka istotna. Potrzebne są wszelkie dodatki do suchych faktów historycznych. Zdarzenia przeżyte samemu, nieopisane i niepowtarzalne, mają wagę. Studenci są wspaniali. Ich reakcje czy też odwzajemnianie wysiłku włożonego przez profesora w relacje wypadków są wielką gratyfikacją dla wykładowca. Unikam dyskusji z pozycji autorytetu, jeśli tylko mogę. Zawsze wolę zbijanie argumentów logiką i faktami, a szczególnie faktami, w których sama brałam udział.

Bardzo dużo pracy kosztuje przygotowanie się do wykładów. Studentów nie mogę nazwać ekspertami od Europy, a cóż dopiero od Europy wschodniej. Najpierw przerabialiśmy Albanię w jakimś mini-skrócie od Ilirii do Mussoliniego, ale już dokładniej od 1944 roku. Studenci słuchają na ogół uważnie. Znajdują na ogół dobrze udokumentowany materiał, wyjaśniający zmiany w polityce, a co za tym idzie i zmiany w strukturze społecznej. Potem omawiałam Bułgarię, Czechy itd. Egzamin w połowie semestru wypadł niespodziewanie dobrze. Odpowiedzi świadczyły o tym, że studenci pracowali solidnie; niektórzy poświęcili zbyt dużo czasu szczegółom, których nigdy nie będą pamiętali; opisywali plemiona Gegów i Tosków czy miejscowe tradycje i wierzenia. Dali również świetny porównawczo-historyczny rys formowania się klas, a w szczególności klasy średniej we wszystkich omawianych krajach.

Dochodzenie do własnych konkluzji jest celem mojego uczenia. W tym przypadku głównym i najistotniejszym zagadnieniem były powody, dla których w krajach Europy wschodniej od 1945 roku powtarzają się rewolucje, strajki czy powstania. Student sam musi dać odpowiedź, czy to jest walka przeciw ideologii czy walka o wolność; wolny wybór czy narzucony rząd... itp. Brak podstawowych wiadomości daje ciągle tak długo, jak dotyczy safari czy dzungli podzwrotnikowej, ale uczenie się położenia geograficznego uważają za zwyczajny anachronizm. „Sprawa z Albanią — pisał



Jeff na egzaminie — nie jest taka prosta. Mamy tutaj niezadowolone (dosłownie): zerwanie stosunków z Jugosławią, zerwanie z Moskwą, a po wizycie prezydenta Nixona zerwanie stosunków z Chinami... naturalnie, że Albania była w tej wyjątkowej sytuacji, iż mogła sobie pozwolić na bliskie polityczne i ekonomiczne stosunki z Chinami w jakimś tam okresie, bo Albania i Chiny łączyła wspólna granica...". I tutaj opadły mi ręce. Po wykładach z minionych tygodni przypuszczałam, że Jeff miał na myśli wspólną ideologię, a nie terytoria położone tak daleko od siebie.

Utkwiła mi w pamięci reakcja jednego ze studentów na omawiane zmiany społeczne, bo przecież ucząc socjologii należy wszystkim nadać terminy socjologiczne. Nie mówię już o ciągłym nawiązywaniu do teorii. Zawsze aktualnym Max Weberem czy Durkheimem można się „podpierać” na wykładach, ale zmiany w krajach bloku wschodniego wymagają dużo więcej wysiłku w dociekanii i tłumaczeniu przyczyn. Ów Otis, którego egzamin wypadł najslabiej i który nigdy nie zadał pytania ani nie wniósł niczego do dyskusji (poza tym, że jego ojciec, farmer-mleczarz pochodzenia irlandzkiego, kupił konia, i to jakiego! — z Polski) bardzo niespodziewanie dla mnie zareagował, gdy użyłam określenia „ruchy społeczne” w odniesieniu do Budapesztu i Pragi — Co za społeczne?! To nie są żadne ruchy społeczne! To jest walka o wolność! W każdym razie ja tak to widzę.

Zachnął się i przekreślił daszek baseballowej czapki do tyłu, po czym dodał bardzo głośno i bardzo dobitnie: — I koniec!

Przeciętny wiek słuchacza to dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Są też starsi studenci, przeważnie nauczyciele gimnazjalni, którzy starają się zdobyć kwalifikacje na uczenie przedmiotów, do których ten właśnie wykład jest im potrzebny. Studenci przychodzą, niektórzy spóźniają się, pozostają na wykładach lub wychodzą wcześniej. Większość przychodzi regularnie, bo — cytuję Alicję — egzamin musi być oparty na twoich wykładach.

Są też nietypowi studenci. Pan z ukończonym *college*, którego firma poleciła wzięcie kursu zanim pojedzie do Czechosłowacji w celu nawiązania stosunków handlowych. Równolegle studiuje ekonomię porównawczą. Takiemu studentowi trzeba poświęcić więcej czasu i skonstruować prawie że indywidualny program. To jest akademicko „poważny” student; wie do czego dąży, na końcowym stopniu mu nie zależy, natomiast skupia się

całkowicie na wiedzy, na zdobyciu jak najwięcej teoretycznych i praktycznych informacji.

Są i „dziwni” studenci. Starsza pani. Wolny słuchacz. Opłata za studia tak samo wysoka jak dla zwyczajnych studentów. Nie byłam bardzo zadowolona, z góry założywszy, że taka studentka nic do kursu nie wniesie i to nie ze względu na wiek, ale na przerwę w uczęszczaniu na jakąkolwiek uczelnię. Była co prawda kiedyś studentką w dwuletnim *college'u*, tzw. *junior college*, ale chyba tylko rok. Zgodziłam się ją przyjąć, postawiwszy warunek, że weźmie wszystkie obowiązujące egzaminy — mimo statusu wolnego słuchacza — i napisze długi *paper*. Rzeczywiście podchodziła do studiów bardzo poważnie, a egzamin napisała do brze. Kiedyś zapytałam, dlaczego interesuje ją Europa wschodnia. Po dosyć przewlekłej rozmowie wyłoniła się typowa amerykańska historia

Wyszła za mąż za młodego kuchcika, który sam nie był pewien, czy jest Hiszpanem, czy Portugalczykiem. Jako chłopiec przyplął z rodziną do Nowego Orleanu z Hiszpanii, ale nie mówili po hiszpańsku; rodzina nigdy się nim nie interesowała. Mieszkali w górach. Przygarnęły go jakieś zakonnice i posłały do szkoły zawodowej. Został kucharzem. Ożenił się. Żonę poznał, gdy przyjechała z wycieczką studencką do Nowego Jorku. Żona wychowywała pięcioro dzieci, podczas gdy on pracował. Zawsze dość dobrze zarabiał, więc mogli dzieci posłać do szkoły. Ona była z Minnesoty, ale nie wiedziała kto tam się osiedlił, czy pradiad czy jego ojciec. Obydwoje nie zastanawiali się, skąd pochodzą, jakie jest lub było ich środowisko.

Szybko opowiedziała rodzinny życiorys, ale odpowiedzi nadal mi nie dała. Powtórzyłam więc pytanie. Zawahała się. Może bała się wydać śmieszna. Może bała się mojej reakcji. Chyba z niechęcią powiedziała: „Nie wiem właściwie, skąd ta moja rodzina. Zawsze tam byli, a nie są Indianami. Tak bym chciała gdzieś się 'przyczepić', więc biorę różne kursy, pewno kiedyś dojdę do tego”. Nie sugerowałam nawet żadnego kraju, bo z doświadczenia wiem, że sedno sprawy jest inne. Ta osoba, nie mająca już małych dzieci w domu ani większych obowiązków, stara się zapełnić sobie czas. Kobiety, zwłaszcza te, które uczęszczały na studia, nawet bardzo krótko, a nie pracowały, bo obowiązki rodzinne wypełniły całkowicie albo odkrywają w sobie uśpiony głód wiedzy. Dobre to wszystko, ale rzadko doprowadza, w tym wieku, do osiągnięcia stopnia naukowego czy wymarzonej kariery. Czego się jednak nauczą, to zawsze pozostanie. Dodać też należy, że atmosfera uczelni bardzo wciąga. Obowiązki związane z wykładami stawiają słuchacza ponownie w środowisku, w którym za-

sadniczo wiek nie gra roli, tak jakby nie istniał. Przeciwnie, uintensywnia się bowiem wysiłek umysłu, co jest spowodowane współzawodnictwem z młodymi mózгами.

Przyszła do mnie wczoraj i oznajmiła zdecydowanie, że pochodzi z Estonii, bo jedynym zawodem wykonywanym w rodzinie jest zawód drwala. Poza tym bardzo ważnym wskaźnikiem przynależności etnicznej jest fakt — według niej „naturalny” — że kocha jeziora, a w Estonii jest ich dużo.

W Finlandii jest dużo więcej — pomyślałam. Przypuszczam, że tu właśnie kończy się kariera naukowa owej słuchaczki.

Student z wojny w Wietnamie. Podczas gdy studenci wręczali mi tematy prac — od walczących Madziarów poprzez Praską Wiosnę, inteligencję w Rumunii, zmiany społeczne w Albanii po jej zerwaniu z blokiem komunistycznym i Paktem Warszawskim, czy w końcu o Żydach w Polsce (temat z małą adnotacją: polski król Casimir wybrał najpiękniejszą z hebrajskich kobiet, ożenił się i miał z nią wiele dzieci) — zauważyłam, że brakowało jego tematu.

Wykłady o narodzie wymagają udziału wykładowcy. Naród trzeba znać i trzeba mieć jakieś zdecydowane stanowisko wobec danego kraju czy ludzi. To jest nieuniknione. Wykładowca stara się być bezosobowy w sądzie, bezstronny w przedstawianiu sytuacji, ale jego uczucia zawsze gdzieś się objawia, w jakimś słowie, geście czy niekontrolowanym wyrazie twarzy. Tak właśnie było z tym z Wietnamu. Przypadkowo spotkałam go na spacerze. Nigdy nie miałam w klasie kombatanta z ostatniej wojny. Trudno mi jest nawet opisać to spotkanie. Zaskakiwał mnie każdym wypowiedzianym słowem.

— To jest mój syn. Urodził się już po moim powrocie z Wietnamu. Powiem inaczej, po moim niesławnym powrocie z Wietnamu. No i co? Ten wysiłek, tyle śmierci i łez. Ludzie się niczego nie nauczyli. Niczego. Ja wiem, co tam się działo, widziałam to. Ja to znam. Ja dopiero tam się przekonałam, jak można zakłamywać historię.

Patrzył poza mnie, głaszcząc od czasu do czasu głowę syna. Widziałam teraz, że był dużo starszy od studentów. Zawsze siedział odosobniony. Palił dużo. Nigdy nie opuszczał wykładu. Rzadko się odzywał. Jego milczenie i brak udziału w dyskusjach trochę mnie wprawiały w niepewność. Nie wiedziałam, co myślał. Wiedziałam tylko, że był z Wietnamu. Może potępił Wietnam, a może myślał, że ja byłam wrogo nastawiona do wojny w Wietnamie. Nie umiałam znaleźć na to odpowiedzi aż do tego spotkania.

— Czasem myślę, że jestem jednym z niewielu cudzoziemców, którzy rozumieją i znają rolę Jałty. Musiałem przerwać studia, nauki polityczne. Akurat czytałem pamiętnik Churchilla, gdy mnie powołano — mówił bardzo szybko i bardzo „wojskowymi”, krótkimi zdaniem. Potem tam, gdzie padały te upalne deszcze, to sobie tak często myślałem i starałem się wczuć w mentalność tych, którzy przede mną przeszli przez wojnę. I przypomniła mi się Jałta z Churchilla. I zacząłem myśleć o Polakach. Tam, skąd pochodzę, nie ma wielu Polaków. Jeden służył na Pacyfiku w drugiej wojnie. Nie wiem dlaczego mi ta Jałta tak utkwiała w pamięci. Ja to dopiero tam zrozumiałem. Czy mogę pisać o Jałcie, ale tak, jak ja to widzę, tak z mojego wietnamskiego doświadczenia? Człowiek nawet nie przyznaje się do udziału w Wietnamie; po co sobie robić wrogów, i tak na nas patrzają jak na zbrodniarzy. No co? Mogę pisać?

A potem jeszcze najbardziej niespodziewanie powiedział oddalając się: — Nas też skrzywdzono.

Często przychodzi mi do rozmowy. Był dzisiaj. Opowiada o Wietnamie, a potem przedstawia mi swój sąd o *Eastern Europe* i ma zwyczaj pytać: No co? Dobrze myślę?

O Polsce mówiłam jakby fragmentarycznie w ciągu semestru, pozostawiając szczegóły do uwydatnienia. Natomiast zalecałam dużo tekstów do przeczytania, od czasu do czasu wyjaśniając sytuację. Naturalnie, że wybór papieża czy rola wiary zajęły poczesne miejsce w dyskusji. Dużo czasu poświęciłam zagadnieniom związanym z podłożem ekonomicznym i społecznym związków zawodowych i nakreśleniu specyficznej struktury grup społecznych: robotników, rolników i inteligencji z szerokim omówieniem młodzieży akademickiej. Wszystko to zostało solidnie opracowane. Omawialiśmy Berlin Wschodni, Poznań, Budapeszt dzień po dniu, wypadek po wypadku. Ale o stoczni jeszcze nie mówiliśmy. Odwlekałam to do końcowej fazy wykładów. Ostatnie tygodnie dla wykładowcy to jakby uruchomienie rezerw energii i materiału. A dla studenta? To przymusowa obecność na wykładach — „no bo może profesor zauważy moją nieobecność i obniży mi stopień...”, cały czas przychodziłem, to już dochodzę do końca”. Tak chyba było i na moich wykładach.

Zacząłem, jak w każdy wtorek i w każdy czwartek. Otis czytał coś pod pulpitem. Cara rozmawiała szeptem z Babs. John poprawiał *paper*. Steve żuł gumę. Diana, utkwivszy wzrok w fontannie, nie odrywała go stamtąd. Poprosiłam Elliota, aby przeczytał dwie strony relacji świadka. Zdziwiony, wziął jednak książkę, potrzymał ją, a potem już spojrzął na mnie bez wrażenia

i czytał: „Robotnicy przyszli do stoczni”. Głos jego był spokojny, głośny. Ale słowa padały coraz wolniej. Czytał tak, jakby cieszył się każdym wyrazem. Otis przestał czytać pod pulpitem. Cara już nie rozmawiała z Babs. Skończył. Cisza. Jeszcze chwila. Jeszcze moment... aż tu zerwały się oklaski przeznaczone dla stoczniovców.

Tak reagowali ci dorośli ludzie — najstarszy rocznik i magistranci. Potem dyskusja. Zmiany. Osiągnięcia. Robotnik. Student. Miesiąc po miesiącu. Szesnaście miesięcy i data trzynasty grudnia.

Już nie było dyskusji. Kolejno wychodzili z sali nie rozmawiając.

Maria CZYMBURA

Albany, NY, Letni semestr 1987

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii  
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystryczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.  
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,  
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,  
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.  
Tel.: 42 85 79 45.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Dnia 9 sierpnia wszyscy go widzieli: telewizja nadała reportaż z niezwykle przyjacielskiego spotkania w murach Kremla między generalnym sekretarzem Michaiłem Gorbaczowem a delegacją amerykańskich nauczycieli języka rosyjskiego. Rozmowa była przyjemna. Podenerwowani nauczyciele wyrażali radość z zaszczytu, jakiego dostąpili, i opowiadali o trudnościach nauczania rosyjskiego w USA. Generalny sekretarz przypomniiał, że losy świata spoczywają w rękach „naszych dwóch mocarstw”, że „w dziedzinie materialnej” Związek Sowiecki znajduje się jeszcze „na innym poziomie”, ale jak wiadomo nie samym chlebem człowiek żyje, na domiar u nas panuje jawność, *pieriestrojka* i wszystko idzie ku lepszemu. Generalny sekretarz uśmiechał się, żartował, dodawał otuchy onieśmielonym Amerykanom... Po czym zniknął. Wkrótce zaczęły szeregować się pogłoski. Niewykluczone, że niedługo przeczytamy sensacyjną powieść pt. „Tajemnica zaginionego genseka”. Różnie mówiono. Zachodniemiecka gazeta *Bild*, znana nie tylko z ogromnego nakładu ale i z dobrych źródeł informacji w Moskwie, oznajmiła, że Gorbaczow cierpi na zatrucie pokarmowe. Między wierszami należało czytać: może zatrucie było naukowe? Inni twierdzili, że zachorował nie gensek, a Raissa Maksimowna, zaś kochający mąż nie odchodzi od wezgłowia cierpiącej małżonki. Zaczęto nawet przebąkiwać, że kręgi „niezadowolone z *pieriestrojki*” wzięły generalnego sekretarza do niewoli i zmusiły do podpisania „warunków”. W historii Rosji był już taki przypadek: w 1730 roku caryca Anna Joanowna podpisała „warunki”, ograniczające samowolę cesarską. Umocniwszy się na tronie, „zerwała warunki”.

„Tajemnica zaginionego genseka” wyjaśniła się 29 września. Michaił Gorbaczow przyjął na Kremlu 360-ciu „wybitnych francuskich działaczy politycznych i społecznych”. Pierre Mauroy, występujący w roli mera Lille, miasta, w którym po raz pierwszy odegrano „Międzynarodówkę”, nie ustawał w zachwytach nad ge-

neralnym sekretarzem: „Dzięki Wam wybiła godzina pokoju, panie generalny sekretarzu”; „Dzięki Wam zaczyna się nowa epoka” itd. Wreszcie mer Lille zrobił aluzję do tajemniczego zniknięcia i delikatnie określił jego skutki: „Pański pobyt na urlopie zrodził rozmaite słuchy. Dowodzą one tylko, jak wielkie znaczenie ma dzieło, nad którym Pan pracuje”. Rosyjski przekład nie oddawał zresztą subtelnej francuskiej gry słów. Mauroy w rosyjskim przekładzie powiedział: „Pańska nieobecność podkreśliła tylko Pańską obecność”.

Mamy wszelkie podstawy by sądzić, że rozprzestrzenianiem pogłosek o zaginionym genseku zajmowali się specjaliści z odpowiedniego departamentu. Nawet nieobecny, generalny sekretarz był obecny na łamach prasy światowej. Sama możliwość, sama myśl o tym, że mógłby zniknąć, miała przerazić mieszkańców naszej planety. Ludzkość z ulgą przyjęła powrót generalnego sekretarza do pracy. Gorbaczow wyjawiał Francuzom swą „tajemnicę”: od 24 sierpnia do 24 września przebywał na ustawowo przewidzianym urlopie. Przez pozostały czas pracował nad przemówieniem, które wygłosił 6 listopada, oraz nad książką, którą wkrótce wszyscy będziemy mieli możliwość przeczytać.

Wyjaśniliśmy francuskim pielgrzymom, że w Związku Sowieckim toczy się przebudowa, generalny sekretarz przypominał: „Nie rezygnujemy z socjalizmu. Chcemy, aby był lepszy. Dlatego mówimy: więcej socjalizmu. Nie rezygnujemy z naszej demokracji. Chodzi o to, aby wykorzystać możliwości demokracji socjalistycznej”. Gorbaczow prosto i jasno zdefiniował demokrację socjalistyczną: „Powiadamy: wszystko, co umacnia socjalizm, w tym jawność, demokracja, wszystko to zasługuje na poparcie i umocnienie. Właśnie wszystko, co umacnia socjalizm. Jeśli jednak — co już obserwujemy — ktoś wewnątrz kraju lub za jego granicami chce wykorzystać naszą gotowość jawności dla podjudzania elementów ekstremistycznych, elementów antysocjalistycznych — a takie istnieją, choć jest to zjawisko niezbyt szerokie, niezbyt istotne — to natychmiast otwarcie mówimy: nie, przeciw socjalizmowi nie pozwolimy pójść nikomu”.

Dla przyszłych historyków odnotujemy, że Gorbaczow po raz pierwszy użył tu zwrotu „elementy ekstremistyczne”. Być może zapoznał się z nim podczas urlopu. Odnotujemy też, że idea by popierać wszystkich, którzy popierają socjalizm, a walczyć z wszystkimi, którzy go nie popierają, po raz pierwszy została wpisana w stalinowską konstytucję 1936 roku, z której w rozszerzonej wersji przeszła do konstytucji breżniewowskiej z 1977, obowiązującej do dziś. Nie ma też niczego nowego w twierdzeniu Gorbaczowa: „90 % naszych obywateli urodziło się i wyrosło w socjalizmie. Nie wyrzekną się oni jego zdobyczy”. Jest całkiem możliwe, że generalny sekretarz ma rację i że 90 % „naszych obywateli” gotowe jest bronić socjalizmu. Ciekawe, że w 1931 roku w rozmowie z niemieckim pisarzem Emilem Ludwigiem Stalin wymienił podobną liczbę: „Jeśli wziąć lud pracujący ZSSR, robotników i chłopów, to stoją oni murem za władzą sowiecką i w przeważającej większości czynnie popierają ustrój sowiecki”.

Towarzysz Stalin obiecał w 1931 roku, że zlikwiduje te procenty, którym się władza sowiecka nie podoba. Gorbaczow zapowiada: „toczy się walka” z tymi, „którym nie podoba się socjalizm, którzy wykorzystują „demokratyczne procesy dla oczerniania naszego ustroju” (*Prawda* z 30 września 1987).

Dnia 2 października odbyła się konferencja prasowa w mieszkaniu naczelnego redaktora biuletynu informacyjnego *Glasnost*, Siergieja Grigorianza. Dziennikarzom z paryskiej *Russkoj mysl* udało się uzyskać połączenie telefoniczne z Moskwą i porozmawiać z uczestnikami konferencji. Lew Timofiejew, skazany za publikację w prasie podziemnej nt. wynędzniałej i wygłodzonej wsi kołchoźniczej, zwolniony niedawno z obozu, zwrócił uwagę na fakt, że w ostatnich przemówieniach Gorbaczowa pojęcie „socjalizmu” figuruje już nie jako podstawa wszystkiego, lecz jako termin prawniczy. W przemówieniu do Francuzów np. Gorbaczow jednoznacznie powiedział, że wszystko, co wykracza poza ramy zasad socjalistycznych jest poza prawem, tzn. może być uznane za sprzeczne z prawem. Lew Timofiejew pyta: „Czy to nie znaczy, że należy się spodziewać jakichś działań represyjnych w stosunku do tych, którzy nie utożsamiają się z pojęciem socjalizmu?” (*Russkaja mysl* z 9 października 1987). Lew Timofiejewicz dorzucił: „Należy uczciwie powiedzieć, że w odróżnieniu od niektórych naszych zachodnich znajomych i kolegów nigdyśmy tu nie wpadali w euforię, ale dziś czujemy, że pojawiła się jakaś nowa tendencja” (*Russkaja mysl* z 9 października 1987).

„Nowa tendencja” wyraża się np. w stosunku władzy do biuletynu *Glasnost*. Kiedy w czerwcu br. po raz pierwszy zapowiedziano, że grupa niedawno zwolnionych z łagrów dysydentów (używam tego słowa z braku lepszego) postanowiła wydawać w Moskwie niezależne pismo, napisałem, że losy *Glasnosti* będą sprawdzianem granic *glasnosti*. We wrześniu aresztowano na krótko współpracownika pisma i skonfiskowano numery 8 i 9 (wraz z rękopisami). W wywiadzie dla szwajcarskiego tygodnika *Illustré* sekretarz KC i członek Biura Politycznego, A. Jakowlew, oświadczył (23 września 1987), że widział tylko jeden numer *Glasnosti*, niczego ciekawego w nim nie znalazł, uważa jednak, że biuletyn narusza kodeks karny. W rozmowie z francuskimi gośćmi Gorbaczowa dyrektor TASS-a Fallin oświadczył, że „generalnie rzecz biorąc wszyscy ludzie, którzy siedzieli w łagrach, są bardzo wątpliwi”. Miał na myśli redaktorów *Glasnosti*.

Historycy niewątpliwie zauważą, że w niezliczonych artykułach, komentarzach i informacjach o epoce *glasnosti* i *piestrojki* zachodni specjaliści w ogóle nie wspominali o KGB. Historycy przypomną sobie, że każdej wólcie sowieckiej polityki towarzyszyła reforma policji politycznej. Reforma nie zmieniała jej istoty ani jej miejsca w państwie, ale z reguły zmieniała jej nazwę oraz zwężała już rozszerzała zakres jej uprawnień. Przejście do NEP-u zaznaczyło się likwidacją WCzK, którą zastąpiło GPU (z tym samym przewodniczącym F. Dzierżyńskim). W 1934 roku Stalin, szykujący „wielki terror”, zmienił GPU na Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Ledwie Stalin umarł, dokonano

kolejnej reformy zapowiadającej zmiany: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego spadło do rangi Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Szczególny charakter *pierstrojki* polega na tym, że aparat KGB, jego funkcje i uprawnienia pozostały nietknięte. Więcej: w jednym materiale na ten niezmiernie ważny temat, artykule Siergieja Grigoriana (*Glasnost'* nr 2, lipiec 1987) zatytułowanym „Czy KGB się bawi, czy działa?”, autor cytuje słowa oficerów służby bezpieczeństwa (to samo zdanie powtarza się w Leningradzie, na Ukrainie i w Moskwie): „Mamy pełne ręce roboty, polecono nam wdrażać demokrację i jawność w kraju”. Łatwo to zakwestionować, bo przecież powiedział to wypuszczony z łagru Grigorian. Z błędu wyprowadzi nas lektura przemówienia człowieka ze wszech miar godnego zaufania, przewodniczącego KGB i członka Biura Politycznego, M. Czebrikowa. I znów uprzytomni sobie potęgę reklamy. Weźmy Gorbaczowa: czego by nie powiedział, prasa światowa podchwytuje każde słowo, fotografowie uwieczniają każdy uśmiech. Weźmy Czebrikowa: mniej fotogeniczny niż generalny sekretarz, ale przecież mówi ważne rzeczy, kto wie, czy nie ważniejsze niż gensek. A prasa światowa poświęciła jego przemówieniu co najwyżej kilka linijek.

Przemówienie zatytułowane było „Wielki wzór służby rewolucyjnym ideałom”, a wygłoszone zostało z okazji 110-tej rocznicy urodzin Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Data niezbyt okrągła, ale następca „ojca organów” skorzystał z okazji, by wyłożyć prawdziwy program *pierstrojki*. Przede wszystkim przewodniczący KGB potwierdził informację redaktora *Glasnosti*, Grigoriana: „Organy bezpieczeństwa uważają, że w obecnej chwili jednym z ich naczelnych zadań jest maksymalne sprzyjanie rozwojowi procesu przebudowy kraju” (*Prawda* z 11 września 1987). Program działań organów jest — zdaniem Czebrikowa — odpowiedzią „na negatywną reakcję wojujących antykomunistów”, którzy chcą przeszkodzić w „rozszerzaniu się demokracji i jawności”. Zachodnie służby specjalne kierują swe wysiłki na podminowywanie „potencjału moralno-politycznego naszego społeczeństwa”. To służby specjalne „zwiększają wysiłki celem dystrybucji teorii marksizmu-leninizmu”, starają się „oczernić historyczną drogę państwa sowieckiego, praktykę budownictwa socjalistycznego”. Bądźcie czujni! — uprzedza przewodniczący KGB sowieckich historyków i ekonomistów. Po czym zwraca się do sowieckiej „inteligencji twórczej”: wrocie służby specjalne, świadome „ogromnej siły emocjonalnego wpływu twórców na ludzi”, „starają się zepchnąć poszczególnych przedstawicieli inteligencji twórczej na pozycje krytykanctwa, demagogii i nihilizmu” i — powtarza — „oczerniania niektórych etapów historycznego rozwoju naszego społeczeństwa”.

Są i inne okazy, budzące złość przewodniczącego KGB: „wynawcy obcych, a nawet otwarcie wrogich socjalizmowi poglądów”, „byli obywatelowie sowieccy, którzy w różnych momentach wyjechali za granicę”, „niedawno amnestionowani obywatele sowieccy”, „uśaskawieni „ze względów humanitarnych”, obywatele „zarażeni wirusem nacjonalizmu” (Czebrikow przypomina wyda-

żenia w Ałma-Acie, „działania grupy ekstremistów z kręgu krymskich Tatarów, prowokacyjne wypadki nacjonalistów w stolicy sowieckiej Nadbałtyki”), „ekstremistyczne elementy, które wdarły się do kierownictwa niektórych samodzielnych stowarzyszeń (nazywa się je dziś „grupami nieformalnymi”).

Lista jest długa. Kończąc ją, przewodniczący KGB wygłasza *credo*: „Na celowniku imperialistycznych służb specjalnych znajdują się wszystkie warstwy ludności naszego kraju”. Czebrikow uprzedza po raz ostatni: „Jak widać, ten i ów uważa, że ustawy Związku sowieckiego jego nie dotyczą i zamierza wykorzystać w złych celach humanitaryzm naszej ludowej władzy”. Myli się, kto tak myśli, gdyż „trzeba jasno rozumieć, że przebudowa naszego państwa i społeczeństwa odbywa się pod przewodnictwem partii komunistycznej, w ramach socjalizmu i w interesie socjalizmu. Będziemy bronić tego rewolucyjnego procesu przed wszelkimi wyrotowymi próbami!”.

Któż by wąpił w słowa przewodniczącego KGB? Dzieje „organów”, którym w 1987 wybija siedemdziesiąty krzyżyk, dokładnie tyle samo co władzy sowieckiej, dowodzą, że zawsze wiernie służyły partii i że bez nich budowa socjalizmu byłaby znacznie trudniejsza.

Uważa się dość powszechnie, że Czebrikow, Ligaczow i inne „jastrzębie” nalegają na „gołębia” Gorbaczowa i usiłują wymusić na nim rezygnację z jawności i demokracji. Porównanie przemówień Czebrikowa, Ligaczowa i generalnego sekretarza na nic takiego nie wskazuje: mówią i myślą to samo. Różnica polega tylko na tym, że Gorbaczow ubiera twarde jądro swojej polityki w miękkie liryczne frazesy o trosce o dobro narodu.

Po powrocie z urlopu Gorbaczow rzucił się w wir pracy. Po spotkaniu z Francuzami w Moskwie wyjechał do obwodu murmańskiego. W przemówieniach i podczas spotkań z ludem robotniczym bezustannie powtarzał: „Wkraczamy w krytyczny etap *pierstrojki*”, „mówimy uczciwie, że trudności potrwają jeszcze jakiś czas”. Generalny sekretarz na każdym kroku przypominał swą ulubioną metaforę (po raz pierwszy zauważyłem ją dwa i pół roku temu): „Jeśli rozpędzimy koło rozpędowe, krajowi przybędzie wiele pożytecznych rzeczy”.

Zdaniem Gorbaczowa wszystko jest gotowe. Plany opracowane, jawność dozwolona. Rzecz w wykonaniu. Gorbaczow stwierdza z zadowoleniem, że naród rozumie, w czym leży przyczyna zastoju: Wszyscy pracowaliśmy uczciwie — powiedzieli mu robotnicy Północy. Konieczne trzeba zaprowadzić porządek i dyscyplinę. A potem czekać, aż sytuacja się poprawi.

Z Murmańska Gorbaczow udał się do Leningradu. Tu znowu powtórzył apel o umocnienie *pierstrojki* i podkreślił rolę partii: „Konieczny jest bezprecedensowy wysiłek celem mobilizacji twórczych sił. To może zrobić tylko partia, nasza leninowska partia”. Gorbaczow niedwuznacznie dał do zrozumienia, że należy „wymieść” zewsząd (w tym i z aparatu partyjnego) tych, którzy nie potrafiają „twórczo” wcielać w życie dyrektywy przebudowy. Generalny sekretarz dorzucił, że walka z przeciwnikami przebudowy

nie powinna przyjąć postaci chińskiej rewolucji kulturalnej. Ten fragment przemówienia transmitowanego przez telewizję został wycięty w *Prawdzie* (14 października 1987).

Dwój-mowa rządzi jak nigdy epoką *głasności i pieriestrojki*. Gorbaczow oświadcza: „Nasza *pieriestrojka* to rewolucja. Bez wystrzałów, ale bardzo na serio” (*Krasnaja zwiezda* z 1 października 1987). Natomiast w przemówieniu Czebrikowa wyraźnie słychać dalekie, ale znajome echa strzałów. Gorbaczow powiedział 1 października br. w Murmańsku: „W stosunkach międzynarodowych krzepną tendencje pozytywne”, natomiast 2 października, podczas wizyty na krajozniku atomowym „Kirow”, odpowiada na przemówienie politruka, że „nie mamy prawa zapomnieć, że stoimy w obliczu wroga okrutnego i przewrotnego”: „Dziś, przy obecnej sytuacji wojskowo-politycznej w świecie, niepowstrzymanym wyścigu zbrojeń wymuszonym przez imperializm, twarda dyscyplina, organizacja i porządek są ważniejsze niż dyktando”.

Zmęczony przemówieniami i zamęczywszy czytelników, włączył kasętę z nagraniem monologów najpopularniejszego dziś sowieckiego satyryka, Michaiła Żwanieckiego. Przez wiele lat pisał też je czyta. Nawet w telewizji zaczął występować. Oto jak ocenia obecną sytuację: „Jest co poczytać, jest czego posłuchać, jest na co popatrzeć, ale nie ma co żreć i na grzbiet włożyć. Na razie”. Jeden z jego monologów poświęcony jest właśnie dwój-mowie, o której wyżej wspominałem. Żwaniecki opowiada, że kiedy w Lipsku pokazano kreskówkę do jego scenariusza, nikt poza sowiecką delegacją nie zrozumiał ani słowa. Z Bułgarii dostał list: chcieliby przetłumaczyć jego książeczkę, ale niczego nie rozumieją. Satyryk stwierdza: „Nasze nieszczęścia są nieprzetłumaczalne, to nieprzekładalna gra słów. Nawet Bułgaria rezygnuje”. Cieszy się: „Jak zręcznie wszystko wymyślił. My ich rozumiemy, a oni nas już nie. Hurra! Koniec sztucznych granic! Nasz język przestał być językiem, którego można się nauczyć. Możemy bez obaw głośno mówić”. Zapewnia: „Nasze liczby są nieprzekładalne. Nie ma po co szyfrować. Kto rozszyfruje nasze liczby, niczego się nie dowie. Tylko sami rozumiemy...”.

Żwaniecki cytuje kilka przykładów nieprzekładalnego na żaden język narzecza sowieckiego, np. „stołówka zaczęła jeszcze lepiej pracować”, „walka o jakość”, „ser niskiej jakości”, „gospodarz na ziemi”. Mógłby oczywiście znaleźć podobne przykłady i w innych dziedzinach. W jednym z monologów zapytuje, co mają na myśli twórcy haseł, rozwieszanych we wszystkich sowieckich miastach i wsiach, jak np. „Walczmy o pokój!”. Mógłby powiedzieć znacznie więcej niż to, co mówi, ale — jak słusznie zauważa nt. *głasności*: „Cała sztuka polega na tym, że to nie to, cośmy zdobyli, tylko to, co nam dali. A skoro nam dali, to mogą też...”. Widownia klaszcze, doskonale rozumiejąc, czego satyryk nie dopowiedział.

Adam KRUCZEK

15 października 1987

## Kronika niemiecka

Ignacy Kraszewski spędził w Dreźnie po roku 1863 przeszło 20 lat, napisał tu wiele książek poświęconych historycznym i kulturalnym związkom Polski i Saksonii w XVIII wieku (*Hrabina Cosel, Brühl*). Obecnie odremontowano dom-muzeum w Dreźnie; renowacja była jednym z punktów pięcioletniej umowy o współpracy kulturalnej między Polską a NRD w okresie 1986-1990. ■ Niedawno sekretarz stanu *Ministerstwa Spraw Wewnętrznych* RFN Karl Dieter Spranger poinformował, że na 9.717 Polaków, uczestników wycieczek zbiorowych, którzy pozostali w RFN między październikiem 1983 a sierpniem 1987, los i miejsce pobytu 3.028 (a więc ponad 30 %) nie jest znany! W latach 1985-1986 w RFN status ucieknięcia politycznego nadano zaledwie 800 Polakom (żyje ich tam z najnowszej emigracji ok. 100 tys.). ■ W 1986 roku z resortu *Nauki i Szkolnictwa Wyższego* na stałe naukowe, stypendia, konferencje, konsultacje i zjazdy wyjechało 20,5 tys. osób (do RFN — 2.039). Prawie połowa osób przedłużających pobyt badawczo-naukowe przebywa w USA; na następnych miejscach lokuje się RFN, Kanada, Francja i Wielka Brytania. ■ Przyjeżdżającym do RFN i wyjeżdżającym z tego kraju wolno przewozić wszelkie środki płatnicze w dowolnej ilości. Podróżując tranzytem przez RFN bez zatrzymywania się, można przewozić bez szczególnych formalności celnych upominki o łącznej wartości 400 marek RFN, jeżeli podróżny na stałe mieszka w Europie. ■ Adam Hanuszkiewicz wystawił *Męża i żonę A. Fredry* w *Teatrze Miejskim* w Baden-Baden. ■ Aktorzy *Teatru Laboratorium*: Irena Kądziołka-Mirecka, Ewa Benesz i Mariusz Socha prowadzą warsztaty teatralne w RFN. ■ Na wschodniemieckich uniwersytetach studuje zaledwie 68 Polaków z PRL. ■ W kolońskim teatrze *Studio Bühne* gościł ponownie *Teatr Ósmego Dnia* (obecnie Ferrara) z przedstawieniem sztuki *Zaraza* opartej na motywach książki Alberta Camus *Dżuma*. ■ W nowopowstałej zachodniobermberskiej galerii *KIK* wystawiała swoje rysunki i collage Helena Bohle-Szacki, docent na wydziale grafiki i komunikacji wizualnej na tamtejszej *Lette-Schule*. W Polsce do 1968 roku była asystentką na *Akademii Sztuk Pięknych* w Łodzi, gdzie prowadziła pracownię oryginalnych projektów mody. ■ Warszawski *Ośrodek Kultury i Informacji NRD* obchodzi swoje 30-lecie (RFN-owski *Goethe-Institut* ubiega się od wielu lat bezskutecznie o współpracę kulturalną z Polską). ■ W Ludwigshafen (Nadrenia-Palatynat) gościł warszawski *Teatr Studio* ze sztuką *Pułapka* w reżyserii i scenografii Jerzego Grzegorzewskiego z muzyką Jerzego Maksymiuka. Publiczność niemiecka przyjęła polski spektakl wielką owacją. Entuzjastyczne przyjęcie sztuki polskiej stało się dowodem na to, że bariera językowa nie stanowiła przeszkód w zainteresowaniu zachodniemieckiej publiczności polskim teatrem profesjonalnym (cena za miejsce na to przedstawienie wynosiła średnio 220 marek). Bliższe kontakty z teatrami w Polsce nawiązał w latach 1976-1985 Rainer Antoine, zmarły niedawno dyrektor artystyczny teatru *Im Pfalz* w Ludwigshafen. W mieście tym gościł już *Teatr Wielki* z Warszawy i z Łodzi, *Teatr Pantomimy* Henryka Tomaszewskiego z Wrocławia oraz wielu wybitnych solistów. Obecny burmistrz miasta Ludwigshafen na przyjęciu wydanym dla aktorów polskiego teatru wyraził wolę i nadzieję na kontynuowanie wizyt teatrów polskich zainicjowanych przez Rainera Antoine. ■ W Krakowie zmarł korespondent zachodniemieckich ra-

diostacji i hamburskiej *Die Zeit* od 1956 roku, Ludwig Zimmerer. Powiązany z naszym krajem rodzinnie (żona Joanna Mortkowiec Olczakowa) Zimmerer był wielkim miłośnikiem Polski i Polaków. Tuż po przyjeździe do Polski zafascynował się polską sztuką ludową, która stała się jego pasją życiową. Jego dom na Saskiej Kępie (popierali go m.in. Bertold Beitz z firmy Kruppa i Klaus von Bismarck, b. dyrektor kolońskiej rozgłośni WDR) wypełnił się dziełami twórców ludowych (ponad 15 tys. eksponatów), których odwiedzał przemierzając Polskę, którymi się opiekował i z którymi się przyjaźnił. ■ Przebywający z oficjalną wizytą w Polsce przewodniczący zachodniemieckich socjaldemokratów, Hans-Jochen Vogel spotkał się z sześcioma przedstawicielami polskiej opozycji (m.in. z Bronisławem Gremkiem, Januszem Onyszkiewiczem i prof. Klemensem Szaniawskim) oraz złożył kwiaty na grobie ks. Jerzego Popiełuszki. W swoim oficjalnym wystąpieniu przed gen. Jaruzelskim Vogel podkreślił wagę związków zawodowych w życiu politycznym kraju oraz możliwości swobodnego kształtowania przez obywateli opinii publicznej. Podkreślił on, że wolność zakładania związków zawodowych jest bardzo istotna i nie może w żadnym wypadku zależeć od manipulacji państwowej. ■ W Poznaniu przebywali uczestnicy uroczystości jubileuszu 65-lecia Związku Polaków w Niemczech Rodło, która odbywała się w auli Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. W zjeździe wzięło udział ponad 600 członków związku z RFN (przewodniczył ks. Edmund Forycki z Düren k/Kolonii). ■ We Fryburgu Badeńskim powstał ośrodek polsko-niemiecki przy organizacji stypendialnej GFPS (*Stowarzyszenie Wspierające Pobyt Naukowe Studentów Polskich w RFN*). W ciągu trzech lat istnienia Ośrodek przyznał stypendia blisko 50 polskim studentom. GFPS prowadzi własną bibliotekę, w której gromadzi książki w językach polskim i niemieckim z zakresu historii, filozofii i kultury polskiej. GFPS e. V.: Wintererstr. 1, Haus II, D-7800 Freiburg/Br. ■ Komisja Katolików w Kolonii wysłała do Krakowa 150 jubileuszowy transport z żywnością, lekarstwami, sprzętem medycznym i odzieżą. Razem 2.700 ton o łącznej wartości 2,5 mln marek. Pomoc organizują głównie Maltańscy w imię „akcji pojednania”. ■ 21 zachodniemieckich biskupów i 42 sufraganów (również z obu części Berlina) w czasie Zebrania Plenarnego Biskupów w Fuldzie wybrało nowego przewodniczącego Katolickiej Konferencji Biskupów Niemiec. Został nim na okres 6 lat najmłodszy biskup (od 1983 roku), 51-letni Karl Lehmann z Moguncji. ■ Klub Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Mieroszeuskiego w Monachium zorganizował bardzo udaną dyskusję dotyczącą kontrowersji wokół serialu w brytyjskiej TV pt. *Zmagania o Polskę* z udziałem reżysera 3 odcinków i współtwórcy całości — Bolesława Sulika. Spotkanie prowadził Adam Rosenbusch. Film *Zmagania o Polskę* w skróconej wersji ma być wyświetlony w RFN w listopadzie. W sumie miał 9 godzin projekcji, w RFN zamiast odcinków godzinnych będą szły odcinki 45-minutowe — na tym polegają skróty. Dyskusja na spotkaniu klubowym była ogromnie ożywiona. Koncentrowała się na kwestiach wysuniętych w listach czytelników do prasy polonijnej w Anglii — czy mówienie o „ciemnych stronach” II Rzeczypospolitej to szkalowanie ojczyzny przed obcokrajowcami? Czy powiedzenie „nie kalaj własnego gniazda” ma tu zastosowanie? A także: sprawy polsko-żydowskie i reakcja środowisk polskich na materiały o antysemitkich akcjach przedwojennych (getto ławkowe). Czy bronimy dobrego imienia Polski wskazując na własne grzechy w przeszłości w sposób otwarty i jawny — czy milcząc i ukrywając te błędy? Konkluzja była taka: świat się zmienił, przy końcu XX wieku w oczach Zachodu zyskuje się dobre imię odważnie wskazując na to, co było złe we własnej przeszłości. Nie traci się dobrego imienia przynajmniej do historycznych przewinień. Traci się je, zamazując przeszłość sztucznymi poczynaniami i manipulacjami. Co do tego wszyscy byli zgodni. Ale także i co do tego, że trzeba zrozumieć sentymenty Polaków starszego po-

kolenia, dla których okres II Rzeczypospolitej to okres „pobytu w raju” — z którego później ich wygnano. Proporcje muszą być zachowane — także w prezentowaniu obrazu ewentualnych błędów i przewinień. Bardzo udana impreza, red. Sulik doskonale się zaprezentował! ■ Z giełdy samochodowej w Gliwicach: najdroższy obiekt do sprzedaży — nowy Mercedes 300 D poszedł za 26 mln złotych; wschodniemieckie wozy — Trabant (1,25 mln) i Wartburg (2,45 mln). ■ W kolońskiej księgarni *Wauel* odbyło się spotkanie autorskie z Wiktorem Woroszyłskim. Znany pisarz i poeta czytał fragmenty swych utworów, w tym także nowych, dotąd jeszcze nie publikowanych. ■ Fundacja im. Kurta Schumachera (prawica SPD) przyznała Nagrodę Wolności 1987 związkowi zawodowemu *Solidarność*. Uroczystość wręczenia nagrody (*laudatio* Lwa Kopielewa), którą w imieniu Lecha Wałęsy odebrał jego doradca, Tadeusz Mazowiecki, odbyła się w sali rycerskiej ratusza we Frankfurcie n/Meinem. Zebranych powitał burmistrz Frankfurtu Wolfram Brück. Niestety na uroczystość tę nie przybyli przedstawiciele SPD, a ze związkowców zjawili się zaledwie wypróbowany przyjaciel Polaków, b. przewodniczący metalowców (*IG-Metall*) Eugen Loderer. *Frankfurter Allgemeine*: „Ostentacyjna nieobecność przedstawicieli socjaldemokratów była przedmiotem ożywionych i w większości nieprzychylnych komentarzy”. ■ W Monachium odbyło się spotkanie Lothara Herbsta z publicznością niemiecką. Herbst czytał wiersze po niemiecku z tomiku *Listy z podróży* (wyd. *Pogląd*, Berlin Zachodni 1987) w przekładzie Marii Kureckiej. ■ W NRD rozpoczęto wypuszczanie więźniów na podstawie uchwalonej w lipcu bież. roku rozporządzenia amnestii z okazji XXXVII rocznicy powstania Niemiec Wschodnich. Ocenia się, że do połowy grudnia bież. roku wyjdzie na wolność kilka tysięcy więźniów, w tym również politycznych. Kary dożywotniego więzienia mogą być w niektórych wypadkach zamieniane na 15 lat więzienia. Z amnestii wyłączeni zostali b. naziści i agenci obcych wywiadów. (Tych ostatnich tak i tak Bonn wykupuje lub wymienia. ■ *Frankfurter Allgemeine* podaje, że cały szereg b. obywateli PRL uzyskało obywatelstwo RFN przedkładając sfałszowane, zakupione w Niemczech, dokumenty świadczące o ich niemieckim pochodzeniu. Tym „przesiedleńcom” wypłacono łącznie sumy wielu milionów marek tytułem świadczeń socjalnych. W Nadrenii-Westfalii nakryto cały gang fałszerzy dokumentów, poruszających się między RFN a Polską. ■ Dr Andrzej Sulikowski (*UJ*) wygłosił w Klubie Polskim w Wuppertalu, dla publiczności polskiej odczyt o twórczości Aleksandra i Oli Watów, przyjęty z dużym zainteresowaniem. ■ Niedawno oddany do użytku nowy ośrodek kardiologiczny w Katowicach świeci pustymi salami operacyjnymi. „Zapomniano” je wyposażać... Do aparatury *Siemens*, zakupionej w RFN w latach 70-tych w/w firma już dawno nie produkuje części zamiennych. ■ Fundacja im. Rodziny Nissenbaumów, z siedzibą w RFN, rozpoczęła w 1985 roku odbudowę żydowskiego cmentarza na Bródnie. Rekonstrukcja tego cmentarza to jedno z najważniejszych zadań planowanych i podjętych przez Fundację, do której grona należy m.in. Werner Nachmann, przewodniczący Rady Żydów w RFN. ■ Na III Międzynarodowym Festiwalu Filmów Amatorskich w Duisburgu dwa Srebrne Medale otrzymały filmy polskie: *Klucz do Marcina P.* Zięzińskiego z Warszawy oraz *Klatka Olafa Olszewskiego* z Krakowa. ■ Obywatele PRL i tranzyt przez NRD: podróżować trzeba tyle, ile czasu potrzeba na pokonanie tranzytu jadąc z szybkością 80-90 km/godz. Błędne są informacje jakoby czas tranzytu przez NRD wynosił 24 godziny.

Andrzej J. CHILECKI

Uzupełnienie: W „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 9/1987) pisałem o wystawieniu przez zachodniobierliński *Transformtheater Operetki* Witolda Gombrowicza w reżyserii Henryka Baranowskiego (tłum. Christa

Vogel). Przez nieuwagę nie wymieniał nazwiska Romy Ligockiej ze Stuttgartu, która zaprojektowała wspaniałe kostiumy do *Operetki*. Stąd też tytuł recenzji w berlińskiej *Morgenpost* — *Bogate malarstwo obyczajów z tradycji Felliniego*. Panią Ligocką najmocniej przepraszam.

(ajch)

## Kronika ukraińska

*Szlach Peremohy* z 12 lipca 1987 opublikował list Ukraińców z Polski opisujący Święta Wielkanocy w Międzyborzu. Ukraińcy i Polacy przygotowali swój grób Pański, jednak ksiądz, który przyjechał w Wielką Sobotę „zaczął krzyżeć, żeby ludzie rozebrali nasz grób, gdyż nie będzie dzielił kościoła na pół”. Polacy przekazali nam, że trzeba rozebrać grób, ale kiedy nikt spośród nas nie chciał tego zrobić, ksiądz sam rozrzucił grób, rzucając Ewangelię i całun na podłogę z krzykiem, że kościół jest jego i ma prawo robić co chce! Po odprawieniu mszy zamknął kościół i oddawszy klucz Polakowi Jacule, polecił nikomu klucza nie dawać. Klucza do kościoła nie dostaliśmy i raniem w Wielkanoc nasza msza odbyła się na powietrzu i przed zamkniętymi drzwiami kościoła. (...) Może diakon Droid opowie o naszej Wielkanocy Papieżowi, gdy będzie przezeń wyświęcany 8 czerwca br.”. Szkoła, że autorzy listu nie przytoczyli nazwiska polskiego księdza, zapewne był to „ksiądz patriota”, który wiedzę o tolerancji i miłości bliźniego czerpał z „Krótkiego kursu historii WKP(b)”. ■ W dniach 4-5 lipca br. odbył się w Sopocie X jubileuszowy festiwal Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. W sumie zorganizowano 4 wielkie koncerty, na których publiczność przekraczała 5 tys. osób i jeden mały w klubie studenckim, gdzie wystąpiły zespoły „Osefedeć” („Sledź”), „Amator”, „Orden” śpiewając po ukraińsku w stylu *punk* i *heavy rock*. Wystąpił też zespół litewski z Polski „Ulbuolys”, goście z USSR i jeden zespół polski. W sumie 800 wykonawców koncertowało przez 20 godzin. ■ Władze PRL przekazały do ZSSR pamiątki ukraińskiego piśmiennictwa z XVII-XVIII wieku oraz zaproszenia ukraińskich historyków do odwiedzenia Biblioteki Narodowej celem przeprowadzenia kwerendy. ■ Wrocławski *Konkret* nr 3 (jesień 1986) zamieścił obszerny artykuł poświęcony metropolicie Andrzejowi Szeptyckiemu i potępiający działalność E. Prusa. Autor podpisujący się inicjałem 'P' kończy swój artykuł następującym wnioskiem: „Doświadczając lat sprawiają, że coraz więcej Polaków zdaje sobie sprawę, iż bez niepodległej Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich nie będzie wolnej Polski i jej bezpiecznych granic. Podobne procesy zauważamy u naszych wschodnich pobratymców. W naszym wspólnym interesie leży więc wspólna walka z komunizmem o wolność naszych narodów, a następnie właściwe ułożenie sobie stosunków dobrosąsiedzkich, nawet kosztem ostatecznej rezygnacji z tego czy innego miasta na wschód od Bugu”. ■ Na medal im. Ed. Prusa zasłużył Artur Bata, autor „Bieszczad w ogniu”, książki wydanej przez Krajową Agencję Wydawniczą w nakładzie 40 tys. egzemplarzy. W warstwie faktograficznej Bata oparł się na skonfiskowanej pracy Szoty i Szczęśniaka „Droga donikąd”, natomiast w sferze interpretacji dzielnie spełnił zamówienie wiadomego reżyserskiego, prześcigając nawet samego Prusa. Wśród rozmaitych oszczerstw znalazło się m.in. oskarżenie metropolity Szeptyckiego o „moralną odpowiedzialność” za wymordowanie Żydów na Ukrainie. Bata jest też autorem odkryw-

czej koncepcji, wedle której Ukraińcy z Bieszczad wysiedlili się sami, gdyż partia z Gomułką na czele była zawsze temu przeciwna. Czasami nieuctwo i lenistwo bywa zdradliwe. Bata pisze na str. 248 o Jewhenie Sztenderze: „Został zlikwidowany przez żołnierzy KBW w październiku 1948 roku”, podczas gdy wystarczyło wziąć do ręki jakikolwiek tom *Letopisu UPA*, by przekonać się, że J. Sztendera jest jednym z jego redaktorów! Czasy się jednak zmieniają, a wraz z nimi zmieniają się też policjanci, Bata przytacza więc fragment rozmowy kilku Polaków w knajpie na temat pewnego dawnego strzelca UPA: „On wyszedł wcześniej za dobre sprawowanie — twierdził jeden — ale praw obywatelskich nie ma, nie przywrócili mu ich. Może je odzyskać aż upłynie cały zasądzony wyrok, brakuje do tego jeszcze dwóch lat. — A gdyby tak — rozważał drugi — zabić takiego. Jak nie ma praw obywatelskich, to można z nim zrobić wszystko i kary za to nie będzie żadnej. Wokół tej kwestii wywijała się zajadła dyskusja, zdania były podzielone — można go bezkarnie zabić, czy też nie” (str. 219). ■ Nakładem Wydawnictwa PTTK „Kraj” ukazały się materiały z sympozjum „Łemkowie. Kultura — sztuka — język”, zorganizowanego w Sanoku w 1983 roku przez Komisję Turystyki Górskiej ZG PTTK. Nakład bardzo ciekawej i ilustrowanej książki wyniósł 6 tys. egzemplarzy. ■ *Biuletyn Dolnośląski* nr 2/1987 opublikował list otwarty do redakcji Petro Kowalczyka z *Suczasnosi*, w którym autor porusza kwestię współpracy Solidarności Walczącej z organizacją rosyjskich nacjonalistów-solidarystów, Ludowym Związkiem Pracy — NTS. Kowalczyk krytykuje stanowisko redakcji *BD*, która zaleca referendum w sprawie niepodległości państwowej Ukrainy, zgadza się natomiast z linią polityczną czołowego publicysty *BD* — Jaromira Bileta. ■ *Tydzień Polski* zaprzagnął mieć swojego Edwarda Prusa. Józef M. Biliński w artykule pt. „Ukraińcy i Bałtowie” oskarżył wszystkich żołnierzy ukraińskich i bałtyckich, którzy służyli w dywizjach broni SS o ludobójstwo. Autor nie przytoczył jednak żadnego faktu, natomiast oficie popisał się własną ignorancją, np. utożsamiając służbę w SS ze służbą w dywizjach *Waffen SS*. ■ W czerwcu odbył się w Londynie zjazd emigracyjny Stronnictwa Narodowego, w którym po raz pierwszy wzięli udział obserwatorzy z Polski. W uchwale zjazdowej stwierdzono, że prawnie nadal obowiązuje granica ryska, zaś „dyskutowanie wschodnich granic Polski z grupami emigracyjnymi innych narodów osłabia tylko nasze (tj. chyba SN) stanowisko”. Nie podano, by na ten temat wypowiedzieli się również goście z Polski. ■ Na temat niszczenia cerkwi głos zabrał w wydawanym w Paryżu przez OUN(m) *Ukraińskim Słowie* W. Boreckij. Podał on, że przed wojną w województwie rzeszowskim na Łemkowszczyźnie było 514 cerkwi, w czasie wojny zniszczeniu uległo 6, a w latach 1945-1956 aż 165 cerkwi, w tym 101 zabytkowych. Po 1956 roku cerkwie niszczyły tajemnicze pożary. Relikwie ze zniszczonych cerkwi zgromadzone w muzeum historycznym w Sanoku, a zbiór ok. 400 ikon w muzeum w Nowym Sączu i w kilku innych miejscowościach. „Wiadomo również — pisze Boreckij — że dzięki energicznym staraniom Kościoła rzymskokatolickiego archidiecezji krakowskiej sprawa ta na Łemkowszczyźnie Zachodniej (województwo krakowskie) została doprowadzona szybko do porządku; cerkwie ponownie zaczęły służyć celom kultu i chroniono je przed zniszczeniem”. Autor szczególnie podkreśla też zasługi Ryszarda Brykowskiego, pracownika Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, który jako jeden z pierwszych stanął w obronie zniszczonych pamiątek kultury ukraińskiej w Polsce. Na koniec Boreckij proponuje, by dla upamiętnienia 1000-lecia chrztu Rusi-Ukrainy „podawszy pomocną rękę braciom, wspólnym wysiłkiem, w ramach jubileuszu, podjąć zadanie odbudowy przede wszystkim najbardziej zagrożonych cerkwi na naszych ziemiach etnograficznych w Polsce”. ■ Wydawany w USA ukraiński dziennik *Swoboda* zamieścił 10 lipca br. artykuł pt. „Paryska Kultura i sprawa ukraińska”. Autor podpisujący się P.K.M. streścił poglądy *Kultury* nie tylko na stosunki polsko-ukraińskie, ale podał również jej ocenę



polityki „Solidarności”, Kościoła itp. „Głównym zadaniem Kultury — zdaniem K.M. — jest walka z nastrojami kapitulankimi występującymi wśród polonii i w ojczyźnie”, zaś za jej „historyczne zasługi należy uważać sprowokowanie A. Solżenicyna i W. Maksimowa... do wypowiedzenia się na temat ukraińskie”. ■ Roman S. Holiat, również na łamach *Swobody*, zrelacjonował dyskusję na temat roli odegranej przez metropolitę A. Szeptyckiego, którą wywołała w prasie polskiej książka E. Prusa. Holiat omówił artykuł Andrzeja Ziembę „Metropolita Andrzej Szeptycki” (*Kwartalnik Historyczny* nr 4/1986), Władysława Serczyka „Na marginesie książki Ed. Prusa o metropolacie Andrzeju Szeptyckim”, Maurycego Prozora „Stare i nowe w polskiej legendzie o metropolacie Szeptyckim” (*Arka* nr 16) oraz recenzję pióra Ryszarda Torzeckiego. ■ *Ukraińskie Słowo* zamieściło (5 lipca 1987) artykuł pt. „Jeszcze w sprawie granic Ukrainy i Polski”, którego autor podpisujący się inicjałami M.H. krytykuje stanowisko Centrum Państwowego UNR za to, iż nie zareagowało ono na enuncjacje ministra rządu polskiego na emigracji, Szkopiaka, w sprawie szkodyliwosci uznawania obecnych granic, lecz wydało oświadczenie w kwestii stosunków ukraińsko-polskich, stwierdzając m.in.: „Przyjmujemy obecne granice między Polską a Ukrainą jako nie zadowalające dla obu stron. Rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej — UNR na wygnaniu stoi na stanowisku, że ostateczne rozwiązanie ich problemu nastąpi w rezultacie rokowań pokojowych wolnych i niepodległych państw Ukrainy i Polski, ich rządów oraz ratyfikowania tych granic przez ich parlamenty wybrane w wolnych wyborach na ich ziemiach ojczystych”. M.H. pisze: „Jeśli obecne granice są nie zadowalające, to dlaczego rząd UNR nie powie społeczności ukraińskiej i polskimi partnerom, jakie granice między Ukrainą i Polską rząd UNR będzie uważał za zadowalające? (podkreślenie autora), a dalej: „Dlaczego rząd UNR nie ustosunkował się w sposób pozytywny do deklaracji polskich grup politycznych, które publicznie uznają granice istniejące obecnie między Ukrainą i Polską?”. ■ Trwa nadal rozbiecie organizacyjne diaspory ukraińskiej w USA. Na skutek negatywnej postawy banderowców kontrolujących Ukraiński Komitet Kongresowy Ameryki nie doszło do reunifikacji tej instytucji. Opozycja zgrupowała się w Ukraińskiej Amerykańskiej Radzie Kongresowej. ■ W dniach 29-30 sierpnia odbył się w Toronto zjazd Ziomkostwa „Peremyszczyna” (Przemyskie). ■ W dniach 26-27 września odbędzie się w Nowym Jorku światowy zjazd byłych żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii. ■ Ukazał się nowy, 14-ty tom *Litopysu UPA* pt. „Peremyszczyna — Peremyskiy kuriń UPA, knyha II”. Obejmuje on dokumenty sotni „Kryłacza” z kurenia „Bajdy”, który operował w nadrejonie „Chołodnyj Jar”, należącym do odcinka taktycznego „Łemko” wojennego okręgu „Sian”. Poprzedni, 13-ty tom zawierał dokumenty sotni „Burlaki”, należącej do tego samego kurenia „Kryłacza”. Redaktorzy *Litopysu* przewidują wydanie ogółem ok. 40-50 tomów po 500 stron każdy. W przygotowaniu znajdują się wspomnienia dowódcy specjalnego oddziału UPA-Schod, Kosti Himmelreicha (tom 15) oraz dokumenty okręgu wojskowego „Howerla” — Karpatski Kraj OUN. ■ Dr Mykoła Freishyn-Czyrowski wydał historię najnowszej Ukrainy pt. „An Introduction to Ukrainian History, Volume III, XIX-XX Century Ukraine”, New York 1986. ■ W styczniu 1988 roku w Brukseli i w kwietniu 1988 roku w Nowym Jorku ma zebrać się międzynarodowy trybunał złożony z wybitnych prawników, którzy zbadają dokumentację dotyczącą głodu na Ukrainie w latach 1932/1933.

Józef DARSKI

## Kronika białoruska

120 białoruskich działaczy kultury skierowało do M. Gorbaczowa list otwarty, protestując przeciw rusyfikacji szkolnictwa, prasy i wydawnictw. List został sprowokowany wypowiedzią I sekretarza KP Białorusi, który w odpowiedzi na podobne zarzuty, postawione wcześniej w wystosowanym do Gorbaczowa liście 28 pisarzy i naukowców (obecnie przesłanym z Moskwy z powrotem do KC KP Białorusi „celem rozpatrzenia”), stwierdził: „Na Białorusi stworzono wszystkie warunki dla rozwoju języka i całej białoruskiej kultury narodowej”. ■ Ministerstwo Oświaty BSRS zamieściło w organie Związku Pisarzy Białorusi *Literatura i Mastactwo* oświadczenie potępiające twierdzenia tegoż miesięcznika dotyczące upośledzenia nauczania języka białoruskiego. ■ W. Pieczennikow, sekretarz KP Białorusi udzielił odowym zebraniu organizacji partyjnej Związku Pisarzy Białorusi udziału i powiedział na żądania białoruskiej szkolnicy i życia kulturalnego. Pieczennikow stwierdził, że istnieją „poważne przyczyny obiektywne” — takie jak urbanizacja, międzyrepublikański przepływ kadr, stale wzrastająca liczba małżeństw mieszanych — które powodują „ograniczenie sfery użycia języka białoruskiego” i warunkują rozwój dwujęzyczności narodowo-rosyjskiej. Jednocześnie przyznał jednak, że „w latach 50-tych i 60-tych niekontrolowane zwalnianie uczniów z obowiązku nauki języka białoruskiego zwiększyło się, co doprowadziło do zmniejszenia się liczby szkół białoruskich. Instytucje oświaty publicznej nie zauważyły tego na czas i w istocie pozwoliły, by proces ten rozwinął się”. Sekretarz położenia języka białoruskiego nie może wolno szukać winnych i polepszenie położenia języka białoruskiego nie może odbyć się kosztem rosyjskiego. Pieczennikow dał tylko dwie konkretne obietnice: zwiększenie liczby nauczycieli języka białoruskiego i poprawę w zakresie publikacji białoruskich książek i czasopism. Ustępstwa władz, nawet zrykiem wykładowym nauka białoruskiego ma rozpocząć się od 2-giej klasy oraz ma ukazać się czasopismo *Język i literatura białoruska w szkole*. Pieczennikow ujawnił też, że prezydium Białoruskiej Akademii Nauk i prezydium Rady Związku Pisarzy Białorusi otrzymało polecenie przygotowania do wydania „lepszych prac” Alesia Pruszyńskiego, który pod pseudonimem Oznacza to rehabilitację Aleksandra Haruna, niepublikowanego od lat 60-ciu. Alesia Haruna zasłynął jako jeden z najwybitniejszych poetów odrodzenia białoruskiego. Przypomnijmy, że Harun w imieniu Białorusinów witał Józefa Piłsudskiego w Mińsku w 1919 roku. Ostatnio odnaleziono grob Pruszyńskiego na cmentarzu wojskowym z 1920 roku w Krakowie. Pieczennikow uznał za zjawisko pozytywne pojawienie się w Republice „licznych grup, które studiują literaturę i spuściznę historyczną, lokalnych klubów historycznych i innych”. ■ Jak pisał *Białoruski Hołas* nr 334 na Białorusi istnieje obecnie 54 stałe parafie katolickie, do 37 księży dojeżdżają, a 9 pozostaje nieobsadzonych. W Mińsku i w diecezji mińskiej wszystkie parafie zlikwidowano. *Białoruski Hołas* zaraz jednak dodaje: „nie można przemilczeć faktu, że białoruskie są w rzeczywistości także parafie katolickie na Łotwie wokół Dźwińska, Reżycy i Łucyna, jak również na Wileńszczyźnie od Wilna do Trok, choć obecnie zostały one spolonizowane przez polskich księży”. Przynajmniej raz redaktorzy *Białoruskiego Hołasu* przyznają się do Białorusinów-katolików. ■ Jak pisał przeznaczony dla emigrantów *Hołas Radzimy*, na Białorusi można mieć obecnie przedsiębiorstwa

indywidualne, tzn. nie zatrudniające najmnej siły roboczej. ■ W Białymstoku otworzono sklep „Nioman”, który ma sprzedawać towary produkowane na Białorusi. Sklepy tego typu mają zostać otwarte także na Ukrainie, w Nadbałtyce i na Białorusi w rejonach przygranicznych, by służyć lokalnej wymianie. ■ Konsystoria Białoruskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej na emigracji, w odpowiedzi na liczne listy Białorusinów z Polski, w których proszono o pomoc finansową przy budowie cerkwi, odmawia udzielenia w obecnej sytuacji materialnego wsparcia Cerkwi prawosławnej w Polsce, twierdząc, że w Cerkwi tej „panuje duch i język moskiewski, choć dopuszczany jest też urzędowy język polski; tylko nigdzie i nigdy nie słycać tam języka białoruskiego. (...) Niczego nie zmienia i w niczym nie pomaga też fakt, że Metropolita warszawskim jest Białorusin z Białostoczczyzny. Jest to człowiek nieśmiały i pozbawiony kręgosłupa, osoba, które wybito z głowy wszystko co ojczyste. (...) Duchowni-Białorusini znajdują się pod takim czarnosecinnym terrorem, że boją się po swojemu powiedzieć nawet jedno słowo”. Redakcja *Białoruskiego Hłosu* podziela tę ocenę, ale wypowiedziała się za pomocą finansową, gdyż nawet w rufyfikującej Cerkwi widzi zapórę przeciw znacznie niebezpieczniejszej polonizacji. Duchowni zaczynają mówić po polsku i polonizować Cerkiew; sam Metropolita oświadczył, że jest Polakiem, gdyż „mieszka w Polsce”. „Pod polską okupacją — podkreśla BH — na polskiej granicy etnograficznej jest to bardziej niebezpieczne [niż rufyfikacja — J.D.] i prowadzi do bezpowrotnej polonizacji naszego Podlasia”. Redakcja wzywa do pomocy w budowie nowych cerkwi w Białymstoku i Hajnówce, odnowienia „zburzonej przez Polaków” cerkwi w Supraślu oraz wyremontowania wielu innych. ■ W 1984 roku w 50 szkołach wykładano język białoruski dla 3.708 dzieci, z tego w 10 szkołach na lekcje białoruskiego uczęszczały wszystkie dzieci. W następnym roku zaprzestano nauki białoruskiego w jednej szkole i liczba uczniów spadła do 3.668. Białoruski utrzymuje się na terenach prawosławnych, wokół Hajnówka i Bielska. ■ W dniach 15-16 grudnia 1986 roku Komisja Słowianoznawcza Krakowskiego Oddziału PAN zorganizowała sesję naukową nt. „Słowianie oraz ich wzajemne stosunki w wieku XX”. Prof. Telesfor Poźniak z Uniwersytetu Wrocławskiego wygłosił referat na temat roli Polaków w białoruskim odrodzeniu kulturalno-literackim początku XX wieku. Jego zdaniem „Polacy dali Białorusinom więcej niż Niemcy Czechom. Spłacili w ten sposób dług dziejowy, zaciągnięty u ziemi, która dała Polsce Kościuszkę i Mickiewicza”. Mgr Oleg Łatyszczonok mówił o życiorysie politycznym generała Stanisława Bułak-Bałachowicza i jego walkach toczonych u boku Polski przeciw Sowietom, a następnie w konspiracji przeciwko okupantowi niemieckiemu. ■ W *Więzi* nr 11-12/1986 ukazał się artykuł przedwojennego działacza białoruskiego, Wiktor Jarmońkiewicz, pt. „Białoruska Chrześcijańska Demokracja”. W *Więzi* nr 4/1987 ukazał się szkic Marka J. Karpa „Krynyki — obecność i bliskość”: w połowie jest to zapis rozmowy z białoruskim pisarzem Sokratem Janowiczem, po której swymi refleksjami dzieli się czytelnikiem sam autor. ■ W Detroit Białoruska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna wygrała proces sądowy z unitami o tutejszą cerkiew i pieniądze należące do parafii Świętego Ducha. Ostry konflikt między prawosławnymi a katolikami nadal rozrywa emigrację białoruską i przyćmiewa wszelkie spory polityczne.

Józef DARSKI

## Kronika kulturalna

### Archipelag New York

Po dwuletniej nieobecności Nowy Jork poraża brzydotą, wstrząsą tempem życia, ogłusza hałasem, rani agresją. Reemigrant nowojorski, po długich wakacjach w Paryżu, toczących się jak na zwolnionym filmie, rozgląda się wokoło w zdumieniu: dokąd ci ludzie tak pędzą, gdzie się podziały rozpadające się czynszówki w sąsiedztwie, skąd się tu w tak krótkim czasie wzięły nowe kilkudziesięciopiętrowe ściany ze szkła i betonu, żeby zamienić przechodniów w pospieszne mrówki? Wszystko jest tu w ciągłym stawaniu się. Pejzaż miejski potrafi przekształcać się na oczach. Konstrukcje stalowe wieżowców montują ekipy złożone z Indian (nazywa się ich grzecznościowo *rdzennymi Amerykanami*), którzy nie znają lęku przestrzeni. Na takie zatrudnienie, dobrze płatne, może dziś liczyć późny wnuk Skórzanej Pończochy. Nie są jednak Indianie wyłącznie ofiarami. Zgubiła ich kiedyś dziecinna chytrość. Bądź co bądź Manhattan (w języku Indian Algonquin — „górzysta kraina”) został sprzedany przez szczep z Long Island osadnikom z Holandii za sumę 25 dolarów. Wraz z mieszkańcami — właśnie szczepem Algonquin. Sprzedana ziemia wcale nie była własnością sprzedających. Indianie ze szczepu Algonquin postąpili tak samo: sprzedali Holendrom Long Island, wraz z mieszkańcami, z zemsty lub wyrachowania, co na jedno wychodzi. I tak oto, podzieleni i słabi, dostali się w niewolę. A sprzedaż Manhattanu i Long Island trwa nadal. Teraz wykupują nas Japończycy. Wcale się tu nie osiedlają, lecz ze swoich stalowych wież w Tokio lub Osaka wysyłają teleksy. Skupują wieżowce jak pęczki szparagów. Kto da więcej?

W tym mieście można się bardzo tanio urządzać, jeśli ktoś ma skromne wymagania i za dobytek wystarczy mu torba plastykowa, a za poduszkę — murawa Parku Centralnego. Ale rządzi

nami Prawo Kontrastu. Łaskawie nam panujący burmistrz Edward Koch (tytuł *doża* bardziej by chyba oddawał istotę jego władzy oraz właściwości topograficzne Archipelagu Nowojorskiego) zamyśla przeforsować myto w wysokości dziesięciu dolarów dziennie za prawo wjazdu samochodem na wyspę Manhattan w rannych godzinach szczytu. Byłby to więc dodatkowy podatek od wątpliwego luksusu posiadania tu samochodu, z którym zupełnie nie wiadomo co zrobić po wciśnięciu się przez jeden z mostów czy tuneli na wyspę, gdzie wszyscy pchają się nie bardzo wiadomo dlaczego. Kilkugodzinne zaparkowanie pojazdu kosztuje dziś więcej niż sprzedaż Manhattanu trzy wieki temu. Należałoby wymyślić samochód nadmuchiwany, który po zrolowaniu wkładałoby się niedbałym gestem do kieszeni. Tymczasem samochodów jest tak dużo, że głównie stoją na jezdniach. Piesi są zupełnie zobojętniali na dźwięki, napisy, ryki sygnarów alarmowych. Nikt nie ustępuje z drogi nawet gdy karetka reanimacyjna włącza na pełny regulator swojego wyjca, miga światłami i kierowca apeluje do sumień przy pomocy megafonu. Nie nazwałabym tego obojętnością. Jest to po prostu przystosowanie się do warunków życia.

Po pierwszej reakcji wstrząsowej reemigrant rozgląda się za tem innym okiem po swoim stanie posiadania. Ma bowiem w stosunku do tego miasta silne poczucie własności, jak każdy niemal czasowy jego mieszkaniec. I nie może wyjść z podziwu nad jego energią, czasem robiącą wrażenie przelewania pustego w próżne. Ruch zaczyna się tu wcześniej. Ludzie walą do pracy od świtu — pieszo, autokarami, metrem, limuzynami, taksówkami. Przed szóstą rano ulice w Manhattanie są opustoszałe, ale bynajmniej nie puste. Już pierwsi entuzjaści biegów po zdrowie zmierzają truchtem do Parku Centralnego. Samochody dostawcze rozwożą płachty gazet do kiosków. Już się można napić wodnistej kawy z tekturowego kubka i zagryźć bajglem albo rogalikiem. Nieliczni przechodnie pozdrawiają się wzajemnie w świtowym rozrzedzeniu i w tej wiosce manhattańskiej dalej jakby obowiązywała zasada kochaj bliźniego... Portierzy w liberiach kłaniają się nieznajomym na chodniku nie gestem sługi, lecz równego.

Nowy Jork trwa w stanie uśpionego czuwania dokładnie do godz. 6.50 rano u zbiegu arterii pod- i naziemnych, Grand Central Station. Warto tam stanąć tuż przed siódmą i obserwować, jak z wyjść podziemnych walą rytmicznie tłumy, rzucają się do taksówek i autobusów. Wszystko odbywa się w rytmie skurczów i rozkurczów szybko bijącego serca. Energia w garniturach i sukniach wylewa się na ulice. Zaczyna się kolejny dzień pracy dla prezesa banku i kieszonkowca, komiwojażera i handlarza narkotykami.

Niech się jednak komu nie zdaje, że nowojorczenie znają swój

archipelag (tylko jedna jego część, Bronx, leży na lądzie stałym). Miasto jest niepoznawalne. Jak je zresztą poznać oraz po co, skoro człowiek ruchem wahadłowym jeździ, najczęściej pod ziemią, z domu do pracy, z pracy do domu, a jeśli jeździ własnym samochodem, to kontempluje jedynie zderzak i tylne światła swojego poprzednika. *The New York Times* jest jednym z najlepszych przewodników codziennych o życiu Naszego Miasta, ale czas potrzebny na dokładne zapoznanie się z zawartością gazety zająłby pół dnia. Niedzielne wydanie *Times'a* waży parę kilo. Ludzie targają tę górę papieru jak jakieś precjoza w niedzielne ranki. A przecież jest to zaledwie jeden z filarów komunikacji międzyludzkiej w Nowym Jorku. Większość stacji telewizyjnych działa 24 godziny na dobę. Dzięki telewizji kablowej użytkownik ma średnio ponad 30 kanałów do wyboru. Stacji radiowych jest koło setki.

O Nowym Jorku można pisać ody do wielości. *The New York Times* w niedawnym artykule redakcyjnym doniósł, że dwie grupy mieszkańców tutejszego archipelagu rosną najszybciej w liczbach bezwzględnych: te z dochodem rocznym powyżej 120 tysięcy dolarów rocznie i te bez żadnych środków oraz bez dachu nad głową. A najbardziej, jak zwykle, dostają po głowie ci najliczniejsi, z klasy średniej. Ci naprawdę utrzymują i jednych, i drugich. Podatnicy płacą w Nowym Jorku majątek na zapewnienie tymczasowego lokum rodzinom biedaków. Te sumy, rzędu tysięcy dolarów miesięcznie za wynajem nory w ruderze, mieniającej się hotelem, płaci miasto chytrym właścicielom. Jest to jeden z niepojętych absurdów. Z drugiej jednak strony spory odłam bezdomnych gustuje w życiu nomadów i opieką charytatywną gardzi. Żebractwo dla osoby znającej życie jest ogromnie popłatnym zajęciem. Ludzie dają pieniądze, żeby pokryć zmieszanie, uspokoić wyrzuty sumienia. W modzie są obecnie u żebraków fachowo wykonane tabliczki obwieszczające „Jestem chory na AIDS”. Ich wartość rynkowa jest jeszcze nie sprawdzona. Niektórzy przechodnie wpadają w panikę. Słowo AIDS jest tu równoznaczne z apokalipsą. I rozpacz ludzi ogarnia prawdziwa, gdy codziennie żegnają kolejne jego ofiary, sławne na świat i okolice lub anonimowe. Szpital miejski Bellevue jest właściwie jednym wielkim oddziałem chorych na śmiertelne komplikacje AIDS.

Bo nie jest prawdą, że nowojorczenie są cynikami i brutalami. Odwrotnie — cechuje ich niezbędna wyrozumiałość wobec bliźnich. Bo przecież mogliby się wzajemnie powyrzynać. Takie wypadki zdarzają się codziennie, ale należą do wyjątków, a nie do reguły, w tym metropolii, które z przyległościami zaludnia kilkanaście milionów ludzi.

Kto tu mówi poprawnym angielskim? Taki należy do rzadkości. Koreański, hiszpański, żydowski, włoski, polski, hindu —

owszem, te języki są w codziennym użyciu. I nikt się nie przejmie gwałceniem mowy Szekspira. Nikomu tu też nie można nawymyślać od cudzoziemców, bo w odpowiedzi od razu usłyszysz to samo. A rodowity Amerykanin też się nie zastąpi, bo się dowie, co jego przodkowie zrobili Murzynom i Indianom.

Po tych kilku słowach niezbędnego wprowadzenia, pora rozpocząć sezon jesienno-zimowy 1987/1988. Faktyczna jego inauguracja rozpoczyna się, jak co roku, od Święta Pracy, w pierwszy poniedziałek września. Jest to amerykański odpowiednik Pierwszego Maja. Związkowcy mają swoje pochody. Od tego dnia nie ma praktycznie *weekend'u*, by nie odbywały się jakieś festyny i parady uliczne. We wrześniu mieliśmy Festiwal Wieloetniczny Trzeciej Alei, bieg uliczny długości jednej mili pod auspicjami Mercedesa, a w niedzielę 4 października Polonia święci pochodem w Nowym Jorku jednego ze swych patronów, Kazimierza Pułaskiego.

Trwa zarazem Nowojorski Festiwal Filmowy w kombinacji operowo-teatralnym pn. Lincoln Center. Inaugurował go film „Oczy czorne” Nikity Michalkowa, nakręcony we Włoszech na podstawie opowiadań Czechowa. Główną rolę gra Marcello Mastroianni, który w związku z premierą amerykańską przyjechał do naszej metropolii i jest witany z uwielbieniem przez mężczyzn i kobiety. Wzbudza nasze najwyższe uczucia do wszystkiego co włoskie, także do naszego gubernatora stanu Nowy Jork, Mario Cuomo, który nie chce stawać do wyścigów prezydenckich i w związku z tym Partia Demokratyczna nie ma na razie żadnego kandydata z klasą. Cuomo, nawiasem mówiąc, był ostatnio w Moskwie równie czule witany co Mastroianni w Nowym Jorku.

W Metropolitan Museum, które też rozrasta się w oczach i ciągle przybiera mu nowych pawilonów, od końca września do połowy grudnia trwa imponująca wystawa retrospektywna Francisco Zurbarana (1598-1664), współczesnego Szekspirowi malarza z Sewilli, w obecnej hierarchii — drugiego po Velasquezie mistrza hiszpańskiego Złotego Wieku. Obrazy na tę wystawę ściągnięto z kilku kontynentów i kilkunastu krajów. Miał przybyć jeden Zurbaran z Polski, ale nie dojechał. Wspaniały malarz stanów mistycznych i tkanin, a także martwych natur, wprowadza swymi dziełami w wielkie napięcie dramatyczne. Jego płótna zdumiewają do dziś niepokojącą symboliką. W „Wieczerzy w Emmaus” Chrystus, czarnowłosa, z czarną brodą, w czarnym kapeluszu, jest ciemny i posępny. Święty Franciszek z kapturem zastaniającym niemal całą twarz, kontemplujący czaszkę, przypomina raczej Hamleta niż świątobliwego zakonnika. Święty Serapion uwiązany powrozami, w ciężkim habicie z nie farbowanej zgrzebnej wełny, ciężko umiera w samotności. Tu widać, jak mistycyzm jest silnie zrośnięty z ciałem i *delectatio morosa*. Na wszystkich obrazach

z życia Jezusa widać niezwykle podobieństwo między nim a świętym Józefem. Liczne wizerunki Niepokalanej przedstawiają ją jako wspartą na półksiężycu młodą dzieweczkę w białej koszuli i niebieskiej opończy, spod której wyglądają dziesiątki główek niemowlęcych. Dziwne wrażenie, bo nagle widz zaczyna się zastanawiać, że przecież tak można by również namalować alegorię Płodności Natury. Święte Dziewice u Zurbarana są piękne i strojne, bo jak informuje cytat z traktatu scholastycznego Ivana de Ayala, „dziewice z wiekiem nie tracą nic ze swoich wdzięków, czarów ni piękności”. Taka jest Święta Łucja z oczami wrosniętymi w tacę, którą trzyma w ręce.

W sali „Y” w Nowym Jorku odbył się pod koniec września wieczór autorski Mary McCarthy, pisarki znanej i cenionej w Polsce, a także wielkiej przyjaciółki wybranych Polaków (Jeleński, Lebenstein, Wojciech Karpiński i inni). Kilkaset osób przysłuchiwało się z uwagą i oznakami wesołości wybranym fragmentom jej najnowszej wersji autobiografii intelektualnej „Jak wzrastałam”. Mary McCarthy czytała o swoich doświadczeniach w Paryżu w latach trzydziestych, gdzie mieszkała jako *expatriate* z pierwszym mężem — aktorem. Oboje zdolali się obronić przed komunizmem, choć fascynował ich nad wyraz. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, uratowało pisarkę poczucie humoru i edukacja katolicka, w tym sensie, że już niczego na wiarę nie chciała przyjąć.

Książek w Nowym Jorku — stolicy wydawniczej USA — wychodzi co niemiara. Mówi mi Ewa Hoffman, starszy redaktor dodatku książkowego do *New York Times'a*, że redakcja otrzymuje dziennie około osiemdziesięciu książek do przeczytania i zrecenzowania. W związku z tym nikt już nie ma czasu na zapoznanie się z produkcją wydawniczą. Największy hałas obecnie wybuchł w związku z książką Boba Woodwarda (współautor książki o Watergate) poświęconą „tajnym wojnom CIA w latach 1983-1987” i osobie zmarłego niedawno dyrektora CIA, Williama Caseya. Woodward, wieloletni dziennikarz świetnego dziennika *Washington Post*, podał w niej rzekomy przebieg rozmowy z Caseyem na łożu śmierci. Szef CIA miał powiedzieć swojemu rozmówcy, co sądzi o prezydencie Reaganie („niekompetentny i leniwy” — cytuję za Woodwardem), o różnych przywódcach świata bliskowschodniego otrzymujących rzekomo kieszonkowe z funduszu CIA, o słabościach domowych płk. Kadafi („lubi chodzić w sukniach damskich”). Wdowa po Caseyu wystąpiła w telewizji twierdząc, że książka Woodwarda jest stekiem bzdur, że niemożliwe, aby jej mąż wybrał sobie takiego spowiednika i wyzionął ducha w jego obecności, i użyła na koniec typowego argumentu *ad personam*: „Bill [Casey] był człowiekiem o wybitnej inteligencji, podczas gdy Woodward nie jest inteligentny”, więc niby co

tych dwu mogło łączyć? Otóż opinia w Waszyngtonie o Woodwardzie nie jest taka, jak przedstawiła pani Casey. W środowisku dziennikarzy (a słyszałam to również od rodziców Petera Osnosa, państwa Marty i Józefa Osnosów — ich syn był kolegą redakcyjnym Woodwarda w *Washington Post*) uważa się go za człowieka nieposzlakowanego, który kłamstwem i zmyśleniem się nie trudni. Ciekawe też, kto był owym przesławnym „głębokim gardłem” spółki Bernstein-Woodward w cyklu artykułów o Watergate. Jego tożsamość nigdy nie została ujawniona.

W pismach tutejszych i w dyskusjach telewizyjnych komentuje się teraz wizytę papieża Jana Pawła II, który tym razem objechał w Stanach Zjednoczonych kresy południowe i zachodnie, a także zatrzymał się na koniec w punkcie kresów północnych, w Detroit. Niektórych swoich obserwatorów papież pozostawił w stanie osłupienia, w którym tkwią dotychczas, komunikując im, że Kościół nie jest demokracją, a wiara katolicka nie przypomina domu towarowego, w którym można sobie coś dobrać wedle własnego gustu i uznania.

W osłupienie wprowadził także Jan Paweł II tym, że w kwestiach społecznych, w stosunkach między pracodawcą i pracownikiem, w sprawach pokrzywdzonych mniejszości etnicznych wyrażał się wręcz socjalistą, a znowuż w kwestiach doktryny, hierarchicznego porządku, a także w sprawach życia seksualnego wiernych — opoką konserwatyzmu. I już do końca niektórzy dziennikarzy tutejsi nie mogli zrozumieć, czy mają do czynienia z jednym Pasterzem Kościoła Powszechnego, czy z dwoma pod jedną postacią. Nie byli nawet pewni, czy papież Jan Paweł II, który odwiedził po raz pierwszy w 1979 roku Stany Zjednoczone, jest aby na pewno tym, który teraz ponownie przyjechał z wizytą duszpasterską. Papież dla dziennikarzy w ogóle przedstawiał ostateczne wyzwanie w kategoriach — nazwijmy to — zawodowych. Kilkanaście tysięcy dziennikarzy otrzymało akredytację na obsługę wizyty papieskiej i wszyscy zażądali na piśmie prawa do przeprowadzenia oddzielnego wywiadu z Janem Pawłem II. Odbyło się jednak wszystko wedle sławnego prawa sformułowanego przez Marshalla McLuhana, *the medium is the message*. Oto szczytowy dowód na tę głęboką prawdę: sieć telewizyjna NBC, jak i pozostałe jej konkurentki, pierwszego dnia pobytu Jana Pawła II w USA nadawały swoje wieczorne dzienniki z Miami, na żywo. W tym celu każdy z Gwiazdorów Dziennikarstwa Telewizyjnego ze swą techniką też się udał do Miami, by stamtąd na gorąco relacjonować historyczne wydarzenie. Dziennik telewizyjny NBC prowadzi teraz Tom Brokaw, układny mężczyzna o przybliżonej fryzurze, ale dobrze mu z oczu patrzy. I oto około dziewiętnastej z minutami wieczorem 10 września kamery pokazują nam na żywo dwóch przywódców świata, jak wychodzą po rozmowie w cztery

oczy (bez tłumaczy, bez doradców) na temat dość frapujący dla ludzkości, a mianowicie próby zapobieżenia konfliktom zbrojnym grożącym katastrofą. I teraz Jan Paweł II w bieli idzie ramię w ramię z ubranym w beżowy garnitur prezydentem Ronaldem Reaganem. Dochodzą wolno, nadal pogrążeni w rozmowie, do niewielkiego podestu ustawionego w ogrodzie posiadłości rządowej w Miami. Sprawozdawca NBC Tom Brokaw zawieszając głos: zaraz się dowiemy szczegółów rozmowy poświęconej warunkom *modus vivendi* w Ameryce Środkowej, zwanej nie bez słuszności miękkim podbrzuszem Stanów Zjednoczonych. Najpierw mówi krótko prezydent. Zaraz po nim zabiera głos — na żywo, w transmisji telewizyjnej na cały kraj — papież Jan Paweł II. I wtedy obraz papieża znika, a Brokaw zduszonym szeptem coś mówi, że wrócimy za chwilę. Ekran natomiast wypełnia reklama soku pomarańczowego „Florida”, *nomen omen*. Najwyraźniej przywódcy świata zagadali się w rozmowie i nawet zapomnieli, że czas przeznaczony dla nich między jednym a drugim zestawem reklam już minął, a w ogóle jest krótki i drogi. Bardzo drogi, bo ileż to kosztowało przewiezienie całego studia Dziennika Telewizyjnego do Miami! A kolejne reklamówki wypycha na antenę nie człowiek, tylko komputer, któremu wszystko jedno kto akurat przemawia na żywo i o czym.

I po to trzeba było przewozić T. Brokawa z Nowego Jorku do Miami. Biedny Brokaw, w najlepszym garniturze, musiał się aż fatygować na Florydę, żeby zapowiedzieć reklamówkę soku pomarańczowego „Florida”. Potem nam oczywiście opowiedział własnymi słowami, co mówił papież Jan Paweł II po zakończeniu rozmowy w cztery oczy z prezydentem Reaganem, ale już nigdy nie usłyszeliśmy tego z ust Jana Pawła II.

Jesienna kronika z Archipelagu nie byłaby pełna bez dodatku nadzwyczajnego poświęconego przejawom życia polskiego. Gdzieś niegdzie się ono tli, a nawet wybucha płomykiem. Występy gościnne „Piwnicy pod Baranami”, która nawet w Alice Tully Hall o 1.200-osobowej widowni potrafiła stworzyć intymną atmosferę, należą do rzadkich sukcesów języka polskiego jako jednego z języków uniwersalnych w Nowym Jorku. Tysiąc dwieście osób władających bezbłędnie polskim (bo trzeba znać wszystkie jego odmiany, by móc odebrać twórczy wkład artystów) na spektaklu teatru poetycko-muzyczno-kabaretowego — to bardzo ciekawe. Skąd nas tu tak dużo? A i tak trzeba było naprędcę zorganizować drugi występ nowojorski, za tę samą wysoką dniówkę na każdą Baranią Głowę z Piwnicy, w wysokości 28 dolarów, bo tyle przewidywał hojny kontrakt dla artystów podpisany przez PAGART z miejscowym impresario. Cena biletu wynosiła mniej więcej równowartość dniówki dla artysty. I ta publiczność, czuła na wszystkie aluzje polityczne, reagująca jak pies Pawłowa na żarty

grube a sprośne, kwiat emigracji polityczno-wygnańczo-zarobkowej, zachowywała się tak samo w Alice Tully Hall co jej bratnia publiczność na festiwalu piosenki w Sopocie czy Opolu: to znaczy wpadała w hipnotyczną ekstazę i waliła rytmicznie w dłonie, gdy tylko rozbrzmiewały dźwięki trepaka czy kozaka. Nic to, że w wydaniu piwniczno-baranim był to pastisz, a adresatem pieśni *à la russe* był generał Koniew, któremu niedawno wystawiono pomnik w Krakowie, że zostawił go murowanym (Nowa Huta, Huta Skawina *et al.* kiedyś to naprawią). Uwodzicielski rytm ziemi rosyjskiej i tu był równie mocny. Nie wiem dlaczego zaczęłam w myślach recytować wiersz Adama Zagajewskiego „Rosja wchodzi do Polski”. Ach, my Słowianie...

Renata GORCZYŃSKA

P.S. Wkrótce zrelacjonuję, dlaczego w Nowym Jorku nie będzie wieloczynnościowego ośrodka społeczno-kulturalnego Polonii amerykańskiej na miejsce steranego życiem Domu Żołnierza przy Irving Place i dlaczego Instytut Piłsudskiego będzie musiał przenieść się wkrótce do nowego tańszego lokalu.

R. G.

## Medal Eddingtona dla Bohdana Paczyńskiego

Brytyjskie Royal Astronomical Society przyznało w tym roku medal Eddingtona profesorowi Uniwersytetu w Princeton, Bohdanowi Paczyńskiemu. Spośród żyjących astronomów jest on jednym z najwybitniejszych i najczęściej cytowanych. Prace Paczyńskiego obejmują prawie wszystkie działy astrofizyki i kosmologii. Najbardziej znany jest ze swych pionierskich badań ewolucji gwiazd oraz zjawisk zachodzących w układach gwiazd podwójnych. Jego programy komputerowe liczące ewolucje gwiazd używane są powszechnie na całym świecie. Paczyński stworzył podstawy kilku co najmniej teorii, które nadały kierunki rozwoju niektórym z najważniejszych działów współczesnej astrofizyki. W Princeton zajmuje się imponująco rozległą tematyką, obejmującą teorię obiektów silnie świecących w promieniach  $\gamma$  i X, teorię soczewek grawitacyjnych, wiatrami wiejącymi z powierzchni gwiazd neutronowych, wchłanianiem szybko wirującego gazu przez czarne dziury i — przede wszystkim — najcie-

kawszym obecnie problemem z pogranicza astrofizyki, fizyki i kosmologii — tak zwanymi strunami kosmicznymi.

Trudno mi rzeczowo omówić w krótkiej notatce na łamach *Kultury* wyjątkową doniosłość tych prac dla współczesnej astrofizyki. Główną przeszkodą jest sprawa języka. Jestem zawodowym astronomem. Od kilku pokoleń my, fizycy i astronomowie, mówimy o przyrodzie coraz bardziej ścisłym i przez to coraz bardziej hermetycznym językiem, niezrozumiałym nawet dla naszych kolegów z innych uniwersyteckich fakultetów. Świadomość fundamentalnego znaczenia filozoficznego dokonywanych obecnie odkryć umyka przez to na ogół uwadze wykształconej publiczności. Wielka szkoda, bo niegdyś, gdy mówiliśmy mniej precyzyjnie, lecz prościej, astronomią interesowano się powszechnie! Nowe odkrycia szybko przenikały z pracowni uczonych, stając się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Były nie tylko rozumiane, ale także żywo dyskutowane, modne. Pracom i działalności Galileusza towarzyszyły prawdziwe społeczne emocje. Pierre Simon de Laplace stał się bohaterem paryskich salonów po ogłoszeniu hipotezy, że układ słoneczny powstał z pierwotnej mgławicy — sam Napoleon przeglądał jego *Traité de mécanique céleste*, którego tom trzeci był zresztą dedykowany *Bonapartemu, pacyfikatorowi Europy, bohaterowi, któremu Francja zawdzięcza swą wielkość, dobrobyt i najświetniejszą epokę swej historii*.

Nie opisując zatem istoty odkryć i teorii Paczyńskiego (zrobione jest to np. w poświęconym mu artykule w tomie 57 *Mitteilungen der Astronomischen Gesellschaft*, Hamburg 1982), ograniczę się jedynie do podania kilku szczegółów jego naukowego życia.

Bohdan Paczyński urodził się w roku 1940 w Wilnie. Pierwszą pracę naukową opublikował jako szesnastoletni młodzieniec. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem zmarłego przed kilku laty Stefana Piotrowskiego. Profesorem Uniwersytetu Warszawskiego został przed ukończeniem trzydziestu lat, co w Polsce jest raczej wyjątkowe. Gdy w roku 1976 powołano go do Polskiej Akademii Nauk, był wówczas jej najmłodszym członkiem. Dzięki talentowi Paczyńskiego Warszawa w latach siedemdziesiątych była jednym z głównych ośrodków światowej astrofizyki teoretycznej. Odwiedzali nas wszyscy najlepsi z Zachodu i ze Wschodu. Amerykanie przyjeżdżali na wielomiesięczne staże i robili w Warszawie doktoraty. Pamiętam ten okres, jako najciekawszy w moim życiu. Robiliśmy w Polsce Wielką Naukę, skutecznie konkurowaliśmy z najlepszymi na świecie. Paczyński był naszym prawdziwym Mistrzem — nie tylko najbardziej kompetentnym fachowcem o nieprawdopodobnej erudycji i błyskotliwej intuicji, lecz także nauczycielem dbającym o sprawy życiowe uczniów. Jeden z moich młodszych kolegów zrobił doktorat dzięki prywatnemu stypendium ufundowanemu bez rozgłosu przez Paczyńskiego.

Stan wojenny zastał Paczyńskiego w Ameryce: był on wówczas wizytującym profesorem, Sherman Fairchild Distinguished

Scholar, w Caltechu. W roku 1982 przyjął profesurę zaofiarowaną mu przez Princeton University, jeden z najlepszych uniwersytetów na świecie. Od roku 1984 jest członkiem US National Academy of Sciences, o ile wiem jako jedyny Polak kiedykolwiek wybrany do tego elitarnego grona najwybitniejszych uczonych amerykańskich. Spośród innych przyznanych Paczyńskiemu nagród i odznaczeń wymienić trzeba Nagrodę Fundacji Jurzykowskiego (1982).

Oddalony od Warszawy, nadal żywo interesuje się sprawami warszawskiej astronomii, przeznaczając prywatnie niemałe fundusze na zakup książek, czasopism, komputerów, ułatwiając najzdolniejszym polskim astronomom odbywanie stażów na uniwersytetach amerykańskich. Przez ogromny, siedzący wśród starych drzew i rozległych trawników dom Bohdana i Hanksi Paczyńskich przewija się bez przerwy tłum gości, którym Profesor i jego piękna, elegancka żona szczerze ofiarują nie tylko domową gościnność, ale także princetoński *haven of peace*, niepowtarzalną, magiczną atmosferę takich miejsc jak Princeton, Oxford, Getynga.

Uroczyste wręczenie medalu Eddingtona odbędzie się jesienią tego roku na Uniwersytecie Cambridge, w Anglii. Serdeczne gratulacje, Bohdanie. *Quod bonum, felix faustum fortunatumque sit!*

Marek ABRAMOWICZ

## KOMUNIKAT

### O NAGRODACH NIEZALEŻNYCH DZIENNIKARZY ZA ROK 1986

Jury złożone z ubiegłorocznych laureatów nagród niezależnych dziennikarzy po rozpatrzeniu wielu kandydatur ogłasza listę honorowych nagród za rok 1986. Nie ma na niej niestety zespołów pracujących w „pierwszym obiegu”, którym jury także przyznało nagrody, lecz na umotywowane prośby zainteresowanych postanowiło ich nie ogłaszać. Jury wyraża nadzieję, że wcześniej czy później można będzie podać do publicznej wiadomości również te nagrody, które dziś muszą być pokryte milczeniem.

Skorygowana lista tegorocznych nagród niezależnych dziennikarzy obejmuje następujące osoby i zespoły:

1. Nagroda im. Bolesława Prusa (prawdziwa) za całokształt działalności publicznej:

1. Stefan Bratkowski — za niespożytą energię, inwencję, osiągnięcia publicystyczne, a w szczególności za *Gazetę dźwiękową* w jednym egzemplarzu.

2. Andrzej Osęka — za publicystykę o wybitnych walorach kulturotwórczych.

3. Leon Bójko — za publicystykę w *Przeglądzie Katolickim* oraz ukazującą się dziwnym trafem gdzie indziej.

4. Ewa Berberysz — za publicystykę w *Tygodniku Powszechnym* i za wywiady, drukowane tu i ówdzie bez wiedzy, zgody i ku zaskoczeniu Autorki.

II. Nagroda zespołowa im. „Po prostu”:

A. W dziedzinie radiofonii i telewizji — „Radio Solidarność”.

B. W kategorii czasopism: 1. pismo *Most* — Warszawa; 2. pismo *Obecność* — Wrocław; 3. pismo *Obraz* — Szczecin.

C. W kategorii gazet: 1. *Przegląd Wiadomości Agencyjnych* — Warszawa; 2. *KOS* — Warszawa; 3. *Hutnik* — Kraków.

III. Nagroda im. Stanisława Konarskiego za najlepsze książki 1986 roku:

1. Tomasz Łubieński za eseistyczną książkę „Bohaterowie naszych czasów”.

2. Barbara Łopieńska i Ewa Szymańska za „Stare numery” — rzecz o dziejach *Po Prostu*.

3. Piotr Wierzbicki za „Strukturę kłamstwa” — traktat o fałszerstwach propagandowych.

IV. Nagroda im. Jerzego Zielińskiego dla młodych dziennikarzy:

1. Włodzimierz Kalicki — za publicystykę, wywiady i reportaże w prasie katolickiej i innej.

2. Jacek Żakowski — miesięcznik *Powściągliwość i Praca* za znakomite reportaże.

Ponadto jury przyznało trzy wyróżnienia dla dziennikarzy młodych, śmiałych i ambitnych: 1. Andrzejowi Grajewskiemu z Katowic, 2. Elżbiecie Isakiewicz z Warszawy, 3. Jarosławowi A. Szczepańskiemu z Rzeszowa.

Wszystkim nagrodzonym i wyróżnionym ze wszystkich miast i obiegów jury składa serdeczne gratulacje oraz życzenia dalszych sukcesów — dla dobra polskiego dziennikarstwa, wszystkich czytelników, a zwłaszcza dla naszej wspólnej sprawy.

Warszawa, 17 czerwca 1987 r.

### ANEKS DO KOMUNIKATU JURY

Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz przewodniczący jury nagród niezależnych dziennikarzy 1986 — działając niezależnie i samorządnie — wnoszą dwuosobowo o ustanowienie nagrody im. Antoniego Slonimskiego dla mistrzów felietonu.

W oczekiwaniu na stosowną decyzję jury nagród niezależnych dziennikarzy, które będzie obradować w roku przyszłym, wyżej wymienieni ogłaszają tymczasowo własną nagrodę honorową im. Antoniego Slonimskiego i za jej pierwszego laureata uznają Aleksandra Jerzego Wieczorkowskiego — prawnika filozofa współczesności, który posługuje się formą błyskotliwego felietonu.

im potrzebne, a ich oczekiwania i nastroje, różne od myśli papieskich kazań, mogły wskazywać, że szukają czego innego i że — jak się wydaje — także ich dążenia nie są zupełnie zgodne z nauczaniem Papieża. Odświętny nastrój, który towarzyszył pobytowi biskupa Rzymu — widoczny w sposób niezwykle wyraźny w Gdyni i Gdańsku, ale charakteryzujący również pozostałe miasta (nie zgodziłbym się z negatywną oceną Warszawy) — tym ostrzej uwypuklał milczenie. Milczenie ludzi często zmęczonych po wielodniowych pieszych pielgrzymkach (jak to miało miejsce w Lublinie czy Tarnowie) było świadectwem nadziei, znakiem wiary, że zostaną zrozumiani i że czekają na odpowiedź. Tej nie otrzymali.

Po raz pierwszy nastroje i wiara mas rozdzieliły się tak radykalnie z tym, co miał im do przekazania Jan Paweł II. Miało się wrażenie, że ludziom wyczekującym godzinami na przybycie Ojca Świętego jego homilie przyniosły rozczarowanie: przychodziły obok myśli i serc, były adresowane do innego kraju.

A może odwrotnie. To nie Papież stracił swój dar wpływania na tłumy i bezbłędnego odczytywania uczuć, lecz oni, zgromadzeni wokół ołtarzy, zapędzeni do ciasnych ulic, rewidowani, poddani psychologicznej dywersji (a też — nie łudźmy się — presji siły, płynącej ze zgromadzonych oddziałów milicji czy tysięcy ubeków) są inni, nie tacy, jacy byli jeszcze niedawno, odmienni niż mówią sondaże socjologiczne, niż daje się wyczytać z błyskotliwych analiz publicystów. Dlatego za słabe i dalekie temu społeczeństwu okazały się słowa Papieża, teksty homilii, cała szeroko zakrojona i bez wątpienia atrakcyjna katecheza trzeciej pielgrzymki papieskiej.

Nawet jeżeli to zduszone, zbiedzone, uwikłane w codzienną walkę o materialne i duchowe przetrwanie społeczeństwo jeszcze nie wie do końca, czym i jakie jest i czego chce, przecież jego milczenie przekazuje wprost i bez kłamstwa (tego, które we wzmożony sposób, porównywalny tylko z okresem stalinizmu, sączy się od grudnia 1981 roku z PRL-owskich mass mediów), co odrzuca, na co się godzi i w imię czego milionowymi rzeszami przybyło do biskupa Rzymu.

Trafniej jest powiedzieć tak właśnie: nie On przybył do nich, ale oni do Niego. I dlatego milczenie, które zawisło w powietrzu, wyrażało nie tylko cierpienie i ból narodu zdradzonego (także i przez siebie samego) i świadomego całkowitej klęski dotychczasowych autorytetów społecznych, ale także reakcję przeciw złu, złączoną z poczuciem siły. Nie wiadomo jednak, jak z niej skorzystać, aby przyniosła odmianę. Jej symbolem miał się okazać (po raz trzeci już!) Papież. Tymczasem Jego nauczanie nie dość wyraźnie (jedynie w Gdyni i Gdańsku mocniej) wyrażało wolę

## Wolna trybuna

### Inny kraj

To była potrzebna pielgrzymka. Wbrew wcześniejszym obawom, wbrew próbom wykorzystania jej dla doraźnych celów, w miarę upływu czasu coraz wyraźniej widać jej znaczenie. Co prawda nie takie, jakie zakładała sobie strona kościelna, uosabiana postaciami warszawsko-gnieźnieńskich kurialistów czy watykańskich dyplomatów; inne też od oczekiwań społecznych i od komunistycznych prób sterowania jej charakterem. Pomylili się wszyscy, gdyż obarczyli Jana Pawła II rolę polityczną, której nie chciał zagrać. Już kiedyś za wiarę w cud papieski i nadzieje pokładane w Watykanie przyszło zapłacić, gdy w najgorętszym okresie pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981 nie było komu w kraju podjąć odpowiedzialności politycznej za naród. Zemściła się w ten sposób podszyta histerią niezdolność do działania przeciw dotychczasowym autorytetom społecznym. A Karol Wojtyła został zredukowany do symbolu, który miał uspokoić nieczyste sumienie narodowe. Jego wybór zrozumiano jako rodzaj historycznej rekompensaty i formę pociechy w trudnościach politycznego istnienia narodu. Nie pogłębiły się jednak przezeń (także niewiele tu zmieniły dwie kolejne pielgrzymki z 1979 i 1983 roku) samopoznanie społeczne, zdolność do wyciągania wniosków z sytuacji i możliwości jej odmiany.

Dlatego tak ważna okazała się trzecia wizyta, której zasadniczym skutkiem jest wyraźne przekroczenie przez społeczeństwo zaczarowanego koła wykreślanego dotąd charyzmatyczną postacią Jana Pawła II. Wielkie rzesze zgromadzone w lubelskiej dzielnicy Czuby, na tarnowskich Falklandach, gdańskiej Zaspie, czy warszawskich placach (w tym przed Pałacem Kultury im. Józefa Stalina w sposób szczególnie wyraźny) nie znajdowały w homiliach upragnionego i niezwykle czczonego gościa tego, co było



katolickiej społeczności Polski wyjścia z ram pojałtańskiego układu ekonomicznych i politycznych zależności. Zignorowane zostały oczekiwania i zawiedzione nadzieje (często podszyte rozpaczą) tysiacy, którym nie wystarcza odwołanie do eschatologii i przeniesienie nadziei w przyszłość. Ich wiara zdążyła także w stronę ziemskiego spełnienia i pragnie wyrwać się za wszelką cenę — nawet kosztem moralnych cnót — z pęt systemu komunistycznego. Chcą życia wbrew nudzie i gryzącemu jak mól smutkowi niereczywistości PRL-owskiej. Przeciw hamującej wszelki ruch zgodzie na to, co jest, przeciw poddaniu się, w przekonaniu, że wszystko zostało odłożone na nie wiadomo kiedy, że ważne są tylko duchowe przymioty kosztom rozwoju technicznego, gospodarki, namiętności i ambicji.

Życie, które w Polsce znajduje sobie oparcie głównie we wszystkich, co działają i myślą wbrew prawu, bez kompromisów, a nawet przeciw moralności (indywidualnej, bo społecznie dałoby się ich rozgrzeszyć), czyli u buntowników — do ich szeregów można zaliczyć nie tylko podziemie polityczne: wydawców gazetek czy kolporterów prasy, ale i gospodarce: właścicieli prywatnych firm na granicy systemu politycznego czy przemysłników zastępujących niedołężny handel państwowy — Jan Paweł II pominął milczeniem. Jakby zamknął uszy i oczy na wszystko, co słychać i widać naokoło. Na swój naród, na jego powolne, dramatyczne, czasami pełne tchórzostwa, egoizmu i rozpachy wychodzenie z komunizmu, w który został wepchnięty przed czterdziestu laty.

Podczas papieskiej pielgrzymki, której celem religijnym był Kongres Eucharystyczny (słabe jego przygotowanie i fakt, że Kościół po raz kolejny zdał się na Ojca Świętego, który ma wszystko zastąpić, słabości teologiczne i duszpasterskie, to odrębna i niezwykle smutna sprawa) z motywem przewodnim: „do końca ich umiłowaliśmy”, wziętym z Ewangelii św. Jana 13,1; społeczeństwo po raz pierwszy rozpoznało siebie. Poczuło nie tylko, jak w 1979 roku, że jest, ale że myśli inaczej, że jest inne. Pełne wad, ale i siły, znikczemnione, ale i spragnione wolności, odarte ze złudzeń i pełne wiary w konieczność życia jako najwyższej wartości, która godzi w nędzę i śmierć — te dwa wyróżniki sowieckiego systemu. Życia, które trwa na gruzach wszystkiego, pomimo zbieranych nieustannie ciągów, wbrew otaczającemu bezwładowi, nicości, kłamstwu.

Spychani wciąż do komunistycznej krainy pozorów, Polacy chcą żyć. Podnoszą głowy i przybliżają koniec systemu (a więc w rezultacie są po stronie tego lepszego moralnie świata, którego obraz stawił im Papież wielokrotnie przed oczyma) odruchami samoobrony. Także tych najbardziej skądinąd naganych jak korpucja (coraz powszechniejsza i tocząca niczym rak całe społeczeństwo), jak czarny rynek, jak chociażby — najgorsze i najbardziej

dokuczliwe — złodziejstwo. Jak sieć codziennych zabiegów poniżających człowieka, który musi łamać zasady moralne i w ten sposób przeciwdziała niewolnicznemu prawu. Paradoksalnie są one z ducha komunizmu, który nie pozwala normalnie pracować, zarabiać, mieszkać, żyć, i zarazem przeciw niemu. Jakby poprzez indywidualne zło postępował rozkład systemu i jakby jego potworna gęba przybierała cechy drobnego złodziejzka, marnego kłamcy, bufonowatego propagandysty, zapijaczonego milicjanta. Z którymi daje się wytrzymać, obok których można już żyć, których siła roztapia się w nerwowym, namiętnym, szukającym praw do istnienia i hardym, bo wolnym tłumie polskim.

Groźna to walka. Jej ofiarą padają nazbyt rygorystyczne i niezdolne objąć złożoności spraw normy, ale i my wszyscy. Ci, którzy odważamy się żyć i pragniemy zmian. Niewiele z tego decydującego o przyszłości kraju starcia o wręcz historycznym znaczeniu przedostało się do pielgrzymkowych nauk Jana Pawła II.

Po części można obwinić o to przybywających do Rzymu i sączących swoją niewiarę, małoduszność, oddalonych od reszty społeczeństwa, katolickich (i nie tylko katolickich) intelektualistów. To byłoby jednak za mało i pochopnie. Przyczyny rozmińnięcia leżą głębiej. Są bardziej ogólne i dotyczą istoty sytuacji Kościoła w Polsce. Dystansowania się przezeń wobec kosztownej, ale i koniecznej potrzeby współżycia z narodem poza narzuconym światem fasad, pustej retoryki — na gruncie zasad etycznych, które całkowicie kwestionują komunizm. W rezultacie Kościół polski pozostaje w tyle i nie uświadamia sobie, że znaczna część społeczeństwa jest dalej niż sądził, że inne są jego oczekiwania, inny krąg ambicji, inne życie, jakiego pragną, inne samopoczucie. Nie uświadamia sobie i Papieżowi. I dlatego z czym innym przyjechał Jan Paweł II do kraju, a czego innego się po jego wizycie spodziewano.

Fałszywe było samo założenie wyjściowe. Mogło nie razić poprzednio, w 1979 czy w 1983, ale było zauważalne obecnie, szczególnie po wizycie Jaruzelskiego w Watykanie. Polska, którą odwiedzał Papież, chociaż jest jego ojczyzną i chociaż z jej kultury wyrósł, w coraz mniejszym stopniu daje oparcie milionom swych mieszkańców, nie jest ich ojczyzną, nie przekazuje im wzorów kulturalnych, uwieczona w państwie, które zaprzecza polskości, które zostało stworzone wbrew niej i przeciwko narodowi i jego życiu. Przeciw tejże kulturze, do której przynależności poczuwa się Karol Wojtyła, której nadaje tak wysoki wymiar. W państwie pozbawionym suwerenności, włączonym w obręb obozu o wielkoświatowych ambicjach, poddanym niszczącemu oddziaływaniu komunistycznej ideologii. Papież, głowa Kościoła katolickiego i zarazem władca małego, ale całkiem niezależnego państewka watykańskiego, przyjeżdżał do własnego narodu i był gościem

polskich katolików, ale zarazem z racji swych funkcji stawał przed ludźmi władzy, reprezentującymi podbity kraj, wrogów wolności, których rządy nie są usankcjonowane niczym poza siłą. Przyjechał, aby głosić prawdę i podtrzymywać moralnie społeczeństwo, którego jest ojcem i przywódcą w dużo większym stopniu niż rządowi dygnitarze, a zarazem nie mógł powiedzieć wprost, że żadna z instytucji politycznych w Polsce nie jest tym, czym winna być i o czym mówi jej nazwa. Parlament nie jest parlamentem, rząd nie jest rządem, państwo nie jest państwem.

Można rzec, że to dylemat, z którego nie ma wyjścia, że i Papież jest więźniem pojałtańskiego systemu, w którym spotykają się prawdziwe państwa i łże-państwa, prawdziwe ideologie i idee skłamanne, których jedynym celem jest ukryć gangsterskie treści. I że nie da się oszukać rzeczywistości przemilczaniem uwikłań, wypowiedaniem słów i nauk, które są prawdą, ale zarazem prawdę najważniejszą muszą przemilczeć, bo inaczej nie mogłyby mówić już niczego więcej.

Toteż każda z kolejnych pielgrzymek papieskich do Polski, niezależnie od wszystkich treści duchowych, religijnych, od niesionego przez nie posłania moralnego, kryła niebezpieczeństwo (którego zresztą praktycznie nie można chyba uniknąć) aprobowania systemu, przydawania mu brakujących racji. A zwracanie uwagi na dwuznaczność papieskiego pielgrzymowania — co w znacznej mierze w odniesieniu do ostatniej pielgrzymki podnosiła opozycja — niekoniecznie jest dowodem zaprzętaństwa narodowego, herezji, antyklerykalizmu bądź zacieklności politycznej. Raczej wzięciem pod uwagę i dopisaniem do ogólnego rachunku również strat.

Nie można pominąć również tego kontekstu wizyty w kraju uzależnionym w podstawowych kwestiach od decyzji sowieckiego imperium, gdzie w znaczny — wcale nie tak wąski — sposób zostały zawieszone reguły etyczne, gdzie zachować człowieczeństwo mogą bohaterowie, a przeważająca większość żyje w półcieniu dwuznacznych zachowań: kolaboracji, oportunistów, kłamstw. Poddani przymusowi ogłupiającej pracy, która nie przynosi satysfakcji moralnej i finansowej, Polacy nie mogą obronić indywidualnego istnienia bez zanegowania i zmiany rzeczywistości ogólnej, społeczno-politycznej. Dlatego zawodne są w tej sytuacji wszelkie apele o poprawę zachowań społecznych, o polepszenie etosu pracy.

Potrzeba nowej nauki i uwyrażnienia społecznych presji, państwowych i ideologicznych zniewoleń, jakim poddany jest człowiek w końcu dwudziestego wieku. Toteż rozminięcie się słów papieskich homilii z oczekiwaniami rzesz chłopskich i robotniczych jest częściowo skutkiem rozdźwięku pomiędzy społecznym

nauczaniem Kościoła a życiem ludzi pracy. Wywodzi się wprost z trwającego od XIX wieku grzechu zamykania oczu na prawdę o wyzysku ekonomicznym czy o opresji politycznej, jakim podlega współczesny człowiek. W ramach Polski dobrze to dostrzegał kardynał Wyszyński.

Czy z tego wynika, że papieskie nauczanie poza pociechą moralną nie wyrażało niczego więcej — tylko eufemistycznie i ogólnie wskazując zagrożenia i błędy ciężące nad wszystkimi (tak władzą, jak i jej poddanymi) bez wnikania w ich przyczyny? Czyżby Papież wzywał do przyjęcia narzuconych w Jałcie reguł gry (ich potwierdzeniem był 13 grudzień 1981), do kompromisu i pozbycia się złudzeń wobec własnych możliwości, które w zetknięciu z siłą instytucji komunistycznych są niewielkie — można co najwyżej z lekka mitygować barbarzyństwo komunizmu, ale zreformować go się nie da? Tak postarały się zinterpretować jego wypowiedzi niektóre środowiska katolickie, włącznie z ks. Prymasem, uznając w Janie Pawle II orędownika „realizmu politycznego”, w którego ramach nie mieszczą się marzenia o wolności politycznej i związkowej.

Zaprzeczyła temu homilia wygłoszona na Zaspie w Gdańsku, 12 czerwca, jednoznaczne potwierdzenie stanowiska głowy Kościoła Rzymskiego wobec „Solidarności”. „Umowy gdańskie” pozostaną w dziejach Polski wyrazem tej właśnie narastającej świadomości ludzi pracy odnośnie do całego ładu społeczno-moralnego na polskiej ziemi. Sięgają one swą genezą do tragicznego grudnia 1970 roku. I pozostają wciąż zadaniem do spełnienia”. Podkreślił w niej Ojciec Święty nie tylko solidarne więzy, które powinny łączyć Polaków ze sobą, ale i zasady i etyczne pojęcia znamienne dla prześladowanego od sześciu lat niezależnego związku zawodowego. Można jedynie żałować, że nie we wszystkich tekstach papieskiej pielgrzymki daje się odczytać równie głębokie i wnikliwie zrozumienie polskich problemów.

Chociażby w homilii z 11 czerwca, na szczecińskiej mszy św. dla rodzin: „Wszystko to sprawia — w powiązaniu ze szczególnymi uwarunkowaniami gospodarczymi (podkreślenie M.Z., gdyż eufemizm Papieża jest nie na miejscu w odniesieniu do sytuacji kraju) — że do rodziny polskiej wdziera się swoisty brak wrażliwości na pozamaterialne wartości pracy ludzkiej, zanik ufności w sens pracy uczciwej, brak widzenia jej celów na dłuższą metę, natomiast obserwuje się zjawisko tymczasowości, doraźności i życia z dnia na dzień, a czasem także chęć szukania — kosztem życia rodzinnego — zarobku i dobrobytu na obczyźnie”.

Jan Paweł II nie zdaje sobie sprawy z wymuszonej konieczności wyjazdów za granicę, z całkowitej klęski gospodarczej komunizmu w Polsce, której skutkami są zarówno przymus pracy kobiet, brak poczucia sensu ludzkiego wysiłku, marnotrawionego

od początku istnienia PRL-u, jak i emigracja zarobkowa. Tylko wyjazdy za chlebem, pełne dramatyzmu, nie wolne od goryczy i dla wyjeżdżających i dla ich rodzin, dają szansę kupienia mieszkania (zamiast czekania w kolejce po 20-30 lat) i przyzwoitego, na ludzkim poziomie życia. Po czterdziestu latach rządów komunistycznych — tak jak w XIX wieku — Polacy opuszczają kraj, bo pragną żyć normalnie, bo nie godzą się na warunki polityczne, na zrujnowaną ekonomię, na system ustrojowy. Rzucają wyzwania tym wszystkim, którzy zniszczyli Polskę i którzy spychają ją do rządu zasobnej w surowce kolonii.

Dlatego nie przystają do spowodowanej przez komunizm ruiny kraju papieskie stwierdzenia: „Słusznie więc ktoś w Polsce powiedział: 'została nam zadana praca nad pracą'. Tak. Wydarzenia lat osiemdziesiątych postawiły nam wszystkim to właśnie zadanie 'praca nad pracą'. W wielu wymiarach. Bo praca ludzka ma wiele wymiarów i aspektów dla niej istotnych. Stale więc pozostaje naszym polskim zadaniem praca nad pracą w odniesieniu do podstawowych praw i wymagań życia rodzinnego”. Powtórzone określenie Tischnera, „praca nad pracą” przypomina liczne ostatnio tezy tego wybitnego publicyisty, które dalekie od precyzji kamuflują istotę spraw i zaciemniają obraz sytuacji dużo protszej w oczach milionów Polaków niż sądzi ks. prof. Tischner. Ani on, ani — za nim — Ojciec Święty nie postawili prawdziwej diagnozy przyczyn złej pracy w Polsce. Tego, że na przeszkodzie stoją, zewnętrzne wobec ludzkich wysiłków i organizacji działań, struktury gospodarcze i polityczne. Dopiero dostrzeżenie złowieszczej mocy realiów komunistycznych pozwala porównywać pracę wykonywaną w kraju ze stosunkiem do niej na Zachodzie. W przeciwnym przypadku łatwo wpaść w koleiny mesjanizmu — a niektóre myśli Papieża posłużyły polskiemu samoderstwu ludzi niechętnych jakiegokolwiek krytycznej refleksji nad sobą i dziejami narodu.

Ta krytyczna refleksja nie ma na celu obniżenia wartości papieskiej katechezy. Wagę pielgrzymek Jana Pawła II należy jednak widzieć we właściwych proporcjach, bez przykładania do nich obcej im siatki pojęć i znaczeń i nie licząc na rozwijanie poprzez nie polskich spraw. Przy takim rozumieniu trzeciej pielgrzymki papieża do Polski nie będą już razić nadmierne uogólnienia czy wezwania do tłumów abstrahujące od rzeczywistego położenia ludzi. Na szczęście pomyłek tego rodzaju jest niewiele. Przeciwnie, okaże się, że niezależnie od nich można wydobyć z papieskich homilii odważną filozofię i głęboką teologię nadziei. Widoczny w nauczaniu Jana Pawła II — nie tylko skierowanym do Polaków — wysiłek przedarcia się przez ograniczenia swego urzędu i słabości doktryny społecznej Kościoła do prawdy o człowieku (także tym żyjącym w komunizmie).

Warto chociażby zwrócić uwagę na wygłoszone w auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przemówienie do świata nauki. Wobec nieustannych ataków na resztki wywalczonej przez „Solidarność” niezależności uniwersytetów i życia akademickiego przemijając zabrzmiało podkreślenie roli prawd naukowych w łączeniu ludzi wolnych i oczekiwań społeczeństwa wobec uczonych, którzy są mu winni krytyczne i odważne zarazem przemyślenie „spraw życia społecznego, struktury, organizacji pracy aż do samych założeń współczesnego organizmu państwowego pod kątem przyszłości młodego pokolenia na ziemi polskiej”.

Dopowiedzeniem tych słów było przemówienie do młodzieży na Westerplatte. „Nie można jednakże zapomnieć, że prawa człowieka są po to, ażeby każdy miał przestrzeń potrzebną do spełniania swoich zadań i powinności. Ażeby w ten sposób mógł się rozwijać. Mógł się stawać bardziej człowiekiem. Prawa człowieka muszą być podstawą tej moralnej mocy, którą człowiek osiąga przez wierność prawdzie i powinności. Przez wierność prawemu sumieniu”. I najostrzejsze wreszcie z Częstochowy (wygłoszone 12 czerwca), które stanowi swoistą syntezę papieskiej katechezy w Polsce. Przynajmniej z perspektywy tych, co cierpią, co są na dole.

„Nie wolno kusić! Nie wolno igrać ze złem! Nie wolno sprzedawać człowieka za zysk doraźny i niegodziwy, zdobywany na ludzkich słabościach i wadach! Nie wolno wykorzystywać i pogłębiać ludzkiej słabości! Nie wolno dopuszczać do degradacji człowieka, rodziny, społeczeństwa, gdy się za nie wzięło odpowiedzialność wobec historii!”.

Otwierała się wtedy przed słuchaczami przestrzeń zrozumienia, obszar wspólnoty, a wartości religijne zdawały się wiązać ze sobą na nowo pozrywane tkanki życia społecznego Kościoła i łączyć katolicką społeczność z katolicką hierarchią, z klerem, z instytucjami kościelnymi. Nie jest z tym najlepiej, gdyż obok rozkwitu pobożności, rozwoju materialnego i duchowego zaplecza katolicyzmu polskiego (nowe parafie, seminaria, powstanie wielu — na wysokim poziomie — ośrodków myśli naukowej: teologicznej i w zakresie filozofii chrześcijańskiej) daje się zauważyć niedowład organizacyjny, zanik myślenia społecznego i odpowiedzialności za przyszłość kultury, triumfalizm i pychę księży oraz kościelnych placówek: redakcji i wydawnictw, kurii i prowincji zakonnych.

Pod świetnością Kościoła — przeżywającego okres chwały, jak nigdy w tysiącleciu — kryje się słabość. Jego zewnętrzna siła utrudnia dostrzeżenie kryzysu, który już niedługo może zachwiać jego podstawami. I dlatego smutkiem i niepokojem napełniają serca (nie tylko katolików) zauważalne podczas tej pielgrzymki ślady indolencji organizatorów kościelnych. A przede wszystkim tych,

którzy zapraszając Ojca Świętego, tylko na jego barki złożyli rezultaty Kongresu Eucharystycznego.

Bez obecności Papieża, bez Jego nieustannych odwołań do wartości i do problemów życia eucharystycznego, Kongresu — prawie — nie dałoby się zauważyć. Wiedza o tej rangi religijnym przedsięwzięciu docierała do wiernych w kraju opłotkami. Zapomniano — o czym jednak pamiętał Jan Paweł II — że przyczyną wizyty papieskiej było kongresowe spotkanie. Zamierzany początkowo krótki pobyt Papieża na Kongresie rozszerzono do wielodniowej pielgrzymki. Można się z tego cieszyć, gdyby nie wysunięto w ten sposób osoby Papieża na pierwsze miejsce, tak że organizatorem nie starczyło już czasu i możliwości na nic innego. To przesunięcie do tylnych szeregów eucharystycznych obchodów dowiodło, że Kościół polski opiera swoje znaczenie, vitalność i perspektywę głównie — chyba — i jedynie na postaci Karola Wojtyły.

Bardzo znamienne, ale i niebezpieczne (znane zresztą z historii innych instytucji, nie tylko religijnych) jest poszukiwanie tożsamości i sprowadzenie wszystkich form działania do jednego tylko człowieka, nawet tak wybitnego jak papież. I nie chodzi przecież o normalną dla Kościoła katolickiego więź z hierarchią, z biskupem Rzymu, ile o widoczne obniżenie wymagań stawianych sobie, o nadmierne poczucie bezpieczeństwa, które powoduje zanik samokrytycyzmu kościelnych instytucji i samozadowolenie u poszczególnych osób z ich kręgów. Nie ma wówczas mowy o podejmowaniu wciąż drapieżnego wyzwania komunistycznego. Wydaje się, że jeżeli się tyle osiągnęło (a sukcesy Kościoła katolickiego w Polsce są znaczne), to można sobie pozwolić na optymizm, na opuszczenie rąk. Dotyczy to tyleż biskupów, co księży, których również sprowadza na manowce pozorna łatwość sytuacji, w jakiej przychodzi im pracować, brak oporu społecznego wobec ich stylu życia, względny, ale wcale niemały dobrobyt. Nie kto inny, ale właśnie Prymas Glemp ma w tych sprawach dobre rozeznanie i niejednokrotnie w alarmującym tonie zwracał uwagę na obniżenie etosu duchowieństwa polskiego. Świadczą też o tym słowa Jana Pawła II wypowiedziane w Tarnowie (10 czerwca w przemówieniu do duchowieństwa i zakonów podczas nieszpórów eucharystycznych).

„Przychodzą do Was ludzie udręczeni, poniżeni, zagrożeni w swoim człowieczeństwie. Szukają świadków przemienienia. Niech ich znajdują w Was. Niech nigdy ten, kto szuka świadka przemienienia, nie trafi na obojętność czy nieufność. Lepiej zaufać temu, kto może na zaufanie nie zasłużył, aniżeli odtrącić jednego, kto owej ufności jest spragniony i godny. Postawa taka odpowiada tradycjom polskiego kapłana i polskiego duszpasterstwa na ojczyźnej ziemi, czy też pośród zesłańców syberyjskich w czasach narodowej niewoli. W więzieniach i obozach koncentracyjnych

w okresie ostatniej okupacji. Kapłan, który dzielił losy swego narodu. Kapłan, który był bliski wszystkich jego doświadczeń. I stale bliski pozostaje. Iluż tutaj trzeba by przypomnieć, wymienić po imieniu? Aż do którego?... Aż chyba do tego Księdza Jerzego z warszawskiej parafii świętego Stanisława Kostki. Byłoby prawdziwym dramatem, gdyby sytuacja materialna księży, wolność od wielu codziennych udręek, z którymi muszą borykać się często świeccy, stworzyły pomiędzy duchowieństwem i wiernymi jakąś obcość. Jesteście z ludu i dla ludu. Pamiętajcie, że występujecie w imieniu Kościoła, który dziś w szczególny sposób wyraża swą 'opcję preferencjalną' na rzecz ubogich”.

Gdzie indziej (w Szczecinie) powtórzy Papież: „Musicie być solidarni z narodem. Stylem życia bliscy przeciętnej, owszem raczej uboższej rodziny”. Znac w tym niepokój Jana Pawła II o kraj, Kościół w Polsce, przyszłość katolicyzmu, dzisiaj święcącego dumnie swój triumf. Jednak jego błąk jest podejrzanej jakości i ostatnia czerwcową pielgrzymką pogrzebała wiele złudzeń. Ujawniła, jak niewielka jest przestrzeń społecznej wolności Kościoła polskiego, jak łatwo można go wykorzystać, poddać manipulacji władzy pod pretekstem mniemanych korzyści i koncesji. I jak nieprzygotowana jest do swoich zadań znaczna część kleru, któremu wiara katolickiego społeczeństwa służy jako alibi dla zaślonięcia swojej nieudolności.

Miarą był nie tyle przykry widok ujeżdżających milicyjne samochody księży, którzy ramię w ramię z agentami służb śledczych, z wyżyn megafonów i zza tarcz ZOMO nadzorowali pielgrzymów — co na szczęście zdarzało się rzadko — ile przekazanie milicji szerokich uprawnień do kontrolowania i nadrzędnej władzy nad wiernymi na placach czy w kościołach. Na ślepo i bez ograniczeń podżyrowali biskupi i księży polscy pielgrzymkowy weksel komunistycznej władzy, tłumacząc to sobie nadrzędnym znaczeniem papieskiej wizyty dla kraju. Czy nie lepiej było oprzeć się naciskom sił bezpieczeństwa, a już w żadnym razie nie pozwolić na dziwną wspólnotę duchownych w czarnych sutannach i jednako ubranych mężczyzn w ciemnych garniturach (z magazynów resortu spraw wewnętrznych)?

Pytanie jest bez odpowiedzi, bo na nią za późno. Naiwność polityczna hierarchii kościelnej może już niedługo odbić się na sytuacji Kościoła w Polsce. W trakcie pielgrzymki pojawiły się pierwsze sygnały lekceważącego traktowania kościelnych dostojników, którzy pozwolili się odizolować od mas wiernych, w postaci brutalności agentów tajnych służb, arogancji partyjnych sekretarzy (przykładem wystąpienia Jaruzelskiego: zarówno powitalne, jak i podczas ceremonii pożegnania, wygłoszone z butą funkcjonariusza stalinowskiego). A dobrą wykładnią prawdziwych intencji komunistycznej władzy były niezliczone utrudnienia czynione wier-

nym zdążającym na spotkanie z papieżem, kłamstwa propagandy i wreszcie — nie na ostatnim miejscu — bicie manifestantów i pielgrzymów w Krakowie, Gdańsku, aresztowania przewencyjne, skreślanie z list zaproszonych gości aktywistów opozycji.

Każda pokusa współpracy Kościoła katolickiego z komunizmem musi skończyć się klęską religii. Nawet drobny kompromis zagraża wartościom katolickiej nauki, budzi lęk przed jej wypaczeniem. Rozrywa jedność ideałów i praktyki — zasadniczy fundament chrześcijaństwa i Chrystusowego Kościoła. Nazbyt często ostatnio zapominają o tym kuriali urzędnicy, którzy chcieliby dowolnie przesunąć granicę oddzielającą to, co cesarskie od tego co boskie. Dobrze, że świadom tego jest Papież. Dzięki niemu ta trudna, dramatyczna pielgrzymka nie skończyła się fiaskiem, nie sprzedała zasad, które legły u podstaw sierpniowego buntu. Nie zniekształciła przestrzeni społecznej, o której mówił na Westerplatte i w Gdańsku.

Jan Paweł II po tygodniowej pielgrzymce opuścił Polskę. Pozostały jego słowa i wszystkie stare problemy kraju. Szalejący kryzys, z którego nie widać wyjścia, nędza oficjalnej polityki, rozdrażniającej wszystkich i nie obliczonej na nic, poza utrzymaniem władzy w ręku tej samej grupy. Zamknięcie możliwości życiowych, degradacja państwa, znikczemienie „ideologii”. To wszystko, czego w tej skali nie doświadczył żaden z pozostałych krajów sowieckiego bloku.

Ale obok tego są ludzie. Różni. Odważni i tchórzliwi, pełni wiary i małoduszni, gotowi na wolność i odmawiający jej przyjęcia. Różni, a przecież inni niż byli jeszcze niedawno. Z niepokojem patrzą w przyszłość i jednocześnie są coraz bliżsi odrzucenia przynoszącego niewolę systemu. Wymykają się pętom ideologii, realizują poza jej siecią i poza martwością i żalosną pustką oficjalnych struktur. I na tyle, na ile to możliwe — wciąż przecieży pozostała nienaruszona totalitarna istota ustroju — wydzierają władzy nowe obszary niezależności, budując świat alternatywny: prawa, rynku, ryzyka, podmiotowości. Nie jest im łatwo. Są bowiem w większości dziećmi komunistycznego wychowania, doktryny niszczącej świadomości od kołyski: w przedszkolu, szkołach, na uniwersytetach, w fabrykach. Muszą tyleż pokonać zewnętrzne ograniczenia, represyjny aparat, który broni nienaruszalności systemu, stoi na straży powszechnej nędzy, braku perspektyw, nierówności społecznych, ile dotrzeć i odrodzić w sobie samych zdegradowane poczucie rozsądku, przekreślić oportunistyczny, niechęć do samodzielnego życia, uwewnętrzniony strach, który przywiązuje do systemowej niewoli bardziej niż wszelkie kodeksy karne, idee, partyjny i policyjny nadzór.

Trzecia pielgrzymka papieska do ojczyzny mogła w tym do pomóc, gdyż wiele ze stwierdzeń Papieża otwierało ku przy-

szłości. A przede wszystkim dlatego, że pokazała jak inna jest Polska 1987 roku. I chociażby od tej strony patrząc, jej znaczenie pozostaje duże. Inne niż w czasie poprzednich wizyt, unaczyniające nową jakość społecznego życia Polaków, na powrót przywróconych sobie samym i wyślizgujących się — w znacznej mierze — z pęt socjalistycznego pozoru. Co nie znaczy, że system jest już do tego stopnia słaby, iż można go ignorować. Przeciwnie, schyłkowa faza, w którą wszedł, niesie ze sobą znaczne zagrożenia i niejednokrotnie skutki są równie niszczące jak jego poprzednie, czysto represyjne i totalitarne formy. Zresztą praktyczne doświadczenie dowodzi, że każda kolejna próba zreformowania systemu przynosiła w rezultacie coraz głębszy kryzys społeczny, gospodarczy, polityczny. Ustrój nie znosi bowiem wstrząsów i nie przyswaja sobie niczego, co nowe, co odmienne od jego utopijno-szaleńczego projektu socjalnego. Jego siłą jest nieruchawość, martwość, powtarzalność gestów, rytuał.

Nadzieja w tym, że również tego rodzaju przemian, odmienności, jakich doświadcza Polska od kilku lat nie uda się PRL-owi przetrzymać, że inny kraj jest bliższy niż myślimy, że ten inny kraj, inni ludzie stoją już przed drzwiami. Czeka. Trzeba ich tylko wpuścić. Potwierdziła to czerwcową pielgrzymką. Jej teologiczna, filozoficzna, religijna treść nie dotykała wprost splotu spraw społecznych i politycznych kraju, ale potwierdziła prawa człowieka, broniła prawdy i wyczuła na wolność. To wystarczy. Więcej nie trzeba. Reszta zależy już od społeczeństwa. Od Polaków. Od nas wszystkich.

Marek ZIELIŃSKI

**LEKARSTWA**

**BONY DOLAROWE**

dewizowe konta bankowe A

**HASKOBA Ltd**

81 Cromwell Road, London SW7 5BP

Tel. 01-373 7888. Telex London 23919



leński w liście półprywatnym do Romana Zimanda stwierdził, że Zygmunt Haupt jest dlań „największym artystą prozy emigracyjnej”. Zimand cytował z tego listu odczytał publicznie na sesji Instytutu Badań Literackich w Warszawie, w grudniu 1981 roku. Uwaga Jeleńskiego zacytowana przez Zimanda stała się następnie własnością ogółu, to jest takiego ogółu, który sięgnął po książkę *Literatura źle obecna* — zbiór referatów owej właśnie sesji IBL wydany nakładem Polonia Book Fund.

No i co? No i niewiele się zmieniło. Brak uwagi nie zamienił się w dar uwagi, choć wiadomość była radosna. Piszę o tym, bo sama czuję się winna tego grzechu. Wskutek zaniechania nie zweryfikowałam na własny użytek opinii K. A. Jeleńskiego. A przecież dla człowieka, który lubi czytać, była ekscytująca. Ale też Jeleński, ze swojej strony, tak samo za mało do lektury Haupta ponaglał, skoro w zbiorze esejów *Zbiegi okoliczności* (Instytut Literacki, 1984) nie uczynił nawet wzmianki o tak wysokiej swojej ocenie spuścizny literackiej Haupta, i gdyby nie zdanie zacytowane z jego listu przez Zimanda, nie dowiedzielibym się, jak ważny był dla niego Zygmunt Haupt.

Wiele zatem przyczyn złożyło się na to, że Zygmunt Haupt (1907-1975), autor *Pierścienia z papieru* (Instytut Literacki, 1963) wydanego w nakładzie 1.500 egzemplarzy, pozostał za życia prawie nieznanym, a po śmierci nie doceniony przez czytelników. Myślę jednak, że to się odmieni i że jego dzieło stanie się dla nas czasem odnalezionym. A może to my, czytelnicy, musieliśmy do Haupta *dojrzeć*, aby *dojrzeć* w nim prawdziwą wielkość i nie traktować jako jeszcze jednej wersji Latarnika.

Bo wzrostu był małego. I opublikował za życia jedną tylko książkę — zbiór opowiadań wybranych — oraz pewną liczbę opowiadań rozproszonych, które ogłaszał głównie w *Kulturze*. Zaledwie kilka z nich istnieje w przekładzie na angielski, najczęściej dokonanych przez samego autora, w archiwum pisarza, złożonym w Bibliotece Uniwersytetu Stanford w Kalifornii. Tam również znajduje się jego korespondencja. Zaczniemy jednak od tego, co Zygmunt Haupt sam napisał o sobie w związku *Nocie biograficznej*:

Urodził się w 1907 roku jako jeden z bliźniaków (matka ich nosiła w swym łonie równocześnie jednego późniejszego obywatela Stanów Zjednoczonych Brazylii i jednego przysłego obywatela Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej), na Podolu galicyjskim, w Ułaskowcach nad Seretem, gdzie co roku na Św. Jura odbywały się słynne jarmarki końskie, takie jak w Berdyczowie, Jarmolińcach i w Bałcie na Ukrainie zakordonowej. Ukończył I Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Lwowie, które tak przemianowano z dawnej I Szkoły Realnej im. Cesarza Franciszka Józefa I (jego nauczyciel literatury polskiej w gimnazjum, prof. Wincenty Kubik, który mu przepowiadał karierę literacką, bardzo był oburzony na to przemianowanie, twierdząc, że takich rzeczy się nie robi). We Lwowie studiował

## Książki

### Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu...

Arthurowi Hauptowi poświęcam

1. W oczach P.T. Redaktorów dwutomowej księgi *Literatura polska; Przewodnik encyklopedyczny*, PWN, Warszawa 1984, Zygmunt Haupt nie zasłużył sobie nawet na wzmiankę, nie mówiąc o osobnym haśle, choć należał już wtedy do zastępu zmarłych. Dla cenzury bywa to okolicznością łagodzącą w stosunku do pisarzy emigracyjnych. Zmarły staje się rozdziałem zamkniętym, żadnej niespodzianki nie sprawi. Nie wyskoczy nagle z jakąś nową ideą, którą dla dobra niedojrzałej większości należy trzymać przed nią w sekrecie. A zatem zмова milczenia w Polsce wokół pisarza, nawet po jego śmierci, i to pisarza nie piszącego pamfletów politycznych, wydaje się zagadkowa. A może zdecydowały nie tyle względy cenzuralne, lecz ów brak daru uwagi, o którym rozmyślał Gustaw Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*, we wpisie pod datą 27 kwietnia [1987]. Jest on dlań „więcej niż przyrodzoną ułomnością: ciężkim grzechem... jednym z dowodów na istnienie Diabła”. Ta gorzka uwaga ma — jak się można domyślać — pewien klucz osobisty, ale może należałoby też wyciągnąć z niej naukę bardziej uniwersalną. Bo prawdą jest, jak napisał Herling-Grudziński, że pozostajemy „ślepi i głusi” na wiele sygnałów zapowiadających nieszczęście zagrażające najbliższym nam ludziom. Ale — jak zauważył autor — jest to nawet „więcej niż przyrodzona” cecha; stanowi część natury ludzkiej. Prawdą jest również, jak sądzę, że nie reagujemy na niektóre sygnały po drugiej, radosnej skali, choć nie wiem, czy chciałabym udowodnić przy ich pomocy istnienie Anioła (bo to jest przeciwieństwo Diabła, nie Bóg). Nie chciałabym jednak pisać aluzyjnie czyli mętnie. Posłużę się konkretnym przykładem. Konstancy A. Je-

potem inżynierię i architekturę, ale tych studiów nie ukończył. W latach 1931/1932 zapisany do Instytutu Urbanistyki Uniwersytetu Paryskiego, tych studiów nie kończy, ale zajmuje się malowaniem i pisze. Po powrocie do kraju do roku 1939 mieszka stale we Lwowie, gdzie w dalszym ciągu maluje i pisze. Zmobilizowany w maju 1939, przydzielony do 10 Brygady Kawalerii, odbywa w niej kampanię w Polsce (jego dowódca dyonu, major Kazimierz Żmudziński, który zresztą ginie 2 września, przepowiada mu karierę wojskową, co się sprawdza, bo mundur nie zdejmuje przez osiem lat). Od roku 1947 mieszka w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Orleanie, w Nowym Jorku i ostatnie lata pod Waszyngtonem, w Wirginii.

Zauważyć wypada, że nota składa się z czterech członów. Pierwszych jedenaście i pół linii (liczę według udostępnionej mi kopii maszynopisu samego autora) informuje wyłącznie o dzieciństwie i chłopięctwie, z jednym istotnym wyjątkiem: antycypowaniem toku wydarzeń. Okresowi edukacji wyższej Haupt poświęca pięć i pół linii. Kluczowe wydaje się stwierdzenie, że w obu wypadkach studiów nie ukończył, bo jakby nie o to mu w życiu chodziło, by zostać architektem czy urbanistą. W dalszych pięciu liniach Haupt podaje lakoniczną wzmiankę o swoim doświadczeniu wojskowym w drugiej wojnie i po jej zakończeniu. Okres od przejścia do rezerwy w 1947 roku do bliżej niesprecyzowanego „teraz” (nota nie zawiera daty) zamyka autor w jednym, dwu- i półliniowym zdaniu. W tekście pada trzy razy słowo „Lwów”, a aluzja do koni — dwa razy. To tak jakby fakt, że Haupt urodził się w miejscowości słynnej z targów końskich, zdecydował o jego służbie w kawalerii. Co robił od 1947 roku w Stanach Zjednoczonych? Zdołałam ustalić, że jego żona pochodzi z Nowego Orleanu, gdzie nadal mieszka. W Waszyngtonie Haupt pracował dla USIA, Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych, której podlega między innymi radiostacja rządowa „Głos Ameryki” oraz niewydawane już pismo *Ameryka*. Haupt należał do zespołu redakcyjnego polskiej wersji *Ameryki* i jego szefem był zmarły niedawno Jan Erdman, zięć Melchiora Wańkowicza. Kłopot jednak z *Ameryką* polegał na tym, że była wydawana na błyszczącym papierze. Była to luksusowa, eksportowa wersja *Ameryki*. Pismo osiągało zapewne swój cel, choć niekoniecznie taki, jaki sobie wytyczyło kierownictwo. To racja, że upowszechniało mit Ameryki, ale wcale nie próbowało wyjaśnić, jak skomplikowanym jest ten kraj organizmem, jak ciekawą i trudną umową społeczną. Zagorzali wyznawcy pisma w Polsce pragnęli zatem nie tyle zostać w kraju urodzenia i starać się u siebie, wbrew wszelkim przeszkodom obiektywnym, wcielić zasady rządów większości (a jest to i przywilej, i ciężki obowiązek), lecz jak najszybciej zbiec do ziemi obiecanej objawionej na kredowym papierze, ze ślicznymi ilustracjami. Niektórzy, którym się udało, do końca już nie mogli pojąć, czym jest demokracja, wolność i równość.

Może dlatego Zygmunt Haupt nie wspomniał nawet o swojej pracy zawodowej w *Ameryce*. Było to zajęcie powierzchniowe, nawet pewnie nieźle płatne, ale Haupt za to też zapłacił daninę w postaci tekstów zapewne „moralnie obojętnych”. W wolnych chwilach zajmował się tym, co go naprawdę pasjonowało i czego dowodzą moje obliczenia statystyczne jego noty biograficznej. Te dane pokrywają się mniej więcej z zakresem tematów oraz ich układem w *Pierścieniu z papieru*. Trzon książki stanowią opowiadania z Podola. Paryż, w ujęciu prowincjonalnym, pojawia się migawkowo w opowiadaniu, w którym autor opisał, co robił tam w sezonie 1931/1932. Opowiadań wojennych jest niewiele. Opowiadań amerykańskich — tudzież. Całość zamyka się opowiadaniem tytułowym — o Powrocie. Na koniec autor załącza krótką nowelę „Fragmety”, jakby rodzaj intymnych przypisów do całej książki, albo posłowania które wiele tłumaczy. I tam właściwie bodaj po raz pierwszy wspomina z wielką czułością o swojej matce. Natomiast jego brat bliźniaczy jakby w ogóle wyparował z toku akcji, chyba że pojawia się pod przybraniami. A przecież wydawać by się mogło, że fakt posiadania brata bliźniaczego może być dla pisarza punktem wyjścia do wielu konstrukcji literackich. A może nie. Co innego wymyślać sobie *alter ego*, a co innego mieć je naprawdę.

Zygmunt Haupt zmarł 10 maja 1975 roku, w wieku 68 lat. „Miał zawał serca we śnie” — zdanie to ujmuję w cudzysłów, ponieważ jest cytatem z listu wdowy, pani Edith Haupt, do redakcji *Kultury*. A dokładniej, jest to cytat cytatu. Przytoczył je w krótkim tekście pt. „Zygmunt Haupt” niepodpisany autor nekrologu (*Kultura* nr 7-8/1975):

Śmierć Haupta jest dla *Kultury* bolesną stratą. Był związany z *Kulturą* niemal od początku jej istnienia, na naszych łamach narodził się późno i dojrzał jego nieprzeciętny talent pisarski. Pisanie było dla niego formą wypraw w przeszłość, ćwiczeń wierniej pamięci. Pamięci wierniej krajobrazowi, ludziom, językowi (czy raczej językom) Galicji Wschodniej. Znał „upór martwych rzeczy”, jak mało kto umiał z czułą miłością „zasłuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi, miasteczek i miast”, przywoływać „całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci”. Stworzył własny gatunek, w którym opowiadanie w stylu gawędy i dywagacja historyczna czy językowa połączyły się w piękny i jednorodny stop. Był człowiekiem cichym i skromnym, zakochanym w koniach i w „starych rupieciach”, uważał się bardziej za *outsider’a* literackiego i malarza niż za pisarza, ale jego jedynej książki „Pierścień z papieru” nie pominie żaden poważny historyk współczesnej literatury polskiej.

Dodam tytułem uzupełnienia, że jedyny syn Hauptów, Arthur, mieszka w Wirginii, służył w Korpusie Pokoju i choć rudymen-tarnie zna język polski, żywo interesuje się losem spuścizny pisarskiej ojca. Nie jest to jednak takie proste. Ponieważ twórczość Zygmunta Haupta tak słabo funkcjonuje w świadomości polskiej,

nie ma o niej rozpraw krytycznych (do wyjątków należy szkic K. Rutkowskiego we wrześniowym numerze *Kontakt* z 1986 r.) a zatem jego miłośnicy nie mogą się powołać na opinie uczonych mężów i choćby masą zadrukowanego papieru udowodnić krnąbrnym wydawcom amerykańskim, że Haupt jest wielkim pisarzem polskim. Nawet Czesław Miłosz, który, jak słyszałam, gorąco zaleca zachodnioeuropejskim i amerykańskim wydawcom wydanie przekładów opowiadań Haupta, też nie zostawił o nim świadectwa na piśmie w swojej *The History of Polish Literature*. Tego nazwiska w indeksie nie ma. No i jak oczekiwać, że obcojęzyczni dadzą się przekonać na wiarę?

A jednak nadszedł chyba dobry moment dla spuścizny literackiej Haupta, choćby z tego powodu, że wśród wydawców na Zachodzie rośnie zainteresowanie literaturą tej drugiej Europy, a na sesji w maju 1987 zorganizowanej staraniem polonisty i tłumacza francuskiego, Daniela Beauvois, na Uniwersytecie w Lille, poświęconej pisarzom kresowym, jeden z jej uczestników wygłosił odczyt o Zygmuncie Haupcie.

Należę do grona późnych jego czytelników. Informuję o tym fakcie, by nie przybierać fałszywej pozy lepiej wiedzącej. Należę pod tym względem do większości. W wyniku nieformalnego sondażu zorientowałam się, że w polskim Nowym Jorku rzadko kto o Hauptcie słyszał, a zaledwie jedna z indagowanych osób go czytała. Nie ma jednak co bić się w piersi, lecz zrobić z ręki inny użytek. Dlatego spróbuję teraz wytłumaczyć, dlaczego późne spotkanie z tomem *Pierścień z papieru* oraz ze sporą liczbą opowiadań rozproszonych było dla mnie doświadczeniem radosnym: odkryciem wielkiego pisarza języka polskiego.

2.

Tom tak zatytułowany liczy niespełna 250 stron i składa się z 25 opowiadań, a zatem średnio z utworów 10-stronicowych. Niektóre jednak są krótsze, jak „Deszcz” zajmujący trzy kartki, inne znów, jak „W Paryżu i w Arkadii” są zatem dłuższe, i to zmienne metrum wydaje się dość ważne. A zresztą „zbiór opowiadań” nie jest dla tej książki właściwym określeniem. Jest to w istocie bardzo zaszyfrowana autobiografia artystyczna, w której pewne fakty, zdarzenia, obrazy, poddane są destylacji i przetworzeniu. Układ i kolejność opowiadań w tym tomie są konsekwentnie przemyślane i tworzą pewną całość. To znaczy, czytelnik jest świadkiem epizodów z czyjegoś życia, pozostającego w cieniu, i tylko na chwilę rozświetlonego intensywnością przeżycia, podanego w niezwykłe wyszukanej formie. Są to błyski wyobraźni czy intuicji, która poznaje prawdziwą swoją naturę i naturę rzeczy, może nawet naturę bogów. Haupt był także malarzem

i bardzo żałuję, że nie miałam okazji dotychczas zobaczyć jego obrazów. Jak gdyby mogę się ich domyślać, ale mogę się też mylić. W każdym razie te obrazy istnieją.

Następne odkrycie, które na własny użytek podczas lektury *Pierścienia z papieru* uczyniłam, brzmi następująco: Zygmunt Haupt pragnie w oczach czytelników tylko uchodzić za prozaika. Jest to decyzja głęboko rozumna, wręcz zdroworozsądkowa. Któż w naszych czasach sięgnąłby po 250-stronicowy poemat w 25 pieśniach? To nie epoka *Beniowskiego*. Nawet przekonanie czytelnika do 25 opowiadań w zbiorze okazało się wystarczająco trudne. A zatem *Pierścień z papieru* jest poematem w utajeniu. Jest to bowiem proza tak rytmiczna, tak obrazowa, tak destylowana, że wystarczy mały zabieg z dziedziny drukarskiej, żeby wykryć zamiśl autora. Przypuszczam nawet, że chodziło mu o to, byśmy, jego czytelnicy, odkryli na własną rękę rzecz dlań oczywistą: Haupt nie jest prozaikiem, lecz poetą. Ale też wie, co to znaczy być poetą w czasach, gdy ludzie mówią prozą.

Postaram się teraz wsłuchać w paury i oddechy zdań Zygmunta Haupta, by przedstawić ową pozorną prozę w formie nie ciurkiem lecz słupkiem, co mogłoby wyglądać mniej więcej tak (celowo ograniczam na przykład przerzutnie). Najpierw wersja w zapisie typowym dla prozy:

A niemiecka piechota to znów szła na wschód w lecie, upale, ludzkie postaci obładowane ekwipunkiem, karabin mauzer uwieszony z przodu na szyi i przytrzymywany jedną ręką i buty krótkie, koziaki, o szwie z boku, mundury brudnoszarego koloru, workowate, bawarskie pułki z koroną na oksydowanych na oliwkowy kolor guzikach, pasy ciężko obładowane amunicją w ładownicach, wiszące na hakach wszytych pod pachami w mundur i łopatki z jednej strony nabeżone w piłę i spięte rzemieniem razem z bagnetem i pasy zapięte na klamrę, na której był w kole wytłoczony napis w metalu *Gott mit uns*, patetyczny i ubliżający Bogu napis. I hełmy o ciężkim okapie, hełmy jak u lancknechtów na miedziorznych Dürera.

A teraz ten sam fragment w hipotetycznym rozpianiu na wersy:

A niemiecka piechota to znów szła na wschód  
w lecie, upale, ludzkie postaci obładowane ekwipunkiem,  
karabin mauzer uwieszony z przodu na szyi  
i przytrzymywany jedną ręką  
i buty krótkie, koziaki o szwie z boku,  
mundury brudnoszarego koloru, workowate



bawarskie pułki z koroną na oksydowanych  
na oliwkowy kolor guzikach

.....  
napis w metalu *Gott mit uns*,  
patetyczny i ubliżający Bogu napis.

I hełmy o ciężkim okapie,  
hełmy jak u lancknechtów,  
na miedziorytach Dürera.

Powyższy fragment pokazuje nie tylko rytm tej prozy — jej fizycznym odpowiednikiem jest marsz, metrum cztery czwarte, ale i inne cechy pisarstwa Zygmunta Haupta. Jest on, jak większość pisarzy i poetów języka polskiego, wychowankiem obszaru, o którym mówimy „Kresy”, ale właściwie należałoby mówić „BezKresy”, ciągnące się w głąb Azji, ogromne w porównaniu z obszarem polskich ziem etnicznych lub za takie uważanych. Kresy to nie skraj kapelusza czy sukni, lecz „suchego przestwór oceanu”. Zygmunt Haupt ujrzał świat i zebrał pierwsze doświadczenia życiowe, o kluczowym znaczeniu dla całej swojej twórczości, w szczególnym miejscu i w szczególnym czasie. Jego punkt odniesienia znajdował się na terenie zaboru austriackiego, tuż przy granicy z zaborem rosyjskim. Miał lat siedem, gdy rozpoczęła się Wielka Wojna. Ujrzał ją jako niekończący się pochód, marsz nomadów, poprzebieranych na tę okoliczność w różne mundury. I tak to opisał. Jego oko zdumiewa darem uwagi. Opis przedmiotu u Haupta jest niesłychanie szczegółowy. Ale cóż się dzieje: mundury różnych armii, pokazane w najmniejszym detalu, w gruncie rzeczy są tylko kostiumem natury człowieka. Wojna z całym okrucieństwem, niewinnymi ofiarami, jest przede wszystkim marszem nomadów, i ludzie ci tylko idą, idą przed siebie, zdeptując innych, strzelając do przeszkód w postaci innych. Można się domyślać, że pewnie tak samo szli w czasie wielkiej wędrówki ludów, gdy szli przed siebie z subkontynentu indyjskiego. Ciekawe, że wojnę postrzega tak samo Miłosz, co zaświadcza i w swoich rozmowach z Ewą Czarnecką, opowiadając o tym, czym dla niego było wkroczenie w okolice Warszawy armii sowieckiej, i w niespełnionej, jakże szkoda, powieści *Zdobycie władzy*. I znów, po latach, do tego obrazu wraca Adam Zagajewski, który istotę wojny mógł tylko intuicyjnie przeczuć, bo jej nie pamięta (rocznik 1945) w niezwykłym wierszu „Rosja wchodzi do Polski”. Co więcej, im intensywniej pisarz będzie myślał o jakimś obrazie, przeczutym lub utrwalonym dzięki własnym oczom w pamięci, o obrazie, który nagle ukazuje jakąś prostą i wielką prawdę, tym kadencja jego świadectwa będzie się coraz bardziej rytmiczować. Dotyczy to w moim mniemaniu nie tylko literatów, artystów lecz i zwykłych ludzi, którzy wskutek niezwykłej siły przeżycia opo-

wiadają o nim potem rytmicznie, niezupełnie świadomie. Myślę w tym momencie o dwóch świadkach i zarazem ofiarach Rzezi (bo tak bym przetłumaczyła Holocaust), którzy o tym Lanzmannowi opowiadali, jak zahipnotyzowani. W filmie *Shoah*, który osobiście uważam za wielki, bo pokazujący nam prawdziwą naturę ludzką, i narodowości, jak mundury, niewiele mają z tym wspólnego, reżyser zastosował nie bez powodu montaż równoległy. Ci dwaj, zapatrzeni w głąb siebie, mówią dokładnie w tym samym rytmie, zstępując do otchłani.

Pierwszym objawieniem dla Zygmunta Haupta nie była jednak istota wojny, lecz śmierć jednostkowa. I dlatego, jak sądzę, tym opowiadaniem rozpoczyna się *Pierścień z papieru*. Jest to krótka nowela o jeździe u boku ojca, najpierw koleją potem saniami, w zadymce, z błędzeniem, do majątku dziadka, który leży na marach. Opowiadanie to ma inną, wcześniejszą wersję, drukowaną w *Kulturze* w 1951 roku, i wynika zeń, że w istocie chłopiec jechał na pogrzeb babki. Zmiana płci zmarłego w wersji późniejszej była świadomym zabiegiem artystycznym. Autorowi chodziło zapewne o osiągnięcie efektu rycerskiego eposu, obrazu trzech pokoleń, dziedziczenia po mieczu.

Prócz wczesnego spotkania ze śmiercią, bohater opowiadań Zygmunta Haupta doznał też młodo poznania, czym jest miłość. Tajemnicza krewna kryjąca się za pseudonimem literackim Elektry (ale Orestesem musiał być ktoś inny chyba) jest dlań pierwszym miłosnym wtajemniczeniem, ale wszystko odbywa się w sferze zmysłu wzroku, nie dotyku. Potem pojawiają się inne: Stefcia, Anusia, a narrator tożsamy często z „ja” poetyckim przypomina najczęściej młodego Kordiana. Ma jakąś skazę nie do uchwycenia werbalnego, która skazuje go na wzór miłości tragicznej. Jest jakiś pogrzeb nie nazwany i kroczenie za trumną. Kobieta — albo z konkretnym imieniem, albo nazwana najpiękniej, bo po prostu Panną, jak w „Gołębiach z Placu Teodora” zawsze odchodzi, rzuca, lub przypuszczalnie umiera, co jest też wersją odejścia — ostatecznego. Eros i Thanatos w wielu poetów w jednym stoją domu, ale intensywność u Haupta tej pary jest doprawdy niezwykła.

Drugi wyraźny rys emocjonalny tego zbioru objawia się współ-czuciem. Celowo rozdzielałam te dwa zrośnięte wyrazy, by przywrócić im pierwotne znaczenie. A więc litość dla pary małżonków, którzy „w czasie tamtej wojny” zostali upokorzeni w swojej godności ludzkiej i jakby dlatego zginęli w wypadku kolejowym, ale była to raczej konsekwencja śmierci cywilnej. Litość dla niemieckiego żołnierza, który poległ na Podolu w wieku 17 lat i teraz przesładuje, jak strzyga, pamięć opowiadającego. Litość dla pary ludzi („P.I.M.”), których łączy już tylko obopólna

nienawiść. Litość dla rozkładających się zwłok pozbawionych nawet cechy indywidualnej — głowy, litość dla ścierwa końskiego, które siła wyobraźni Haupta wzbija ponownie do pegazowego lotu. A jednak ten pozorny turpista i materialista, opłakujący powszechne zniszczenie, rozkład, też wierzy, że ciało, zgwałcone i podeptane, poniżone w swojej jedyności, zawiera w sobie pierwiastek niezniszczalny, boską iskrę energii. Bóg dla Haupta może oznacza sumę wszystkich energii przeszłych istot żywych. W jego alchemii organicznej nic, co raz istniało, nie ginie ostatecznie. To w planie metafizycznym, który teraz, trywializując ów mistrzowski rysunek, usiłuję wyłożyć. Bo Haupt jest jednocześnie realistą, nawet jeśli niektóre cząstki jego poematu są jakby zapisem z pogranicza snu i jawy. Należy do artystów słowa, którzy wychowali się blisko ziemi, i posiada ogromną wiedzę na temat wszelkich czynności z nią związanych. Nie jest jednak sielankowym piewcą wsi i widzi to samo na Podolu czy w Bretanii: zasadnicze okrucieństwo chłopca, nawet nieświadome, niezależnie od stopnia cywilizacji na danym obszarze, dyktowane przez skrajny utylitaryzm. Inne klasy nie są w istocie lepsze, ale osłaniają się cienką skorupką obyczaju, pękającą pod naporem innej, potężniejszej siły.

„Ale wszystko to przesłaniał kurz wzbijany przez przeciągającą piechotę”. To zdanie-refren jednego z opowiadań Haupta nie odnosi się tylko do formacji wojskowej, do konkretnej wojny. To zdanie można traktować jako wizję ludzkości ponad planem historycznym: idziemy, pieszo. Panie miej litość nad tymi, co stoją na naszej drodze.

Czy dlatego Zygmunt Haupt wybiera opłotki, poboczne drogi, przedmieścia wielkich miast? Nawet drugą wojnę, w której brał udział i opisał w drapieżnej noweli „Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali” widzi jako moment nie natarcia, lecz przygotowywania się do niego; pozornie nudny proces, dłubanie mechaników w czołgach, próbę nawiązania porozumienia radiowego, „Tu Magda Trzy”. Magda, wiejskie imię na miejscu, które zaraz stanie się armageddonem. Paryż, Lwów, Krzemieniec są co najwyżej federacją wiosek, widzianych oczami chłopca zza frędzli chwastów przydrożnych. W jego zielniku najczęściej powtarzają się łopuchy, czyli wielkolistne i mięsiste liście łopianu. Kolorem mu najbliższym jest ciemna, prawie czarna zieleń.

I nie tylko w celu osiągnięcia dużego nasycenia tzw. kolorytem lokalnym wprowadza Haupt do opisu mnóstwo regionalizmów, których znaczenia dzisiejszy czytelnik może się jedynie domyślać albo doszukiwać w Słowniku Gwar Polskich Karłowicza. Ponowa, śreżoga, odziamki, wiszar — jakież to bogaty język, jak ornamentacyjna konstrukcja! Cała wspaniałość polszczyzny związanej z ziemią. Autor jest na nią otwarty wszystkimi pięcioma zmysłami, i może zastanawia najbardziej jego węż, dla którego

„zapach gnijących kartofli” jest wonią najbardziej odrażającą, „nie do zniesienia”. I wszystkiego jest na tej ziemi podolskiej w nadmiarze — urodzaju, owoców, gnicia, rozkładu, namiętności, nienawiści. Dzięki prozie Haupta dużo lepiej można na przykład zrozumieć wiersze Adama Zagajewskiego, z ich obrazem świata w nadmiarze („I było za dużo Lwowa” w „Jechać do Lwowa”).

Haupta odraza do rozkładającej się materii, co jest w końcu jej cechą immanentną, zastanawia. Czy dlatego napisał w jednym opowiadaniu o sobie — jeśli jest z narratorem tożsamy — że cechuje go „kierkegaardowskie tchórzostwo”? Uwaga ta, łatwa do przeoczenia, każe raz jeszcze zastanowić się nad teorią lęku (*Angst*) z którego duński filozof uczynił kategorię naczelną i na jej podstawie cały świat sobie wytłumaczył? Nie należy się chyba zbyt długo zastanawiać, jakaż to skaza własna kazała Hauptowi przyjąć, może nieświadomie zrazu, postawę duńskiego myśliciela, ale nie z dobrodziejstwem prawdy objawionej, lecz z żalem, z pogardą do siebie — i do nauczyciela. Bo jeśli nawet w odkryciu Kierkegaarda jest prawda, nie ma sensu czynić z niej wartości. Czy można sobie zatem wyobrazić coś takiego, że ów kawalerzysta, oficer wielu frontów, czołgista, tak bał się śmierci zapamiętanej oczami małego dziecka, na katafalku w dworze dziadków, pośród posępnych świerków, że uczynił ją główną bohaterką swoich poematów prozą? Ba, gdyby wiedział, że nie musiał się bać, że umarł śmiercią zarezerwowaną dla wybrańców, we śnie, śmiercią o której marzył Hamlet: „Umrzeć, zasnąć”. Ale gdyby nie bał się jej i swojego strachu nie przezwyciężał, nie byłby Zygmuntem Hauptem, poetą, malarzem i rycerzem, który słowem, czynem i farbą stale egzorcyzmował strach metafizyczny.

Lękając się śmierci, wyzwolił się od niej w iście wielkim rapsodzie „Pierścień z papieru” — o Powrocie do ziemi. Do swojej ziemi. Jest to opowieść niezwykła i w sensie techniki narracji, i w sensie nawiązania do jakiegoś praźródła literatury. W jednym z opowiadań, „Z Lacczynny”, które do zbioru *Pierścień z papieru* nie weszło, Haupt przedstawia wariant nie tak magicznej tej opowieści, dając czytelnikowi klucz, którego zresztą od razu można się było domyślać. Pierwowzorem bohatera opowiadania „Pierścień z papieru” jest porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej, Karol Różycki... autor romantycznych opowieści... emigrant, zwany Sadykiem Paszą, twórca Pierwszego Pułku Kozaków Otomańskich, żonaty z Greczynką, który wraca w 1872 do Kijowa i jako osiemdziesięcioletni starzec odbiera sobie w końcu życie na folwarku podarowanym mu „z imperatorskim przebaczeniem”. Pisze Haupt, że chciał tę opowieść po prostu jeszcze raz opowiedzieć, ale że nie ma w nim „materiału na Szecherezadę”, więc postanowił inaczej. Otóż jest w nim oczywiście materiał na kilka Szecherezad, bo opowiadaczem jest nadzwyczajnym. Jest w tym

dalej żywa tradycja podania ustnego, z mnóstwem przyspiewek, wierszyków, słów dawno wymiecionych z pamięci zbiorowej. Jak ten Haupt opowiada!

Więc napisał inny powrót — ni to ciałem, ni to duchem. Powrót wieścią gminną, legendą. Na koniach wszelkiej maści, dziwacznych, prawem kontrastu do białego konia z opowieści Wernyhory. Te konie są końmi Apokalipsy i zarazem wprzęgnięte są w rydwan Apollina. Ciągną lawetę i sanie w zadymce, która trwa latem. Opowiadający, jeździec, jest już tylko głosem. Powtarza to, co o nim wieść niesie. Oznaką jego władzy jest pierścień — z papieru. Z pozoru jakże mało praktyczny i tyleż nadający godności, co papierowa korona. Ale, jak wiadomo, papier jest, jako tworzywo pisarza, niezniszczalny. A pierścień z papieru jest też pierścieniem — jak się można domyślać — Salomonowym.

Wedle legend rabinicznych i muzułmańskich Salomon miał władzę nad wszystkimi duchami, ponieważ znał ich imiona (Poeta to człowiek, który nazywa rzeczy ich prawdziwymi imionami — definicja Miłosza). Posiadał też cudowny pierścień z sygnetem i pieczętował nim lak na otworach butelek, w których zamykał dziny i geniusze zbuntowane, i rzucał je na dno morza.

Pierścień z papieru jest zatem największym atrybutem, sygnetem poety.

Bodaj ostatnie opowiadanie ogłoszone za życia autora, w *Kulturze*, nr 1-2/1975, nosi tytuł „Dziś, przedwczoraj, wczoraj, jutro”. Opowieść dzieli się na pięć części, ze słowami „Dzisiaj”, „Przed-przed-wczoraj” i itd. w charakterze podtytułów, i kończy się częścią „Jutro...” — jedynym z podtytułów złożonym drukiem rozstrzelonym, i te trzy kropki są jedyną treścią tej części. Nic więcej o „Jutrze” Zygmunt Haupt nie napisał. Sięgam zatem do zdania ostatniego części przedostatniej, zatytułowanej „Wczoraj”. Jest to cytat z *Podróży sentymentalnej* Sterne'a zamknięty zdaniem następującym: „Niech Bóg się zlituje nad nami obojgiem...”. Dlaczego *Podróż sentymentalna* jako wzór „Wczoraj”? Sterne traktował swoją księgę jako „Dzieło Odkupienia” i dodał, że jej celem jest „nauczyć kochać świat i współistoty”. Powieść kończy się zagadkowo, w połowie zdania, ale był to efekt zamierzony przez autora, który w roku jej wydania, 1768, umarł.

Trudno odgadnąć, na ile Haupt identyfikował się z Laurence Sternem, pisarzem pochodzącym z rodziny wojskowych i duchownych protestanckich, twórcą nowoczesnej powieści i techniki narracyjnej zwanej następnie strumieniem świadomości. Każda książka ma swój bardziej lub mniej ukryty prawzór, odległy model, ale rzadko kiedy tylko jeden. Odczytanie Haupta przez Sterne'a byłoby zapewne interesujące, ale rozejrzyjmy się bliżej, po gospodarstwie literatury polskiej. W dużo większym stopniu Zy-

gmunt Haupt, jak sędzę, chciał stworzyć XX-wieczny odpowiednik *Beniowskiego*. Przypomnę, że *Poema* Juliusza Słowackiego ukazały się w dwu tomach; w 1841 roku poeta wydał pięć pieśni. Dalsze dziesięć, nie dokończonych, w wielu wariantach, fragmentach, okrucach, ukazało się już pośmiertnie, we Lwowie w 1866 roku. I ten II tom *Beniowskiego* nosi tytuł *Pisma pośmiertne*. Czy jest przypadkiem więc, że ostatnie opowiadanie tomu *Pierścień z papieru* nosi tytuł „Fragmenty”?

Co więcej, Zygmunt Haupt mógł także poczuwać się do pewnej wspólnoty z autentycznym Beniowskim, Maurycym Augustem, szlachcicem pochodzenia węgierskiego albo słowackiego, żołnierzem, podróżnikiem i poszukiwaczem silnych wrażeń, konfederatem barskim, władcą Madagaskaru i szalonym rewolucjonistą, który kilkakrotnie przybywał do Ameryki (gdzie go zresztą nie nosiło) i oferował — podobno bezskutecznie — swoje usługi w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Jak zatem Haupt nazwałby ten II tom, uzupełnienie I — *Pierścienia z papieru? Pisma pośmiertne?* — chyba jednak nie, byłoby to zbyt łatwe rozwiązanie.

Nazwałabym ten tom, jeśli autor nie nadał mu tytułu, linią z jego baśni-podania-pieśni:

Odchodzę i przychodzę, przybliżam i oddalam się.

Renata GORCZYŃSKA

## Ile zabobonów?

Nie pierwszy raz, ale drugi zdarza mi się oto pisma księdza Bocheńskiego omawiać. Poprzedni wypadek miał miejsce, jeżeli należycie pamiętam, w roku 1951, kiedy to napisałem, a także, niestety, wydrukowałem, ówczesne moje mniemania o dwóch niemieckich książkach dotyczących marksizmu — Wettera i Bocheńskiego właśnie. Była to, wedle mej pamięci, studencka, niemądra i bezceremonialna napaść na owych autorów w duchu nieodmiennie słusznej i zwycięskiej stylistyki marksistowskiej, którą się posługiwałem ówczesnie, a którą do dziś posługuje się w Polsce i gdzie indziej umysłowy proletariat, nie mający nic do stracenia prócz własnych kajdan.

Tyle szczerzej i partyjnej samokrytyki złożywszy, nie mogę wszelako z tej racji — iż mianowicie kiedyś czcigodnego autora niesprawiedliwie poturbowałem (czym się on z pewnością nie

przejął, jeśli w ogóle zauważył) — uznać, iż jest teraz moim obo-  
wiązkiem pod wszystkimi względami z nim się zgadzać, co on  
sam niechybnie uznałby za postępowanie nierozumne, a więc, w  
jego pojmowaniu, zabobonne. Jakoż pamiętam, że w roku ubie-  
głym w Rapperswillu miałem honor wdać się z nim w dysputę  
publiczną (z udziałem księdza Tischnera, notorycznego prześmiew-  
cy) na temat Erazma, którego ja bardzo sobie cenię, a którego  
profesor Bocheński ma za gorszącego szkodnika, ile że przyczynił  
się on walnie do ośmieszenia scholastyki, a tym samym do upadku  
kultury logicznej w Europie.

Otóż okazja do dysputy dzisiejszej na tym polega, że profesor  
Bocheński, styl swój wojowniczy i bezpardonowy nadal uprawia-  
jąc, postanowił ogłosić krótką *summę* cudzych głupstw — czy ra-  
czej tego, co głupstwami mieni — i rzecz wyłożył w książeczce  
„Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów” (Insty-  
tut Literacki, 1987). Liczba w tytule ma raczej sens „wiele”, niż  
„sto”, gdyż hasel w tym słowniku naliczyłem sto pięć, a więk-  
szość z nich traktuje o kilku zabobonach, nie jednym tylko.  
Wszystko ma stron 118. Jest to pamflet zabawny, w czytaniu  
łatwy, żadnych filozoficznych wiadomości u czytelnika nie zakła-  
dający; właściwie, jak zauważam, jest to popularny wykład filo-  
zoficznych opinii autora ukazanych przez wykład wszystkiego,  
co im się sprzeciwia. Opinie te są zaś, jak styl pokazuje, bardzo  
stanowcze.

Zabobon, wedle autora, to jakieś mniemanie jawnie fałszywe,  
a mimo to z wielką pewnością przez niektórych — przeważnie  
bardzo wielu — żywione. Niektóre hasła słownika wprost nazy-  
wają coś co zabobonem jest nieodmiennie (na przykład numero-  
logia, komunizm, nacjonalizm), inne podają słowa, które w pew-  
nych swoich znaczeniach, ale nie we wszystkich, oznaczają zabo-  
bony (na przykład idealizm, intuicja, religia), inne wreszcie mówią  
o zjawiskach realnych, wokół których różne zabobony wśród  
ludzi narosły (młodość, lud, śmierć, demokracja).

W niektórych przypadkach, na przykład w uznaniu numero-  
logii za zabobon, autor nie spotka się zapewne z wieloma sprze-  
ciwami; pewne jego spostrzeżenia są nawet na tyle mało sporne,  
że ich wartość informacyjna wydaje się skromna (na przykład:  
„bełkot jest najzupełniej bezużyteczny wszędzie tam, gdzie chodzi  
o przekazanie informacji przedmiotowych, a więc w szczególności  
w nauce. Mniemanie, że może być do czegoś w tej dziedzinie  
przydatny, jest grubym zabobonem. Zabobonem jest także mnie-  
manie, że filozof może, a nawet powinien posługiwać się bełko-  
tem”). W innych wypadkach, również tam, gdzie chodzi o filo-  
zoficzne doktryny, czytelnik może mieć trudności z wyszukaniem  
przykładów osób, które napiętnowany zabobon wyznają. Tak,  
na przykład, zabobon idealistyczny, w jednym ze znaczeń tego  
słowa, „polega na wierzeniu, że niczego nie ma poza myślami  
w naszej psychice (czy głowie) — człowiek może poznać tylko  
własne myśli, idee”. Nie wiem, kto mógłby siebie rozpoznać  
w tak sformułowanym idealizmie. Podobnie konwencjonalizm,  
czyli, wedle słownika „zabobonne mniemanie, że wszystko opiera

się na umowie... Jeśli mnie na przykład boli ząb, to dlatego,  
żeśmy się tak umówili. Od umowy zależy także, że skoro miałem  
sto dolarów i wydałem dwa razy po pięćdziesiąt, to nic mi już  
nie zostaje”. Nie wiem również, kto jest wynawcą konwencjona-  
lizmu w tym sensie (w każdym razie nie Ajdukiewicz, o którego  
być może chodzi). Gdzie indziej powstają wątpliwości co do po-  
prawnego przekazania myśli filozofów z imienia nazwanych. Nie  
sądzę na przykład, żeby dokładne było powiedzenie, iż idea demitologizacji Boltmanna (profesor Bocheński mówi „entmitologi-  
zacja”, co jest hybrydą nieudaną, bo przedrostek ent- nie ma po  
polsku żadnego znaczenia) polega na tym, że „należy religię oczy-  
ścić z mitów, tak aby zostały z niej tylko zdania prawdziwe w  
dosłownym rozumieniu”. Nie wydaje się także trafne to, co autor  
pisze o hermeneutyce — przynajmniej w dzisiejszym rozumieniu  
słowa — albo o Heglu (wedle którego, jak czytamy, „przyroda  
dyskutuje sama z sobą”).

Autor przyznaje się do racjonalizmu tylko w sensie takiego  
zalecenia, „aby człowiek postępował zawsze rozsądnie, zarówno  
w wyborze zdań, które uznaje za prawdziwe jak i w decyzjach  
dotyczących jego działalności. A 'rozsądnie' znaczy tu tyle co  
'spójnie', 'w sposób niesprzeczny' i zarazem 'w sposób zgodny  
z przyjętymi w danej dziedzinie dyrektywami'”. Nie przyznaje  
się natomiast do pozytywizmu rozumianego jako przekonanie, iż  
nauki przyrodnicze mogą dać odpowiedź na wszystkie sensowne  
pytania, ani do scjentyzmu, który ponadto wierzy (w rozumieniu  
słownika) w bezwzględność wyników nauk przyrodniczych.  
Również pozytywizm tak pojęty wydaje mi się dzisiaj rzadko-  
ścią, a „scjentyści” w sensie wyłożonym stanowią chyba wśród filo-  
zofów, a także uczonych, zbiór pusty. Autor uważa, że filozofia  
jest dziedziną nauki, ale nie odmawia sensowności ani wagi py-  
taniom nie-naukowym, więc nie-filozoficznym, dotyczącym na  
przykład wartości moralnych, świata jako całości, sensu życia,  
nieśmiertelności, Boga. Są to, powiada, sprawy wiary, przy czym  
wiara nie ma być aktem bezrozumnym, bo „człowiek umyślowo  
zdrowy nie może uznać za prawdziwe, tj. uwierzyć w zdanie bez  
jakiejs racji, jakiegoś uzasadnienia”. Wynikałoby z tego, że „wia-  
ra” jest aktem, w którym dodajemy pewność do pewnego przeko-  
nania, o którym wiemy skądinąd, że jest niepewne, ale ma za  
sobą jakieś, choćby wątłe, racje. Nasuwa się jednak pytanie  
(pomijając zgodność tego pojęcia wiary ze świętym Pawłem),  
czy ów akt dodawania pewności do przypuszczeń niepewnych nie  
powinien uchodzić, wedle kryteriów autora, za czynność zabo-  
bonną (zabobonem jest wszakże nawet szukanie bezwzględnej  
pewności w naukach przyrodniczych) i czy w ogólności jego zdro-  
woroządkowe refutacje pozytywizmu i scjentyzmu nie są w ko-  
lizji z jego ogólnymi zaleceniami. Zdrowy rozsądek, jak nas uczy-  
ła przynajmniej historia fizyki od XVII wieku do dzisiaj, nie  
zawsze jest doradcą niezawodnym. Pomyśl, że Ziemia krąży wo-  
kół Słońca, był jaskrawo sprzeczny z oczywistą obserwacją. Na-  
wet względność ruchu (którą profesor Bocheński, chyba przez  
przeoczenie, podaje za wynik teorii względności, chociaż przecież

fizyka Galileusza całkiem tu wystarcza) urażała zdrowy rozsądek, a tym bardziej czyniła to względność równoczesności, nie mówiąc o dualizmie korpuskularno-falowym i o zasadzie nieoznaczoności. Rzeczy takich nie wypada mi bliżej wyjaśniać profesorowi Bocheńskiemu, który jest wybitnym autorytetem (w dozwolonym przezeń i nie-zabobonnym sensie słowa) w logice i w historii logiki. Mam jednak podejrzenie, że korzystając ze zdroworozsądkowych obserwacji, ułatwia sobie zadanie, gdy obala, na przykład, idealizm, behawioryzm, sceptycyzm w nader uproszczonych wersjach, stawiając je na równi z oczywistymi absurdami, jak takie oto, że młodzież jest pod wszystkimi względami lepsza i mądrzejsza od dorosłych lub że Żydzi są niższą rasą.

Profesor Bocheński uważa nawet, że pomysł iż istnieje jakaś „filozofia chrześcijańska” w sensie dociekań, które zakładają doktrynę wiary, jest zabobonem, jako że byt taki jest wewnętrznie sprzeczny: filozofia mianowicie z natury rzeczy — również wedle św. Tomasza — jest niezawisła od jakichkolwiek poglądów na świat. Czy wolno jednak sądzić, że św. Tomasz, który w rzeczy samej odróżnił dość jasno wiarę od wiedzy i teologię od filozofii, prowadził faktycznie swoje rozważania w niezależności od swojej wiary i że po prostu tak mu wyszło, iż rezultaty tych rozważań okazały się zgodne (pomijając może drobne uchybienia) z tym, co skądinąd przyjmował jako prawdy wiary? Byłoby to chyba intelektualistyczne złudzenie, niezgodne z tym, co wiemy o historycznych warunkach rozwoju filozofii. I czy o kimkolwiek wolno przypuszczać, że jest w swej pracy myślowej czystym wcieleniem transcendentalnie prawomocnych standardów logicznych?

I czy nie należy o tym pamiętać, że to, co profesor Bocheński — w zgodzie z rozpowszechnioną wśród uczonych interpretacją nowoczesnej fizyki — piętnuje jako zabobon, mianowicie determinizm, uchodziło pod koniec XIX wieku za oczywisty pewnik, a zabobonem było mniemanie przeciwne? Wszystkie doktryny filozoficzne, które ubrały się w „szkoły” — jak to kartezjanizm, kantyzm, marksizm, empiryzm logiczny — jawiły się także wyznawcom jako prawdy oślepiająco oczywiste, o których szaleni tylko wątpią. Nie jest więc może bezużyteczne zastanawianie się nad tym, skąd się biorą wieczne jakoby standardy racjonalności i jakie są racje, aby się ich trzymać albo uważać za wieczne właśnie. A jednak takie refleksje często źle się kończą. Jeśli się uważa na przykład, jak profesor Bocheński, że „człowiek nie jest czymś szczególnym w świecie, ale po prostu częścią przyrody” (mimo że wolna wola ludzka jest dlań „oczywistym faktem”), to nasuwa się przypuszczenie, wielokroć przez naturalistów wypowiedziane, że również czynności intelektualne ludzkie są pewnym rodzajem reakcji biologicznej, przez co pytanie o „prawdę” w zwyczajnym sensie — w odróżnieniu od użyteczności — staje się bezprzedmiotowe (a to z kolei podważa wartość głównej przesłanki rozumowania). Nie wydaje się bezpieczne lekceważenie takich kwestii w imię oczywistości zdrowego rozsądku.

Przewodnia intencja dziełka, o którym mowa, jest nie tylko zbożna i chwalebna, ale zgodna z ogromnie ważnymi potrzebami

współczesnej kultury: chce ono wszakże głosić krytycyzm, poczucie odpowiedzialności umysłowej, potrzebę trzymania się reguł logicznych, zwalczać fanatyzmy oraz bałwochwalcze a bezmyślne uwielbienie ludu, państwa, narodu, intelektualistów, postępu, zwierząt i innych rzeczy, które zapewne są dobre, lecz nie absolutnie dobre.

Z drugiej strony, kiedy przeglądam w myśli filozofów żyjących (a o filozofii u Bocheńskiego głównie mowa, gdyż przypisuje jej, w pewnych odmianach, szczególnie złowrogą rolę w krzewieniu zabobonu), znanych mi z lektur lub z osobistych spotkań, nie zauważam wśród nich ani jednego, który by nie wyznawał jakichś piętnowanych przez autora zabobonów. Ten jest scjentystą, ów socjalistą, inny jeszcze nie wierzy, by zło istniało realnie, jeden za dialektyka się podaje, drugi za behawiorystę itd. Nieodparcie tedy nasuwa się myśl, że profesor Bocheński jest jedynym żyjącym, który od zabobonów się uwolnił. Przypuszczenie to nie jest wewnętrznie sprzeczne; jest także empiryczne i zasadniczo daje się sprawdzić co do swej prawdziwości lub mylności. Jeśli jest prawdziwe, wydaje nader przygnębiające świadectwo rodzajowi ludzkiemu i potwierdza profesora Bocheńskiego żądanie, by kult człowieczeństwa napiętnować jako zabobon.

Leszek KOŁAKOWSKI

## Memorandum zdrowego rozsądku

Książeczka\* o Józefa (Innocentego) Bocheńskiego — dominikana, emerytowanego profesora filozofii we Fryburgu szwajcarskim i światowego autorytetu w dziedzinie historii logiki formalnej — prowadzi na myśl dwie nieoczywiste prawdy. Po pierwsze: że zirytowanie bywa cnotą, bo sprzyja zwięzłości i soczystości stylu. Na przykład: „... czasy są takie, że kto może, ma dzisiaj... ścisły obowiązek walki z zabobonami. Tak dlatego, że dzisiaj właśnie tylu ludzi... korzy się we wstrętny sposób przed marksistowskim zabobonem — i... w Polsce człowiek ma tak często wybór tylko między dwoma rodzajami zabobonów, tymi głoszonymi przez partię i tymi, którym hołdują ciemni katolicy” (Przedmowa, str. 11); „Rozpowszechniony dzisiaj zabobon głosi, że lud jest szczególnie mądry, cnotliwy i kulturalny... Otóż zdarza się wpraw-

\* J. M. Bocheński, *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów*. Instytut Literacki, Paryż 1987 („Biblioteka Kultury”, tom 431), str. 118.

dzie, że człowiek z ludu jest rzeczywiście mądry... Ale z reguły jest przeciwnie: lud jako przeciwieństwo elity jest zespołem ludzi głupich, mało szlachetnych i prostackich" (hasło „lud”, str. 63). Po drugie: na mówienie zwięzłe i soczyście nie każdy może sobie pozwolić. Gdyby za autorem „Stu zabobonów” nie widniał autorytet takich pozycji jak „Europäische Philosophie der Gegenwart” czy „Précis de Logique Mathématique”, jego refleksje zostałyby już w maszynopisie skazane na niebyt oceną: „nadmierne uproszczenie”. Wiedział o tym już Szekspir, gdy na liście niesprawiedliwości świata w sonecie 66 umieścił też *simple truth, miscalled simplicity*... Cieszymy się zatem i korzystamy z tego, że pozycja i temperament o. Bocheńskiego zaowocowały zbiorem niekonwencjonalnych uwag na temat filozofii, religii i życia społecznego, które to uwagi (lub podobne) niejednemu cisną się często na usta, ale i zazwyczaj tam zamierają, święta mrozem stratosfery intelektualnej *comme il faut* i dezaprobatą zadomowionych w niej filozoficznych Picardów. By zachęcić innych do lektury tej obrazoburczej wypowiedzi, omówię tu krótko jej treść i zakres.

Książka o. Bocheńskiego jest zbiorem stu haseł ułożonych alfabetycznie i traktujących o pojęciach i teoriach składających się na współczesny „ogłód” świata, przy czym — zdaniem autora — pojęcia te i teorie są wyraźnie fałszywe, demagogiczne lub też wewnętrznie sprzeczne. Zasada tworzenia tych haseł jest trochę nonszalancka, bo pewne z nich są nazwami przesądów *tout court* (np. „astrologia”, „spirytyzm”, „numerologia”), inne zaś wskazują dziedziny skądinąd szacowne (np. „patriotyzm”, „religia”, „nauka”), ale dające asumpt do nieuzasadnionych uogólnień, mitów czy też przeinaczeń. Powodem tego jest fakt, iż w istocie mamy tu raczej do czynienia z traktatem (który z myślą o tradycji rodzinnej można by też nazwać „Dziejami głupoty w świecie współczesnym”), niż ze słownikiem — forma ta jest właśnie tylko formą. „Czas średniowiecznych 'sum' minął bezpowrotnie — żyjemy w epoce encyklopedii”, czytamy na str. 41, ale autor z lubością korzysta ze swobód doktora Johnsona czy Diderota i daje nam w istocie pewną sumę swoich poglądów. Spróbujemy zrekonstruować ich główne osie tematyczne.

Dominantą książki jest niechęć do poglądów skrajnych: o. Bocheński z równą pasją występuje przeciw anarchizmowi jak totalitaryzmowi, „scjentyzm” i „pozytywizm” są w równym stopniu jego *bêtes noires* jak „irracjonalizm” czy „intuicja”. Autor „Stu zabobonów” jest w zasadzie nominalistą i — szczególnie gdy traktuje o filozofii niemieckiej — chętnie podkreśla, że wiele różnic pojęciowych jest tylko różnicą między słowami (np. w odniesieniu do *Verstand* vs. *Vernunft*); z drugiej strony jednak równie stanowczo oświadcza się za obiektywnym istnieniem takich bytów abstrakcyjnych jak *cechy* przedmiotów, *relacje* i *wartości*. Szczególną niechęcią darzy marksizm i jego parafernalia (por. hasła „dialektyka”, „sprzeczność”, „klasa”, „rewolucja” i wiele innych), a także filozofię nowożytną (*ca.* od Kartezjusza aż po koniec XIX wieku) — tu głównym zarzutem jest zaniedby-

wanie analizy pojęć i badań nad logiką na rzecz „syntez” i niesprawdzalnych systemów metafizycznych. Wyczuwa się, że o. Bocheński spogląda na czasy współczesne podobnie jak na nielubiane przezeń okresy Odrodzenia i Oświecenia — oba te terminy, przeważnie opatrzone ironicznym cudzym słowem, są dlań synonimami dyletantyzmu i demagogii intelektualnej; w naszej epoce nosicielami tych zarazków zdają się być głównie „intelektualiści”, „dziennikarze” i „literaci” (obacz odpowiednio hasła!). Jak zacytowana na wstępie uwaga o „zabobonach ciemnych katolików” sądzić pozwala, autor nie ma nadmiernej sympatii dla zbyt dosłownych interpretacji religii, w tym także katolicyzmu; szczególnie interesujące są pod tym względem hasła „dusza” i „nieśmiertelność”: autor przeciwstawia się w nich pojmowaniu życia pozagrobowego jako rodzaju kontynuacji egzystencji ziemskiej w innym wymiarze i raczej zachęca do nader abstrakcyjnego traktowania tej koncepcji. Status duszy zdaje się nie różnić u niego wiele od statusu informacji selektywnej w cybernetyce — tak można traktować jego „odeślanie” tego zagadnienia do pojęcia *treści ciała* w sensie tomistycznym. W każdym razie autor z wyraźną niechęcią odnosi się do egipskiego wyobrażenia duszy ludzkiej „w postaci ptaszka z ludzką głową” (str. 30), a więc przez ekstensję można przyjąć, że i inne ptaszkopodobne koncepcje uważa za zabobon.

Niezwykle cenne wydaje mi się podkreślenie przez o. Bocheńskiego negatywnego wpływu reakcji uczuciowych na rzekomo czysto rozumowe twierdzenia i teorie. Dotyczy to takich uczuć jak *zadrosć*, stanowiąca silny aczkolwiek rzadko uwzględniany motyw koncepcji antyelitarnych, kolektywistycznych i w ogóle atakujących wszelką hierarchię i zróżnicowanie między ludźmi, oraz sentymentalizm, leżący u podłoża takich postaw jak pacyfizm, „altruizm” (w sensie nadmiernego rozczulania się nad przestępcami) i np. negowanie prawa do doświadczeń na zwierzętach.

Książka o. Bocheńskiego napisana została ze stanowiska zdroworozsądkowego i konserwatywnego w sensie dodatnim: pretenjonalne nowinki — choćby tylko terminologiczne — budzą w nim awersję, jak łatwo przekonać się studiując np. hasło „dialog” („... Bóg rozmawiać być może z Abrahamem i z prorokami, ale jako żywo nie rozmawia ze zwykłymi wierzącymi. Jeśli więc religia jest dialogiem, to chyba tego samego rodzaju, co rozmowa dziada z obrazem...”, str. 29); przypuszczalnie wiele innych klisz „posoborowych” zostałyby potraktowanych podobnie, gdyby autor zajął się nimi szczegółowiej. Z prawdziwym żalem przyjąłem do wiadomości notatkę kończącą hasło „śmierć” na str. 105: „Druga część wywodów o śmierci, dotycząca pogrzebów, wywołała w rękopisie tak wielkie oburzenie zarówno pobożnych jak i bezbożnych Czytelników, że musiała zostać skreślona przez autocenzurę”. Jaka szkoda!

Zdrowy rozsądek jest pojęciem skrótowym i określa raczej postawę poznawczą, niż w pełni określony zespół poglądów. „Sto

zabobonów" jako manifest tej postawy ujawnia zarówno zalety jej jak i niedostatki. Naczelną pośród tych pierwszych jest zaleta zwięzłości: dopiero pisząc niniejsze omówienie zorientowałem się, że pełne oddanie sprawiedliwości wszystkim wypowiedziom autora — a więc ich rozwinięcie, wzajemna konfrontacja i zaznaczenie ich ewentualnych „przedłużeń” — doprowadziłoby do paradoksalnej sytuacji, w której recenzja musiałaby być dłuższa niż recenzowana praca. Ale kryje się tu też pewne niebezpieczeństwo i być może nawet brak. Wymogi zwięzłości powodują, że pewne obszary „pomiędzy” hasłami pozostają w półcieniu, a niekiedy nawet pojawiają się uskoki myślowe przypominające sprzeczność wewnętrzną. Do takich wątpliwych punktów należy stale akcentowany przez autora brak „postępu” w świecie (por. odpowiednie hasło), a równocześnie akceptowanie przezeń i używanie terminu „kraje zacofane”. Nie chodzi mi o łapanie za słowa, ale o podkreślenie, że termin „postęp” jest względny (wbrew filipice autora przeciw „relatywizmowi”) i stosowanie go jako rodzaju absolutu — niezależnie czy się go przyjmuje czy odrzuca — jest również procedurą zabobonna. Myślę, że zaprzeczanie istnieniu postępu w świecie w pewnych określonych jego znaczeniach jest nieuzasadnione. Na przykład postęp techniki przeżycia gatunku ludzkiego jest bezsporny, a to pociąga za sobą zmiany w innych dziedzinach, m.in. moralnej — w powszechnym odczuciu zabijanie jednostek nieproduktywnych uchodzi dziś za niedopuszczalne, podczas gdy jeszcze 200 lat temu było to normalną procedurą na pewnych słabych ekonomicznie terenach (wyspy Oceanii).

W związku z tym jeszcze jedna wątpliwość. O. Bocheński wielokrotnie podkreśla autonomiczność etyki i przeczy możliwości jej uzasadnienia „naukowo”, czyli przez odniesienie do innych dziedzin obiektywnych. Z punktu widzenia logiki stosowanej „osobno” tak jest istotnie: nie ma logicznego przejścia od zdań sprawozdawczych do zdań modalnych. W efekcie takiego traktowania etyka staje się dziedziną *quodlibet* i przeważnie jest wcielana do problematyki dziedzin nie opartych na czymkolwiek; ostatnio na przykład modne jest łączenie jej z zachwytem nad mitami w taki sposób, by mit „uzasadniał” etykę, a etyka mit. Błąd polega chyba na tym, że etyka nie jest niezależnym absolutem, lecz stanowi zbiór reguł do osiągnięcia jakiegoś celu. Ujęcie to pozwala na ocenę różnych etyk z punktu widzenia ich celu. To co nazywamy zazwyczaj etyką naturalną i co zabrania nam na przykład mordować dzieci w kołysce jest po prostu szeregiem derywacji podstawowego celu obrony życia *jednostki* traktowanej jako przedstawicielki gatunku ludzkiego; inne „etyki”, na przykład nazistowska, polpotowska itp. dopuszczają inne derywacje. Rzekłbym, że etyka naturalna ma uzasadnienie „naukowe”, ponieważ 1° — jej konkurentki są oparte na naukowo bzdurnych przesłankach, 2° — zasada obrony życia jednostkowego jest inherentną cechą świadomości, czyli urządzenia działającego w czasie: wbudowanie w świadomość zgody na przerwanie jej funkcjonowania (czyli odrzucenie trwania jako podstawowego ele-

mentu konstrukcyjnego) stanowiłoby absurd inżynierski taki jak np. budowa samolotu bez skrzydeł. W terminach użytych przez o. Bocheńskiego nazwałbym tak traktowaną etykę naturalnym „patriotyzmem ludzkim” (por. hasło „patriotyzm”).

Pozwoliłem sobie na te przydługie rozważania końcowe li tylko dla zademonstrowania, że „Sto zabobonów” jest pracą stymulującą. Jest to jeszcze jedną jej zaletą obok tego, że jest ona pouczająca — merytorycznie i metodologicznie — dowcipna i mądra. Ojciec Bocheński ma głęboko zakorzeniony wstręt do wszelkich guru (por. hasło „guru”), ale — o paradoksie! — grozi mu niebezpieczeństwo zostania jednym z nich: jego „szara książeczka” ma wszelkie szanse na wszczęcie rewolucji filozoficznej szerokich mas inteligenckich znudzonych sztampą, pretensjonalnością i blagą.

M. BRŃSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- MIŁOSZ (Czesław). *Trzy zimy. Głosy o wierszach*. Str. 135 i 1 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena: £ 4,50, \$ US 11,00).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Plan gry. USA versus ZSRR*. Przełożył Jerzy Kowalski. Str. 297 i 1 nłb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).
- BUREK (Tomasz). *Zadnych marzeń*. Str. 242 i 6 nłb. (Wyd. Polonia, Londyn 1987).
- PIŁSUDSKI (Józef). *Rok 1920*. Wyd. VI. Str. 237 i 5 nłb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).
- MIREWICZ (Jerzy, ks.). *Marnotrawni synowie Europy*. Str. 173 i 3 nłb. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).
- CELT (Marek). *Koncert. Opowiadanie cichociemnego*. Str. 100 i 2 nłb. (Wyd. nakładem Autora, Monachium 1987).
- Uwierzyć sercem. Str. 246 i 2 nłb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1987).
- SZARUGA (Leszek), ZAWRAT (Krzysztof). *W Polsce czyli Nigdzie*. Str. 281 i 3 nłb. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni 1987).
- ŁOBODOWSKI (Józef). *Pamięci Sulamity*. Str. 64. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1987).
- HABROWSKA-JELLACZYC (Irena), TOMASZEWSKI (Adam). *Ze sceny i estrady*. Str. 268 i 4 nłb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1987).
- KOWALIK (Jan). *Zatrzymać czas*. Str. 53 i 1 nłb. (Wyd. Sigma Press, Albany NY, USA, -987).
- KULMOWA (Joanna). *Kłamstwo gołębie*. Str. 77 i 3 nłb. (Wyd. nakładem przyjaciół, Berlin Zachodni 1987).
- MOSZKOWICZ (Michał). *Paradyż. Śmierć emigranta*. Str. 163 i 1 nłb. (Wyd. POLONICA, Norsborg, Szwecja 1987).
- SZUMAŃSKA (Ewa). *Bizary*. Str. 265 i 1 nłb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 350).
- KOŁAKOWSKI (Leszek). *Jeżeli Boga nie ma... O Bogu, Diabie, Grzechu i innych zmartwieniach tak zwanej filozofii religii. Z angielskiego przetłumaczyli Tadeusz Baszniak i Maciej Panufnik*. Str. 151 i 7 nłb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 4, \$ US 10).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Bez cenzury*. Str. 277 i 11 nłb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1987, wyd. II poszerzone, wyd. I CDN, Warszawa 1983).

- KRAKOWIECKI (Anatol). *Książka o Kołymie*. Str. 255. (Wyd. II, przedruk z wyd. I-go z 1950 roku, wyd. Veritas, Londyn 1987).
- Polscy poeci o węgierskim październiku. *Antologia*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1986).
- JAROSZYŃSKI (Witold). *Na dziedzięć lat za druty*. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).
- Isfahan miasto polskich dzieci*. Str. 532 i 2 nlb. (Wyd. Koło Wychowanków Szkół Polskich Isfahan i Liban, Londyn 1987).
- BARTNICKI (Andrzej), MANTEL-NIECKO (Joanna). *Historia Etiopii*. (Wyd. II poprawione i uzupełnione, wyd. Ossolineum, Warszawa-Kraków 1987, cena zł 1.050).
- POGONOWSKA (Anna). *Wiersze wybrane*. Str. 348 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1987, cena zł 500).
- GEREMEK (Bronisław). *La potence ou la pitié. L'Europe et les pauvres du Moyen Age à nos jours*. Przełożyła z polskiego Joanna Arnold-Moriet. Str. 330 i 4 nlb. (Wyd. Gallimard, Paris 1987, cena F. 150).
- WIESENTHAL (Simon). *Krystyna et la tragédie de la Résistance polonaise*. Przeł. z niemieckiego Elizabeth Scoster. Str. 240 i 2 nlb. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1987, cena F. 85).
- HUNCZAK (Taras). *Symon Petlura et le Juifs*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Bibliothèque Ukrainienne Symon Petlura à Paris, Paryż 1987).
- L'héritage chrétien de la culture européenne dans la conscience des contemporains. Colloque international 21-23 avril 1986, Rome*. Str. 212 i 2 nlb. (Wyd. Fondazione Giovanni Paolo II, Istituto Polacco di cultura cristiana avec la participation du Conseil pontifical pour la culture, Rzym 1987).
- Solanus. International Journal for Russian and East European Bibliographic, Library and Publishing Studies*. New series. Vol. I, 1987. Str. 111 i 5 nlb. (Wyd. Standing
- Conference of National and University Libraries — SCOUNL — Londyn 1987).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Social Psychiatry in the Man-Made World*. (Nadbitka z *American Journal of Social Psychiatry*, VII/3, Summer 1986).
- HELANDER (Joanna). *Brevien fran Polen*. Str. 212. (Wyd. Norstedts, Södertälje, Szwecja 1986).
- STECKO (Jarosław). *Dila. Tom I: Ukrajńska wyzwolna koncepcija*. Str. 528 i 2 nlb. (Wyd. Orhaniazacja Ukrajńskich Nacjonalistów, Ukrainischer Verlag, München 1987).
- PLUSZCZ (Leonid). *Ekzod Tarasa Szezczenka. Naukoto „Moskatewoji krynyci”*. Str. 330 i 8 nlb. (Wyd. Kanadyjskyj Instytut Ukrajńskich Studij, Edmonton 1986).
- Martyrologija ukrajńskich cerkew u czotyrioch tomach. Tom I: Ukrajńska prawostawna cerkwa. Dokumenty, materiały, chryścianskyj samwydaw Ukrainy*. Opr. Osyp Zinkiewicz i Ołeksandr Woronin. Str. 1207 i 1 nlb. (Wyd. „Smołoskyp”, Toronto-Baltimore 1987).
- Wasyl Stus w żytyi, tworczosti, spohadach ta ocinkach suchasnykiw*. Zebrał i opracował Osyp Zinkiewicz i Mykoła Francuzenko. Str. 263 i 1 nlb. (Wyd. „Smołoskyp”, Toronto-Baltimore 1987).
- Solidarita. Polske nezavisle odbory od sveho vzniku az po vyhlaseni vyjimecneho stavu*. Str. 282 i 6 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).
- DEML (Jakub). *Moji pratele*. Str. 43 i 5 nlb. (Wyd. II, Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).
- MORAVEC (F.). *Spion, jemuz neverili*. Wybór i przekład z angielskiego Hana Moravcova-Disherova. Str. 377 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).
- Bible pro deti. Vyber biblickych textu*. Str. 64. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).
- SCHULZ (Karel). *Legendy a invokace*. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Purley, Anglia 1987).

## Z ostatniej chwili

### Observatorium

Zapowiadano „trzęsienie ziemi”. Ilustracją tych zapowiedzi były tezy Biura Politycznego KC PZPR udostępnione — w pełnym brzmieniu? — niektórym korespondentom zagranicznym w Warszawie, ale nie opublikowane w prasie oficjalnej. Potem przyszło plenum KC. Trwało tylko jeden dzień, a dyskusja nie zasługiwała na tę nazwę: wypowiadali się głównie „robotnicy członkowie KC”, czyli po prostu figuranci. Rzecznicy aparatu partyjnego wstrzymali się od głosu: czyżby nie mieli nic do powiedzenia? Wystąpienie premiera było, jak zwykle, bez wyrazu. Przemówienie końcowe gen. Jaruzelskiego zawierało wyłącznie ogólniki w partyjno-patetycznym sosie. Plenum, które reklamowano jako szczególnie ważne, wręcz przełomowe, zionęło rutyną i nudą jeszcze bardziej niż inne imprezy tego rodzaju, przypominając swym charakterem spokojne czasy Edwarda Gierka, nie zaś burzliwe obrady z okresu „Solidarności”, gdy nawet członkowie KC PZPR mówili niekiedy ludzkim głosem. Jedyną konkretną uchwałą okazało się poparcie dla projektu referendum w sprawie reformy gospodarczej, zgłoszonej przez PRON.

Sejsja Sejmu też nie przyniosła ciekawych nowości. Trudno bowiem przejmować się zapowiedzianą redukcją liczby ministrów i urzędników administracji centralnej. Wiele takich operacji znamy przecież z przeszłości. Ich jedynym skutkiem była na ogół zmiana wywieszek na gmachach urzędowych, które, po krótkim okresie zwolnień, okazywały się jeszcze gęściej zatłoczone niż przedtem, zgodnie z zasadą wymyśloną na tę okoliczność przez Lejzorka Rojtszwańca w samych początkach systemu sowieckiego: gdzie są redukcje, tam są i przyjęcia. Zmniejszenie zatrudnienia w administracji centralnej miałoby znaczenie, gdyby — jak w latach 1955-1956 — dotknęło służby bezpieczeństwa,



wojska, aparatu partyjnego. Ponieważ tak nie będzie, wiadomo już, że dokona się kolejne przemalowywanie fasady. A gmach pozostanie, jaki był.

Cała ta historia jest jednakowoż znamienna choćby dlatego, że ukazuje szczególnie wyraziście techniki manipulowania opinią stosowane przez ekipę gen. Jaruzelskiego. Zaczyna się zawsze od wytwarzania oczekiwań i nadziei rozpuszczaniem plotek i popełnianiem zaprogramowanych niedyskrecji. Pozwala to użyć bardziej łatwowiernych przedstawicieli opozycji — niekiedy o znanych i zasłużonych nazwiskach — jako zwiastunów dobrych nowin, a prasę zachodnią, która powtarza ich opinie i dodaje do tego własne spekulacje, wykorzystać do podnoszenia kursu akcji gen. Jaruzelskiego nie tylko na Zachodzie, ale również w samej Polsce. Gdy zaś góra urodzi mysz, gdy oczekiwania okażą się zawiedzione, lansuje się pogląd, że decyzje są wynikiem ostrej walki w aparacie władzy i że, choć są skromne, należy uważać je za duży sukces reformatorów, którym przewodzi rzecz jasna gen. Jaruzelski i których należy popierać, aby nie zgniotła ich partyjna konserwa lub interwencja Związku Sowieckiego. Umiejętnie dawkując decyzje i pogłoski, władza ma czym karmić oczekiwania przez kilka miesięcy. A gdy temat ulegnie wyczerpaniu, propaganda wpada na nowy pomysł i wszystko zaczyna się od początku. Tak było z pierwszym etapem reformy gospodarczej. Tak było zwłaszcza z Radą Konsultacyjną. Przy czym za każdym razem znajdują się przedstawiciele opozycji gotowi żyrować wystawiane przez władzę czeki, jak gdyby nie wiedzieli lub nie chcieli uwierzyć, że są to czeki bez pokrycia.

I tak trwa to od sześciu lat, w ciągu których ekipa gen. Jaruzelskiego nie rozwiązała ani jednego żywotnego problemu Polski. „Pierwszy etap reformy gospodarczej” zawiódł oczekiwania nie tylko społeczeństwa. Nawet samego rządu. Wiadomo, że Polska jest w przededniu zapaści cywilizacyjnej i że nie ma ani jednej dziedziny gospodarki i kultury, gdzie by nie groziła katastrofa. Ale dla ekipy rządzącej kryzys nie jest kryzysem cywilizacji, zdrowia, oświaty, nauki, środowiska naturalnego i wszystkiego innego. Jest przede wszystkim kryzysem systemu panowania. I tym, co tę ekipę interesuje, jest w pierwszym rzędzie, jeśli nie wyłącznie, utrwalenie systemu panowania aparatu partyjno-wojskowo-bezpieczniackiego. Wszystko inne należy z jej punktu widzenia do porządku środków, które, jeśli trzeba, mogą nawet być „liberalne”, byle służyły realizacji nadrzędnego celu.

Kolejnym tego przykładem jest pomysł referendum, przedstawiany jako wprowadzenie w życie demokracji bezpośredniej, a który ma z nią tyleż wspólnego, co zmniejszanie liczby urzędników z ograniczaniem roli państwa, a leninizm gen. Jaruzelskiego

z liberalizmem pani Thatcher. Pomińmy nawet fakt, że historia PRL pamięta jedno referendum, które nie było wzorem demokracji, chyba że mowa o „demokracji ludowej”. I zauważmy tylko, że naród ma odpowiedzieć na pytanie, czy chce realizacji reformy gospodarczej w tempie szybszym czy wolniejszym. Nie pyta się go o treść i zakres reformy. Nie podejmuje się dyskusji na temat wybranej przez władzę terapii, która ma rzekomo uzdrowić gospodarkę. Dyskusji takiej nie było zresztą w partii. Nie było jej na ostatnim plenum KC. Nic więc dziwnego, że i od narodu chce się wyłącznie aklamacji.

Nic też dziwnego, że nie przedstawia się jasno i otwarcie kosztów, jakie w najbliższym okresie będzie musiało ponieść społeczeństwo. I że, nazywając rzecz po imieniu, okłamuje się po prostu i zwyczajnie opinię, gdyż udając jakoby pytało się ją o tempo reformy, pragnie się uzyskać od niej odpowiedź na zupełnie inne pytanie, zgodę na zupełnie inną decyzję. Na decyzję dotyczącą jedynej liberalizacji, na której rządowi naprawdę zależy — liberalizacji cen. Kiedy w oficjalnych wystąpieniach mówi się o potrzebie przywrócenia równowagi w gospodarce, za tym jakże słusznym postulatem kryje się przecież wymóg ostrego podniesienia cen przy równoczesnym zablokowaniu płac, tzn. dalszego zmniejszenia popytu. Tylko to pozwala przywrócić równowagę, gdy nie jest się w stanie zwiększyć podaży. Gdyby pytanie postawione pod referendum było sformułowane uczciwie, to by brzmiało: czy zgadzacie się na kolejną, drastyczną obniżkę waszej stopy życiowej?

Na to pytanie odpowiedzieć trzeba dwoma pytaniami: jakie są szanse, że ta obniżka zaowocuje odczuwalną poprawą, że zapoczątkuje choćby powolne, ale rzeczywiste zmiany, prowadzące ku strukturalnej przebudowie gospodarki narodowej i polepszeniu warunków życia Polaków? Kto gwarantuje, że nie będzie to jeszcze jedno poświęcenie, które zostanie zmarnowane, jak tyle innych w ciągu minionych czterdziestu trzech lat?

Odpowiedzi narzucają się nieodparcie. Władza nie jest w stanie udzielić żadnych gwarancji. Nawet, gdyby zapomniało się o Bierucie, o Gomułce i o Gierku, niepodobna nie dostrzec, że ekipa gen. Jaruzelskiego zaprzepaściła minionych sześć lat i że, co więcej, zachowuje się tak, jak gdyby doszła do władzy dopiero wczoraj i nie ponosiła pełnej odpowiedzialności za obecny stan kraju. *Exposé* premiera podczas ostatniej sesji Sejmu było znamienym przykładem tego stanu umysłu, który świadczy, że władcy PRL nie zmienili się w stopniu, który by pozwalał oczekiwać od nich czegokolwiek. Toteż szanse poprawy są nikłe, by nie powiedzieć żadne, o ile zmiany podstaw organizacji gospodarki i systemu sprawowania władzy nie będą tak głębokie, że otworzą zupełnie nowe perspektywy. Ale wymusić takie zmiany mogłyby

tylko nacisk mocnego ruchu społecznego, którego obecnie brak. Te zaś, które zapowiadają najbardziej nawet optymistyczne pogłoski na temat uchwał następnego plenum KC, nawet gdyby zostały wprowadzone w życie, wniosłyby tylko cząstkowe, choć bez wątplenia ważne usprawnienia do systemu, który ciągle podporządkowany jest celowi „zbudowania socjalizmu”. Dlatego też jedynym stanowiskiem, jakie opozycja winna zająć wobec referendum, jest wezwanie do powstrzymania się od udziału w tym przedsięwzięciu.

REDAKCJA

## WNIOSEK O ZWOŁANIE POSIEDZENIA KOMISJI KRAJOWEJ

Częstochowa, 20 września 1987.

Przewodniczący  
Komisji Krajowej NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”  
Lech Wałęsa

My, niżej podpisani członkowie Komisji Krajowej wybrani w demokratycznych wyborach na I Zjeździe NSZZ „Solidarność” składamy wniosek o zwołanie posiedzenia KOMISJI KRAJOWEJ.

Aktualna sytuacja w naszym Związku budzi poważny niepokój. Istnieje realna groźba utraty przez NSZZ „Solidarność” tożsamości w oczach środowisk pracowniczych w kraju oraz w opinii zagranicznych i międzynarodowych organizacji związkowych.

Wśród różnych przyczyn, dwie wysuwają się na czoło:

1. Wielość statutowych i pozastatutowych, jawnych, półjawnych i tajnych struktur i ciał związkowych, a także pojedynczych osób wypowiadających się w imieniu NSZZ „Solidarność” i aspirujących do kierowania jego działalnością.

Są wśród nich m.in.:

- Przewodniczący Komisji Krajowej Lech Wałęsa, którego prawa w tym zakresie są w zasadzie niekwestionowane;
- TKK — do niedawna bezsporny autorytet we wszystkich sprawach związkowych, tracąca jednak na znaczeniu wobec pojawienia się ciał konkurencyjnych;
- Tymczasowa Rada „Solidarności”, składająca się z niektórych byłych członków TKK;
- Grupa Robocza Komisji Krajowej, w której działalność prowadzi kilkunastu członków KK i ponadto kilkunastu działaczy z różnych regionów;
- Komisja d/s Praworządności skupiająca kilku członków KK, byłych członków TKK i wielu działaczy regionalnych.

2. Brak wyraźnie określonej linii programowej Związku jako całości i

niedostateczna obecność problematyki socjalno-bytowej w jego wypowiedziach i działaniach.

Sytuacja taka grozi uwikłaniem NSZZ „Solidarność” w intrygi wewnętrzne i spory prestiżowe, a jednocześnie grozi utratą kontaktu ponadzakładowych ciał związkowych ze środowiskami pracowniczymi. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że NSZZ „Solidarność” musi być ruchem społecznym, ale niewybaczalnym błędem byłoby, gdyby przestał być uważany za związek zawodowy. Wewnętrznie skłócony ruch społeczny, zaniedbujący tradycyjną problematykę związkową utraci znaczną część poparcia społecznego w kraju oraz w zagranicznych związkach zawodowych i ich centralach międzynarodowych. W efekcie NSZZ „Solidarność” może utracić wiarygodność jako reprezentant spraw pracowniczych. Przystanie być istotnym czynnikiem stosunków wewnętrznych w PRL.

Biorąc to pod uwagę Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność” powinna:

1. Dokonać oceny sytuacji polityczno-społecznej w kraju.
2. Dokonać oceny sytuacji w Związku.
3. Określić długofalowe i bieżące zadania Związku.
4. Potwierdzić kompetencje TKK w zakresie koordynacji niejawnej działalności NSZZ „Solidarność”.
5. Dokonać zmian w swym składzie, biorąc pod uwagę, że w stanie wojennym niektórzy członkowie Związku poprzez swoją działalność (dotyczy to zwłaszcza członków TKK) stali się *de facto* członkami Komisji Krajowej.
6. Podjąć swe zadania statutowe w zakresie kierowania jawnymi działaniami Związku.
7. Utworzyć stosowne komisje, zajmujące się najważniejszymi problemami, potwierdzić kompetencje tych spośród już istniejących, których istnienie i działanie oceni pozytywnie.

Zwracamy się o jak najszybsze zwołanie posiedzenia Komisji Krajowej i wznowienie jej działalności.

1. Grzegorz Durski — Szczecin, 2. Lech Dymarski — Poznań, 3. Mieczysław Gil — Nowa Huta, 4. Andrzej Gwiazda — Gdańsk, 5. Seweryn Jaworski — Warszawa, 6. Marian Jurczyk — Szczecin, 7. Stanisław Kocjan — Szczecin, 8. Zbigniew Kokot — Częstochowa, 9. Jerzy Kropiwnicki — Łódź, 10. Witold Król — Radom, 11. Stanisław Marczuk — Białystok, 12. Eugeniusz Matyjas — Leszno, 13. Bogusław Mikus — Chełm, 14. Grzegorz Palka — Łódź, 15. Aleksander Przygodziński, 16. Zbigniew Romaszewski — Warszawa, 17. Andrzej Rozpłochowski — Katowice, 18. Andrzej Słowik — Łódź, 19. Antoni Tokareczuk — Bydgoszcz, 20. Stanisław Wądołowski — Szczecin, 21. Grażyna Wendt-Przybylska — Płock.

Za zgodność:  
Andrzej SŁOWIK

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

27-9-87

Grupa trzydziestu dziennikarzy, w ich liczbie Teresa Torañska, Jerzy Turowicz i Stefan Bratkowski, złożyła w Urzędzie Stołecznym wniosek o zarejestrowanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

30-9-87

Minister Kultury i Sztuki PRL ustanowił specjalną nagrodę za osiągnięcia twórcze i rozślawianie muzyki polskiej w świecie. Pierwszymi laureatami zostali: W. Lutosławski i St. Wisłocki.

1-10-87

Zmarł w Poznaniu w wieku 81 lat Roman Brandstaetter, wybitny pisarz katolicki i dramaturg, autor szeregu dramatów historycznych i współczesnych. ■ Sowiecki Komitet Państwowy d/s Statystyki poinformował, że do połowy września bież. roku zebrano ziarno jedynie z 75 % powierzchni zasiewów. W wielu regionach opóźnienia wytworzyły sytuację alarmującą.

5-10-87

Na konferencji prasowej w Katowickiej Centrali Zbytu Węgla poinformowano, że mimo zwiększenia dostaw o 2 mln ton (w porównaniu z ub. rokiem) będzie brakowało węgla. Uzupelnieniem musi się stać węgiel brunatny, sprzedawany bez reglamentacji.

10-10-87

Tygodnik *Polityka* w Warszawie podaje wyniki badań CBOS o dziennikarzach — oto ciekawsze oceny. *Polityka* informacyjna władz jest (w %):

elastyczna	bywa taka i taka	sztywna
60,4	11,5	27,2
jasna	bywa taka i taka	zagammatwana
28,2	14,9	55,7
stabilna	bywa taka i taka	chwiejna
30,2	10,1	58,4
planowa	bywa taka i taka	przypadkowa
35,0	14,5	49,1
konsekwentna	bywa taka i taka	chaotyczna
36,4	13,5	48,7
fachowa	bywa taka i taka	dyletancka
38,4	26,2	33,6
pozyteczna	bywa taka i taka	szkodliwa
43,9	29,2	24,9
dalekowzroczna	bywa taka i taka	nastawiona na doraźny efekt
6,8	12,5	79,5
mądra	bywa taka i taka	głupia
31,0	43,5	22,9
spójna	bywa taka i taka	
25,2	18,9	
		wewnętrznie sprzeczna
		54,1

Tygodniki najpopularniejsze wśród dorosłych (według częstości wskazań):

Próba ogólnopolska VI. '87		Próba ogólnopolska VI. '87	
1) <i>Przyjaciółka</i> .....	26,5	6) <i>Razem</i> .....	7,1
2) <i>Kobieta i Życie</i> .....	18,0	7) <i>Gospodyni</i> .....	6,1
3) <i>Polityka</i> .....	13,8	8) <i>Veto</i> .....	3,9
4) <i>Przekrój</i> .....	11,4	9) <i>Przegląd Tygodniowy</i> ..	3,8
5) <i>Panorama</i> .....	7,9	10) <i>Prawo i Życie</i> .....	3,2

15-10-87

Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim odbyło się sympozjum naukowe poświęcone twórczości Stanisława Vincenza.

19-10-87

Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat Igor Newerly znany powieściopisarz, publicysta i pedagog.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

13-7-87

Z opóźnieniem odnotowujemy jubileusz 80-lecia Norberta Żaby, jednego z nestorów emigracji polskiej w Szwecji. Norbert Żaba jest nieustrudzonym propagatorem *Kultury* i wydawnictw Instytutu Literackiego i to od lat 40-tu. Prowadzi on ożywioną działalność organizacyjną i społeczną na terenie Skandynawii i Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji.

1-10-87

W pierwszą rocznicę śmierci poetki Barbary Sadowskiej redakcja miesięcznika *Kontakt* w Paryżu postanowiła utworzyć coroczną nagrodę poetycką im. Barbary Sadowskiej. Nagroda ta będzie przekazywana do Kraju na ręce Elżbiety Ficowskiej, a kilkuosobowe jury przyznawać ją będzie trzem-czterem osobom do wykorzystania w Kraju lub na krótkie pobyty na Zachodzie. Doroczna składka na tę nagrodę wynosi od 100 do 500 franków. Wpłaty należy kierować: KONTAKT — nagroda Barbary Sadowskiej — 42, rue Raymond-Marcheron, 92170 VANVES — na konto pocztowe: CCP PARIS 351140 E. ■ Spotkania klubowe Stowarzyszenia „Kontakt” odbywają się obecnie w lokalu S.P.K. w Paryżu — 20, rue Legendre (metro: Villiers). ■ Komisja Wspólnego Rynku w Brukseli została upoważniona do prowadzenia negocjacji w sprawie zawarcia układu o współpracy gospodarczej i handlowej z Rumunią i z Węgrami, a także w sprawie zawarcia układu handlowego z Czechosłowacją. Z PRL prowadzono dotąd tylko konsultacje na szczeblu ekspertów.

5-10-87

Związek Sowiecki zdecydował się na udział w sfinansowaniu Finul. Przewidziana stawka na 1988 rok wynosi 18 mln dolarów. W zamian za to Moskwa zamierza wysłać do Libanu oddział wojska PRL.

6-10-87

Arabia Saudyjska stała się nową potęgą rolniczą w skali światowej. Produkcja zboża wyniosła w 1986 roku 2,5 mln ton. Zboże eksportowane jest głównie do Portugalii i do Wielkiej Brytanii, kosztem dotychczasowych dostawców, tj. Stanów Zjednoczonych i Kanady.

7-10-87

Zmarł w Londynie w wieku 75 lat Józef Płoski, wybitny działacz polityczny i społeczny, prezes Związku Polskich Ziemi Zachodnich, redaktor *Przeglądu Zachodniego*.

8-10-87

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odczyt Henri Rolleta pt. *Réflexion sur le livre de Wacław Jędrzejewicz — Józef Piłsudski, biografia*.

13-10-87

W Drian Galerie w Londynie została otwarta wystawa malarska Janiny Jasińskiej-Luterek.

15-10-87

Nagroda im. Jiří Lederera, utworzona w Paryżu przez redakcje *Zeszytów Literackich* i *Svedectvi*, została przyznana Petrowi Pospichalowi, zamieszkałemu w Brnie w Czechosłowacji (wynosi ona F. 5.000).

17-10-87

W sali przy polskim kościele św. Stanisława w Rzymie odbył się odczyt Władysława Bartoszewskiego na temat „Polacy a sprawa wolności”.

18-10-87

W kościele akademickim w Paryżu została odprawiona msza święta za śp. Zygmunta Hertzę, zmarłego 5 października 1979 roku.

19-10-87

Zmarła w Londynie po ciężkiej chorobie Janina Chodakowska, matka Jana Chodakowskiego, redaktora i wydawcy *Pulsu* i naszego przyjaciela. *Kultura* składa mu wyrazy głębokiego współczucia.

29-10-87

Zebrań Prezydium i Rady Polonii Wolnego Świata odbyło się w Paryżu, w gmachu Biblioteki Polskiej w dniach od 29 do 31 października br. W tym zebraniu wzięli udział członkowie Rady, a mianowicie Stanisław Orłowski z Kanady, przewodniczący Rady — Alojzy Mazewski z USA, Krzysztof Łańcucki z Australii, Artur Rynkiewicz z Wielkiej Brytanii oraz Bolesław Natanek z Francji.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

W federalnych wyborach w Australii (obecne zaludnienie ponad 16 milionów mieszkańców) wygrała Australijska Partia Pracy. Główne stronnictwo opozycyjne — Partia Liberalna oraz będąca w koalicji opozycyjnej Partia Narodowa (farmerów) uzyskały około 44 % głosów. Australijska Partia Pracy zdobyła ponad 2 % głosów więcej. Reszta wyborców oddała głosy mniejszym stronnictwom politycznym, głównie Partii Demokratycznej oraz niezależnym kandydatom. Przewodca Australijskiej Partii Pracy, Bob Hawke, jest pierwszym federalnym premierem z tej partii, wybranym na trzecią kolejną kadencję. W australijskiej kampanii wyborczej dominowały problemy ekonomiczne. Programy dwóch największych australijskich stronnictw, Australijskiej Partii Pracy i Partii Liberalnej, zbliżyły się w ostatnich latach. Głównymi założeniami programowymi obu stronnictw są: usprawnienie australijskiej gospodarki, w polityce zagranicznej bliższa współpraca z krajami południowo-wschodniej Azji, a przede wszystkim z członkami antykomunistycznego Stowarzyszenia Państw Południowo-Wschodniej Azji (ASEAN) oraz zachowanie militarnego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, uważanego za najważniejszy dla przyszłości Australii. Różnice między tymi stronnictwami zarysowują się przede wszystkim w podejściu do rozwiązań ekonomicznych. Polityka zagraniczna obu stronnictw jest prawie identyczna. ■ Wybory odbyły się również w trzy- i półmilionowej Nowej Zelandii.

Zwyciężyła Partia Pracy, której rząd z premierem Davidem Lange, w przeciwieństwie do Australijskiej Partii Pracy, wycofał się ze współpracy militarnej ze Stanami Zjednoczonymi. Nowa Zelandia została wykluczona z paktu wojskowego ANZUS (w skład którego wchodzi Australia i Stany Zjednoczone) kiedy rząd tej partii wydał zakaz zawijania do portów nowozelandzkich okrętów wojennych o napędzie nuklearnym. ■ W australijskim roku finansowym 1986/1987 przyjechało w odwiedziny do Australii z Polski 4.200 osób, natomiast z Australii do Polski wyjechało w odwiedziny około 10 tys. osób z australijskiej Polonii. ■ Istniejący od szeregu lat w Australii (Melbourne) Instytut do Spraw Wielokulturowości został zlikwidowany. Rząd federalny powołał na jego miejsce Urząd do Spraw Wielokulturowości oraz Komitet Doradczy do Spraw Wielokulturowości przy urzędzie premiera, z siedzibą w federalnej stolicy Canberra. Wiceprzewodniczącym Komitetu Doradczego został Włodzimierz Wojak, przewodniczącą Rad Społeczności Etnicznych w Australii, znany polonijny działacz społeczny w Sydney. ■ W Domu Polskim w Brisbane, stolicy stanu Queensland, odbyła się uroczystość przekazania aktu rejestracyjnego Festiwalu Polskiej Kultury i Sztuki POL-Art 88, jako imprezy wchodzącej w skład obchodów 200-lecia białego osadnictwa w Australii. W uroczystościach wzięł udział gubernator stanu Queensland Sir Walter Campbell. Przewodniczącym komitetu organizacyjnego ogólnaustralijskiego festiwalu jest Jan Kuroпка (z młodszej generacji), syn znanego działacza harcerskiego Franciszka Kuroпка. Będzie to czwarty z kolei Festiwal Kultury i Sztuki Polskiej 150-tysięcznej australijskiej Polonii, co kilka lat urządzany pod patronatem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. ■ Nowomianowany ambasador Australii w PRL, Lawry W. Herron, przed wyjazdem na nową placówkę w Warszawie, po raz pierwszy zaprosił na konferencję prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, Krzysztofa Łańcuckiego. Poruszone były tematy związane z australijską Polonią, jej liczebnością i strukturami organizacyjnymi oraz jej stosunkiem do kraju pochodzenia. Ambasador L. W. Herron złożył również wizytę w redakcji melbournieńskiego *Tygodnika Polskiego*, gdzie w rozmowie z redaktorem Jerzym Grot-Kwaśniewskim omawiał sprawę polskiej prasy w Australii, australijskiej Polonii i sytuacji w Polsce. ■ Nakładem prestiżowego wydawnictwa Australian National University Press ukazała się w języku angielskim książka historyka australijskiej Polonii Lecha Paszkowskiego pt. „Poles in Australia and Oceania 1790-1940”. Przedmowę napisał jeden z najwybitniejszych australijskich historyków, prof. Manning Clark, wstęp — najbardziej znany polski naukowiec w Australii, prof. Jerzy Zubrzycki. ■ Nowoutworzone w Melbourne wydawnictwo Halrod Press Pty. Ltd., którego właścicielem jest dziennikarz Tadeusz Matkowski, wydało książkę pt. „Śmiech zakazany”, w opracowaniu Adama Rosenbuscha. Książka jest antologią dowcipów politycznych 40-tu lat PRL. ■ Staraniem byłych żołnierzy Armii Krajowej, zamieszkałych w Australii, ukazało się drugie wydanie książki „Wspomnienia byłych żołnierzy Armii Krajowej (poprawione i uzupełnione przez Zofię Wolańską). ■ Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii wystąpiła z inicjatywą i apelem o poparcie akcji budowy pomnika Tadeusza Kościuszki w Australii, na 200-tą rocznicę założenia pierwszej osady białych na tym kontynencie. Autorem projektu pomnika jest znany artysta australijski polskiego pochodzenia, Stanisław Ostoja-Kotkowski. Pomnik ma być postawiony w pobliżu góry Kościuszki (najwyższej w Australii), odkrytej i nazwanej przez Pawła Edmunda Strzeleckiego. ■ Polska księgarnia firmy Contal (centrala w Melbourne, oddziały we wszystkich stanowych stolicach) jest nie tylko największą w Australii polską księgarnią, ale także jedną z największych na emigracji. Posiada stale około 5 tysięcy tytułów i około 50 tys. tomów wydawnictw emigracyjnych i krajowych. ■ Australia stała się obecnie Mekką dla artystów z Polski. Prawie że co kilka tygodni, poczynając od stycznia bież. roku, przy-

bywają oni z koncertami dla australijskiej Polonii. Występowali już: Jan Pietrzak, Maria Sienkiewicz, Edward Dziewoński, Jan Kobuszewski, Magda Zawadzka, Wiesław Michnikowski, Andrzej Rosiewicz, Joanna Rawik, Krystyna Sienkiewicz i Wiesław Gołas. W październiku przybywają Wojciech Młynarski, Irena Jarocka i Jerzy Derfel, w listopadzie kabaret Smoleń i Edyta Geppert. Prócz artystów z Polski miał koncerty Waldemar Kocoń ze Stanów Zjednoczonych, a wieczory autorskie satyryk Tadeusz Polanowski ze Szwecji. Z Monachium ma ponownie przyjechać Jacek Kaczmarski, na zaproszenie oddziału „Solidarności” w Australii. ■ W Perth, stolicy stanu Zachodniej Australii, zaczął się ukazywać w polskim i angielskim języku nowy miesięcznik społeczno-kulturalny pt. *Kurier zachodni*, wydawany przez środowisko najnowszej emigracji, w bardzo starannej szacie graficznej, z licznymi ilustracjami. Redaktorem jest Andrzej S. Basiński.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

video  
kontakt

**WYDAWNICTWO KASET VIDEO**  
Wspomaga niezależne wydawnictwa  
Kaset video w Polsce ▷ rozpowszechnia  
Nia ich kasety za granicą ▷ realizuje  
Je filmy oparte na materiałach  
W kraju nie osiągalnych • przeznaczone  
Cza dochód ze sprzedaży kaset na  
Rzeczony rozwój kultury niezależnej w Polsce  
Ce • proponuje filmy o związanej z  
Z Polską tematyce politycznej, historycznej,  
Ryczej, kulturalnej i społecznej  
• osobom zainteresowanym wysyła  
My ulotki reklamowe z opisem  
**POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW**

video  
kontakt

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

## Listy do Redakcji

Londyn, 5 października 1987..

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Bohdan Osadczuk w artykule „Sprawa Tatarów Krymskich” (*Kultura* nr 9/480) na stronie 119 w miejscu, gdzie omawia losy Republiki Krymskiej powstałej w następstwie rozpadu Imperium Rosyjskiego w toku rewolucji 1917 roku, pisze: „Nie pomogło przyjęcie do kierownictwa rządu Aleksandra Sulkiwicza, polskiego Tataru i wybitnego rewolucjonisty, przyjaciela Piłsudskiego”. Nie bardzo rozumiem, w czym miałyby pomóc powierzenie w czerwcu 1918 roku rządu Sulkiwiczowi i dlaczego miało pomóc. Czy dlatego, że bolszewicy mieliby się liczyć z Piłsudskim, więzionym wtedy w Magdeburgu? Tym bardziej, że szef rządu krymskiego — Sulkiwicz, miał na imię Maciej, był rosyjskim generałem, a raczej generałem ze służby rosyjskiej, człowiekiem jak najbardziej odległym od ruchu rewolucyjnego. Natomiast przyjaciel Józefa Piłsudskiego Iskander albo Aleksander Sulkiwicz, pseudonim Michał Czarny, już wtedy nie żył, gdyż poległ w 1916 roku w mundurze podoficera legionowego w toku bojów nad Stochodem. Te sprawy są dobrze znane, gdyż o Aleksandrze Sulkiwiczu pisano bardzo dużo w okresie międzywojennym; istnieją również publikacje w języku polskim dotyczące działalności i udziału w walce z bolszewikami generała Macieja Sulkiwicza. Po fiasku Republiki Krymskiej w listopadzie 1918 roku był on szefem Sztabu Generalnego armii azerbejdżańskiej i w 1920 został przez bolszewików rozstrzelany w Baku. Pragnę jeszcze dodać, że Aleksander Sulkiwicz jest jedynym piłsudczykiem, który do dzisiaj ma „swoją” ulicę w Warszawie.

Pragnę też zwrócić panu Osadczukowi i redakcji uwagę, że wyznawcy islamu nie uważają siebie za mahometan, ponieważ nie są wyznawcami proroka, lecz Allaha, a więc wiernymi i dlatego poprawnie jest mówić o mużłmanach, a więc na teście stronie 119 wymieniony Komitet Wykonawczy powinien nazywać się Mużłmański a nie Mahometański, jak pisze p. Osadczuk.

Tyle sprostowania.

Łączę wyrazy poważania

Aleksander ACHMATOWICZ

Montreal, 5 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Wydarzeniach miesiąca” (*Kultura* nr 9/480, 1987) przeczytałem o odsłonięciu w Warszawie tablicy upamiętniającej czyn lotników, którzy nieśli pomoc walczącej Warszawie. Wśród wyliczonych jednostek RAF-u, SAAF-u, PAF-u i U.S.AAF-u wymieniony jest 138 brytyjski dywizjon, który miał ponoć nieść pomoc powstańcom. Nie jest to zgodne z prawdą.

W czasie Powstania Warszawskiego brytyjski 138 dywizjon do specjalnych zadań stacjonował w Anglii na lotnisku Tempsford k/Bedford. Dokończył on zrzutów w tym czasie głównie do Francji (121 lotów w sierpniu

1944 roku), a nie do Polski, co łatwo można stwierdzić w dzienniku bojowym 138 dywizjonu w brytyjskim archiwum w Londynie (Public Record Office, sygn. AIR-27/956).

Ostatni lot dywizjonu 138 odbył się z tego lotniska do Polski w nocy z 20/21 października 1943 roku na Liberatorze nr BZ-860, oznaczonym literami rozpoznawczymi NF:U (NF = 138 dywizjon, U = kod samolotu w dywizjonie). Załogę tego samolotu stanowili Polacy: piloci W/O Stanisław Kłosowski, W/O Wincenty Mąka, naw. S/L Stanisław Król, r/o W/O Henryk Ptasiewicz, desp. W/O Józef Chodyra, mech. sgt Stanisław Masłoń, strz. F/S Janusz Barcz. Dokonali oni zrzutu 6 zasobników na placówkę „Chochla”, położoną w Puszczy Kampinoskiej i oddaloną od warszawskiego Dworca Głównego o 25 km. Lot ten trwał aż 16 i pół godzin i był najdłuższy. Leciano wtedy nad Szwecją. W nocy z 18/19 grudnia 1943 roku poleciały jeszcze dwie załogi brytyjskie z 138 dywizjonu z lotniska Campo Casale k/Brindisi we Włoszech. Były to operacje lotnicze „Weller 1” i „Weller 2”, każda z 4 skoczkami, 9 zasobnikami i 6 paczkami na placówkę „Pierzyna”, położoną 10 km na południowy zachód od Mińska Mazowieckiego i oddaloną od warszawskiego Dworca Głównego o 28,5 km. Obie te załogi nie znalazły placówki i zadania nie wykonały. Na tych trzech lotach skończył się udział 138 dywizjonu w lotach do Polski.

W pierwszych dwóch tygodniach Powstania do Warszawy latali wyłącznie Polacy z 1586 eskadry (6 załóg), bo na skutek sowieckich nacisków Brytyjczycy zawiesili do 12 sierpnia 1944 roku swoim załogom loty do Warszawy. Tablica odsłonięta 1 sierpnia 1987 roku w Warszawie zawiera mylne dane i wprowadza jeszcze więcej zamieszania w kontrowersyjny temat pomocy lotniczej z Zachodu dla powstańców.

Łączę wyrazy szacunku

Kajetan BIENIECKI

Drogi Panie Jerzy,

Poprzedni numer *Kultury* (nr 9/480) zawierał szereg artykułów i informacji o pomocy Zachodu dla opozycji w kraju. Jest to w tym sensie unikat; jeśli się nie mylimy — nigdy i nigdzie przedtem nie zostały w jednym wydawnictwie ogłoszone szczegóły tak wielu kanałów pomocy dla kraju.

Opublikowanie tych informacji zasługuje w pełni na pochwałę. Przede wszystkim naświetla otwartość prowadzonych akcji oraz legalne źródła zbieranej dla opozycji pomocy. Z faktu tej publikacji wynikają od razu dwa ważne następstwa:

(1) Lepsze poinformowanie społeczeństwa polskiego w kraju i na emigracji na temat skali i form pomocy finansowej płynącej dla opozycji z Zachodu oraz

(2) Społeczny postulat rozliczenia się z otrzymywanych pieniędzy.

Zapowiedzią przyszłych głosów społecznych o sprawozdania, o wylizanie się z otrzymywanych pieniędzy może być opublikowany w tymże wrześniowym numerze *Kultury* artykuł Bogdana Stasikowskiego „Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości”. Nie ulega kwestii, że tego rodzaju głosów będzie teraz coraz więcej.

Pieniądze płynące do kraju stanowią bardzo poważne kwoty nawet na stosunki zachodnie; w wymiarze krajowym są to sumy niekiedy astronomiczne. Ponieważ chodzi o pieniądze, trzeba się spodziewać postulatów skrupulatnej społecznej kontroli.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż w warunkach konspiracji, która w takim czy

innym stopniu musi towarzyszyć znacznej części działalności opozycyjnej, pełna kontrola społeczna w sensie publikowania rozliczeń z otrzymywanych dotacji nie jest możliwa. Z drugiej jednak strony fakt tej konspiracji nie może być wyłudzeniem zupełnego braku takiej kontroli. Z kilkuletniego doświadczenia POLCUL FOUNDATION wiemy, że odbiorcy naszej pomocy w kraju bynajmniej nie pomagają nam w spełnieniu postulatów kontroli naszej działalności. W ciągu 7-miu lat istnienia naszej Fundacji przyznaliśmy około 350 wyróżnień, przekazując do kraju łączną sumę około US \$ 180.000. Wszystkie przekazywane przez nas pieniądze kwitowane są przez osoby odbierające je (dla wyróżnionych) w *Paryżu*. Bardzo rzadko niestety otrzymujemy pokwitowania — nie mówiąc już o podziękowaniach — samych wyróżnionych. Na 350 osób, które otrzymały od nas poważną sumę \$ 500 — wystarczającą przeciętnej rodzinie na *całoroczną egzystencję* — tylko około 40-tu osób tą czy inną drogą napisało do nas potwierdzając otrzymanie naszego wyróżnienia. Stanowi to zaledwie około 11 %!

Jest kilka aspektów tego — powszechnego niestety — braku indywidualnych potwierdzeń:

- Sprawa czysto ludzkiego odruchu — nie rozumiemy, dlaczego tak mało osób potrafi się na taki odruch zdobyć;
- Pełna kontrola, iż zabrane w *Paryżu* pieniądze zostały w całości i w terminie doręczone. *Nota bene*: aczkolwiek korzystamy dla przewozu pieniędzy z osób zasługujących, naszym zdaniem, na pełne zaufanie — nie można zupełnie wykluczyć wszelkich uchybień czy nieprawidłowości. Mielśmy już w tym sensie pewne uwagi krytyczne;
- Brak możliwości wykazania naszym ofiarodawcom skuteczności naszej pomocy. Zarówno nasi ofiarodawcy indywidualni (osoby prywatne), jak i instytucje (NED) z pewnością oczekują *osobistych relacji odbiorców*, podkreślających wagę otrzymywanej pomocy.

Tego rodzaju relacje odbiorców będą w przyszłości posiadały wielką wagę, a może nawet stanowiły warunek dla kontynuowania poparcia i pomocy.

Aczkolwiek czynimy wszelkie wysiłki zobowiązując osoby przewożące pieniądze do nalegania na ich potwierdzenie, wyniki nasze są bardziej niż mierne, w zasadzie negatywne.

Zdecydowaliśmy się napisać do Pana i kilku innych osób niniejszy list z prośbą o radę, jak można poprawić ten stan rzeczy. Jesteśmy przekonani, iż — choć to niełatwy problem — wymaga on rozwiązania. W przeciwnym wypadku akcja uzyskiwania pomocy finansowej z Zachodu dla opozycji w kraju może w niedługiej przyszłości przyszość na niespodziewane trudności.

Przesyłamy najlepsze pozdrowienia. Prosimy o wypowiedź.

J. BONIECKI  
POLCUL FOUNDATION

Sztokholm, wrzesień 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia. We wrześniowym numerze *Kultury* (nr 9/1987) w wywiadzie K. Podgórskiego z Wojciechem Giełżyńskim pt. „Wolny zawód” W. Giełżyński, opowiadając o początkach swojej kariery dziennikarskiej, powiedział m.in. (str. 69): „... w końcu 1953 roku zostałem po prostu 'z ulicy', z paskudną hipoteką polityczną, przyjęty przez Gustawa Ludkiewicza, ówczesnego potentata prasy młodzieżowej, do nowotworzonego *Dookoła świata*”. Mowa tu jest o mnie,

ponieważ to ja właśnie przyjąłem W. Giełżyńskiego do pracy w redakcji *Dookoła świata*. Tyle tylko, że W. Giełżyński trochę się pomylił, bowiem nazywam się nie Gustaw, lecz Stanisław Ludkiewicz. Byłem w owym czasie redaktorem naczelnym *Sztandaru Młodych*, członkiem sekretariatu ZG ZMP odpowiedzialnym za prasę młodzieżową i w omawianym okresie zajmowałem się intensywnie powołaniem do życia *Dookoła świata*. Stąd ów „potentat” u W. Giełżyńskiego.

Łączę wyrazy poważania

Stanisław LUDKIEWICZ

Rzym, 15 maja 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym wypowiedzieć się w kilku sprawach, które poruszył p. Dominik Morawski na łamach *Kultury* nr 3 i 4. Nie byłbym skłonny zareagować na jego twierdzenia, gdyż przypominają mi politykowanie starszych panów przy kawiarnianym stoliku, problem dotyczy jednak Litwy, a *Kultura* czytana jest zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie.

Przedstawicielstwo Litwy przy Stolicy Świętej cieszy się poparciem wszystkich Litwinów żyjących za granicą. Kiedy w roku 1958 istnienie misji znalazło się w niebezpieczeństwie, reakcja społeczności litewskiej za granicą była niezwykle ostra. Tak samo stałoby się też dziś. Przedstawicielstwo stanowi bowiem symbol nieuznawania sowieckiej okupacji na Litwie. *Kronika Kościoła katolickiego na Litwie* zwraca się do mnie jako do przedstawiciela Litwy przy Stolicy Świętej, a zatem ma ona zaufanie w samym kraju.

Wszyscy Litwini są bardzo wdzięczni Ojcu Świętemu za jego życzliwość stale okazywaną Litwie oraz zrozumienie dla jej spraw. Wszystkie duże państwa prowadzą politykę nieuznawania okupacji, a niedawno Parlament Europejski przyjął przychylną dla Litwy rezolucję popierającą sprawę jej wolności.

Co się tyczy „Solidarności”, wydaje mi się, że Polacy oraz nie-Polacy powinni popierać tę organizację, rozumieć ją i, zwłaszcza za granicą, bronić jej, ponieważ jest ona dziś jedyną wyrazieliwą politycznych i społecznych aspiracji narodu polskiego.

Z wyrazami szacunku

S. LOZORAITIS jr.

Sztokholm, 23 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze wrześniowym (nr 9/1987) w dwóch miejscach znalazły się nieścisłości, dotyczące centrali szwedzkich związków zawodowych LO i ich roli w pomocy związkowcom w Polsce. Czuję się w obowiązku sprostować je.

Pierwsza pomyłka przytrafiła się naszym kolegom z Biura Koordynacyjnego „Solidarności” w Brukseli, w oświadczeniu Biura na temat pomocy finansowej dla NSZZ „Solidarności” zza granicy. Na stronach 109-110 jest napisane: „W krajach demokratycznych, w szczególności w Skandynawii, RFN, Kanadzie i USA, fundusze państwowe, przeznaczane uchwałą parlamentu na realizację programów zagranicznych, zagospodarowywane są nie tylko przez agendy rządowe, lecz również przez różne wiarygodne instytucje niezależne, fundacje, partie polityczne, związki zawodowe i inne organizacje społeczne. Pomoc finansowa, którą NSZZ „Solidarności” otrzymuje np. od centrali związkowej LO - Szwecja czy od RFL - CIO pochodzi właśnie na tej

zasadzie ze skarbu państwa, lecz jest przydzielana decyzją zarządów tych central”.

Otóż pomoc centrali szwedzkich związków zawodowych LO na żadnej zasadzie nie pochodzi od państwa. Pochodzi z Robotniczego Funduszu do Spraw Międzynarodowych. W skład funduszu wchodzi m.in. związki zawodowe i partia socjaldemokratyczna, które, jak wszyscy pozostali członkowie, wpłacają do kasy funduszu część składek członkowskich. Na koncie znalazły się również pieniądze pochodzące ze zbiórki ogłoszonej przez fundusz po 13 grudnia 1981. Również nie od państwa, lecz z kasy związkowej, pochodzą pieniądze, które centrala szwedzkich związków przeznacza na realizację konkretnych projektów na przykład pomoc Oświacie Niezależnej w Polsce.

Drugą pomyłkę popełnia Bogdan Stasikowski w swoim artykule „Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości”. Na stronie 142 pisze: „Ludzie mający z tym choć odrobinę wspólnego wiedzą np., że szwedzkie LO (informowała o tym prasa) przeznaczyły kilkadziesiąt tysięcy koron na pomoc dla polskich pisarzy”.

Szwedzkie związki zawodowe nie przeznaczyły, jak dotąd, w ramach swej pomocy związkowcom w Polsce, pieniędzy dla polskich pisarzy. Sądzę, że chodzić może o wyżej wspomnianą pomoc Oświacie Niezależnej, a ponieważ zarówno oświata jak i kultura wchodzi w skład OKN-a, mogło dojść do pomyłki.

Łączę wyrazy szacunku

Marek MICHALSKI

kierownik Biura Informacyjnego „Solidarności” w Szwecji

Oksford, 18 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z pierwszym ustępem „Wyjaśnienia” ogłoszonego w numerze 9/1987 *Kultury* (na str. 174) zobowiązany byłbym za podanie do wiadomości czytelników Pańskiego miesięcznika, że:

— nie istnieje „Studium Spraw Polsko-Zydowskich p. Macieja Jachimczyka”. Istnieje natomiast od przeszło dwóch lat placówka naukowa pod nazwą „Institute for Polish-Jewish Studies” z siedzibą w Oksfordzie. Niżej podpisany jest prezesem tegoż Instytutu, a wiceprezesami są: prof. Władysław Bartoszewski, prof. Yisrael Gutman, dr David Patterson i dr Zbigniew Pełczyński.

Pan Maciej Jachimczyk, B.A. jest dyrektorem administracyjnym (Executive Director) Instytutu.

Pragnę też potwierdzić Pańskie oświadczenie, że nasz Instytut nie został założony przy współudziale *Kultury* i nie jest przez nią subwencjonowany. Z wdzięcznością natomiast stwierdzamy, że *Kultura* przyczyniła się — jednorazowo — w roku 1984 do częściowego pokrycia kosztów międzynarodowej konferencji na temat stosunków polsko-żydowskich w Oksfordzie jesienią 1984 roku. Materiały z tej konferencji ukazały się potem w książce pod tytułem „The Jews in Poland” oraz w tomach pierwszym i drugim rocznika „POLIN” staraniem nowopowstałego Instytutu.

Z wyrazami szacunku,

Antony POLONSKY

London, 22 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do listu pana Morelewskiego we wrześniowej *Kulturze* pragnę zwrócić uwagę na dwie sprawy.

Po pierwsze, *Tydzień Polski* opublikował mój list krytykujący książkę Koraba-Zębryka 23 maja br., czyli już po wysłaniu tego listu do *Kultury* w dniu 4 kwietnia br.

Po drugie, ponieważ panu Morelewskiemu nie odpowiada krytyka książki wydanej w kraju przez człowieka zamieszkałego na Zachodzie, sugeruję, żeby zapoznał się z krytycznym omówieniem książki Koraba-Zębryka napisanym przez zamieszkałego w kraju Zygmunta Grunt-Mejera (Zyga), dawnego oficera 5 Brygady Wileńskiej „Łupaszi”. Ukazało się ono we wrześniowym numerze *Przeglądu Powszechnego*, wydawanego przez oo. jezuitów w Londynie. Adres: 182 Walm Lane, London NW2 3AX. Cena pojedynczego numeru 60 p.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

P.S. Można by dodać, że w kraju książki Koraba-Zębryka ukazały się oficjalnie co najmniej dwie negatywne oceny książki Koraba-Zębryka (płk dr Tadeusz Sawicki, *Wojskowy Przegląd Historyczny* nr 2 z 1986 i dr Tomasz Strzembosz z KUL-u), oraz jedna poza cenzurą napisana przez wileńskich akowców mjr. Aleksandra Wasilewskiego, ppor. Olgierda Christa i kpr. Henryka Sobolewskiego (*Głos* nr 4, czerwiec 1987).

Z. S. S.

Sztokholm, 19 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z oceną bieżącego funkcjonowania Komitetu Kultury Niezależnej, przedstawioną przez pana Bogdana Stasikowskiego (*Kultura* nr 9/480, 1987), pragnę przekazać kilka uwag.

W Szwecji działa od kilku lat społeczny, niezależny fundusz stypendialny, w którym współuczestniczą, także finansowo. Od dłuższego czasu zarówno mnie, jak innych członków tej spontanicznej i dobrowolnej akcji na rzecz niezależnej kultury w Polsce, nurtują pewne wątpliwości. Dotyczą one nadmiernie konspiracyjnego postępowania KKN. Kilkakrotnie przekazywałem KKN nasze poglądy w tej sprawie, postulując zwiększenie zakresu informacji udzielanej przez ten Komitet ofiarodawcom funduszy, wysyłanych do Kraju. Nasze oczekiwania w stosunku do KKN dotyczyły opracowania — symbolicznej chociaż — formy kontroli rozdziału stypendiów, okresowych sprawozdań aktualnego stanu i wyników tej akcji, uchylenia anonimowości tych stypendystów, których bezpośrednio wspomagamy oraz możliwości nawiązania z nimi bliższego kontaktu. Aczkolwiek owe bardzo ograniczone informacje KKN dotarłyby jedynie do wąskiego grona zaufanych osób, aktywnych członków funduszu stypendialnego w Szwecji, nie doczekaliśmy się realizacji naszej prośby. KKN zadowolona się potwierdzaniem wysokości sum, przesyłanych przez nas do Polski.

Ta krańcowa wstrzemięźliwość informacyjna KKN budzi zastrzeżenia, a nawet może niepokoić. Wspomniany artykuł dowodzi, że analogiczne przekonanie wyrażają również inni. Rozumiem, że działania KKN muszą być w dużym stopniu poufne. Nikt nie domaga się całkowicie jawnego funkcyj-

nowania tego Komitetu w osławionych warunkach PRL. Jednakże należy w pełni zgodzić się z tezą artykułu, domagającą się społecznej formy nadzoru czy uwiarygodnienia rozdziału lub przyznawania funduszy, nagród i stypendiów KKN.

Każdemu działaczowi wiadomo, że reguły gospodarowania organizacyjnymi, a zwłaszcza społecznymi środkami finansowymi, wymagają niezależnej kontroli i jawnych, ogólnie dostępnych rozliczeń. Nieprzestrzeganie tych podstawowych zasad powoduje zawsze ujemne skutki nie tylko dla danej instytucji, ale także może szkodzić nawet najbardziej słusznej sprawie.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Dr Zygmunt STANKIEWICZ

W związku z zamieszczonymi poniżej listami, dotyczącymi dotacji z National Endowment for Democracy wyjaśniamy, że ogłoszone informacje pochodziły z oficjalnego budżetu NED i że ponadto zostały potwierdzone przez Biuro „Solidarności” w Brukseli.

Informujemy ponadto, że w związku z interwencją p. Jana Radomyskiego, skierowaną do Freedom House w Nowym Jorku, otrzymaliśmy w chwili oddawania numeru do druku list p. Leonarda Sussmana, dyrektora (executive) tej organizacji z dn. 21 października 1987, w którym prosi o opublikowanie, że *Aneks i Uncensored Poland New Bulletin* otrzymały z NED dotacje po \$ 25.000 każde i że reszta sumy \$ 110,00 była przeznaczona dla wydawnictw z innych krajów Europy Wschodniej oraz na koszty administracyjne Freedom House. — REDAKCJA.

Paryż, 20 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym opóźnieniem przeczytałem numer wrześniowy *Kultury* (nr 9/480). Z wielkim zdziwieniem dowiaduję się z rubryki „Sprawy i troski”, jakoby dotacja roczna przekazywana przez Kongres Polonii Amerykańskiej na paryskie biuro Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski pochodziła z National Endowment for Democracy.

Podana w Pańskim piśmie wiadomość jest błędna: dotacja, o której jest mowa, pochodzi w rzeczywistości z Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Z uprzejmą prośbą o sprostowanie, łączę wyrazy najgłębszego szacunku i poważania.

Ks. Eugeniusz PLATER ZYBERK

Londyn, 8 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Notatka o National Endowment for Democracy w rubryce „Sprawy i Troski” we wrześniowym numerze (9/480) *Kultury* mówi o „subwencji \$ 110.000 dla dwóch czasopism... kwartalnika politycznego *Aneks* i dwutygodnika *Uncensored Poland News Bulletin*”, z czego mogłoby wynikać, że Studium Spraw Polskich (Wielka Brytania) otrzymało około połowy wymienionej sumy.



Pozwalam więc sobie wyjaśnić, że otrzymaliśmy na rok 1987/1988 subwencję w wysokości \$ 25.000 (po obecnym kursie £ 15.000), za co jesteśmy bardzo wdzięczni NED, gdyż pozwala to nam zatrudnić jednego stałego pracownika redakcji i płacić za tłumaczenia stawki nieco bardziej zbliżone do normalnych. Pozwala to nam również rozysłać bezpłatnie pewną ilość egzemplarzy biuletynu między innymi do Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i Polski.

Będę bardzo wdzięczny, jeśli Pan Redaktor zechce łaskawie to wyjaśnienie opublikować.

Łączę wyrazy szacunku

Jan RADOMYSKI  
Prezes S.S.P.



Waszyngton, 25 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowym numerze *Kultury* opublikował Pan częściową listę instytucji otrzymujących pomoc od National Endowment for Democracy. Chciałbym wyjaśnić, że *Aneks* otrzymał od N.E.D. w 1987 roku 25 tysięcy dolarów, a nie, jak można by sądzić z opublikowanego dokumentu, sumę znacznie większą.

Przy okazji pragnę podziękować Funduszowi Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, którego jest Pan współzałożycielem, za pomoc w opublikowaniu szeregu książek.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Aleksander SMOLAR

# Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.v.  
Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE  
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W  
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-  
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.

Zebrane podczas spotkania zorganizowanego przez Radę Uchodźstwa Polskiego w Szwecji i Towarzystwa Przyjaciół <i>Kultury</i> 24 września 1987 w czasie wykładu Michała Lisińskiego — Krs 175,00 .....	F. 166,00
Stowarzyszenie „Solidarność” w Seattle, WA (USA) oraz w Vancouverze (Kanada) — dochód z imprezy zorganizowanej w czasie Labour Day na przejściu granicznym w Blaine — między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą, w której wzięli udział przedstawiciele narodów ujarzmionych — \$ 200,00	F.1.200,00

## WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Friends of Solidarity (Grupa Przyjaciół „Solidarności”), Kitchener, ON (Kanada) — na podziemną działalność NSZZ „Solidarność — nadesłali T. Durlak, przewodniczący i Teresa Gromek, skarbnik — \$ c. 1.000,00 .....	F.4.500,00
Polish Canadian Action Group w Toronto, ON (Kanada) — nadesłała Z. Rozwadowska, sekretarz — \$ 707,00 .....	F.4.242,00
Zamiast kwiatów na grób Edmunda Bohdziewicza — żeglarza i wspaniałego człowieka — Andrzej W. Piotrowski, kapitan jachtu „Solidarity”, Chicago (USA) — \$ 20,00 .....	F. 120,00



Grono przyjaciół z USA na rzecz „Solidarności Walczącej” w Polsce: Andrzej Adamus, Maple Shade, NJ, Władysław Krupka i Adam Reichbach — obydwa z Mt Laurel, NJ oraz Mieczysław Stankiewicz, Pennsauken, NJ — każdy po \$ 20,00 — razem: \$ 80,00 .....	F. 480,00
--	-----------



„Pomost” R.S.P., Chicago, IL (USA) (nadesłała Joanna Buzińska, skarbnik): — na NZS „Nurt” — \$ 175,00 .....	F.1.050,00
— na NSZZ „Solidarność” — \$ 10,00 .....	F. 60,00



Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, Koło Nr 13, Winnipeg, Man. (nadesłał skarbnik W. Jakiela): — na Fundusz Kultury Niezależnej w Polsce \$ c. 200,00	F. 900,00
— na pomoc rodzinom więźniów politycznych w Polsce — \$ c. 300,00 .....	F.1.350,00



The Solidarity Support Committee of Toronto (nadesłał Edward A. Synan, prezes) — na fundusz grzywnien .....	F.15.376,26
---	-------------



Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego — \$ 30,00 ..	F. 135,00
--	-----------

**NOWOŚCI WYDAWNICZE**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

**SZKICE O POEZJI**

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach

Str. 200.

Cena F. 95,00.

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

**ŻMUT**

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki, tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...”

Str. 288.

Cena F. 110,00.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1987.

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 8591.

**KULTURA**

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (1) 39-62-19-04

**PRZEDSTAWICIELSTWA**

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna    roczna

Ceny na rok 1988

<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>ARGENTYNA</b> : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>AUSTRALIA</b> : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 .....	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
<b>AUSTRIA</b> : Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>BELGIA</b> : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>BRAZYLIA</b> : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>DANIA</b> : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
<b>IZRAEL</b> : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8 .....	\$ can. 10,00 DM 14,00 F. 45,00	\$ can. 50,00 DM 80,00 F 250,00	\$ can. 98,00 DM 150,00 F. 480,00
<b>NIEMCY</b> : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.			
<b>NORWEGIA</b> : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.			
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
<b>SZWECJA</b> : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S.250,00	K.S. 480,00
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika » 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
<b>WIELKA BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
<b>WŁOCHY</b> : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.480; półroczna — F. 250.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 429 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

## HISTORIA "CUDOWNEJ MELINY"

Dla licznych Czytelników „Cudownej meliny”, jednej z ciekawszych powieści krajowych ostatniego 15-lecia, nowa książka Orłosa stanowi konieczne i pasjonujące uzupełnienie. Orłoś wpadł na oryginalny i doskonały pomysł: opisuje dzieje swej powieści, zablokowanej przez cenzurę w kraju i wydanej z woli autora za granicą w „Bibliotece Kultury”. To jest główny wątek książki, który rzuca dużo nowego światła na sytuację polskich pisarzy nonkonformistycznych; wątek zbliżony do pewnego stopnia do tak poczytnej dziś w kraju książki J. J. Szczepańskiego „Kadencja”. Orłoś przeplata to opisami polskiej rzeczywistości w oczach pisarza skazanego na „nieistnienie”.  
Str. 160. Cena F. 70,00.



TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

## STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam 'zabobonami' wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte”. Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja), światopogląd (naukowy).  
Str. 120. Cena F. 55,00.



TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

## MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192.

Cena F. 80,00.



TOM 433 — CZESŁAW MIŁOŚZ

## KRONIKI

Nowy tom poezji

Str. 80.

Cena F. 45,00.